Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 12 (1408) ROK XXVIII 23 MARCA 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

- Do wolnej Polski przez rewolucję
- Wybory zdrowego rozsądku
- Wyliczanka
- RFN: rewolucja komputerowa w szkołach
- Smok

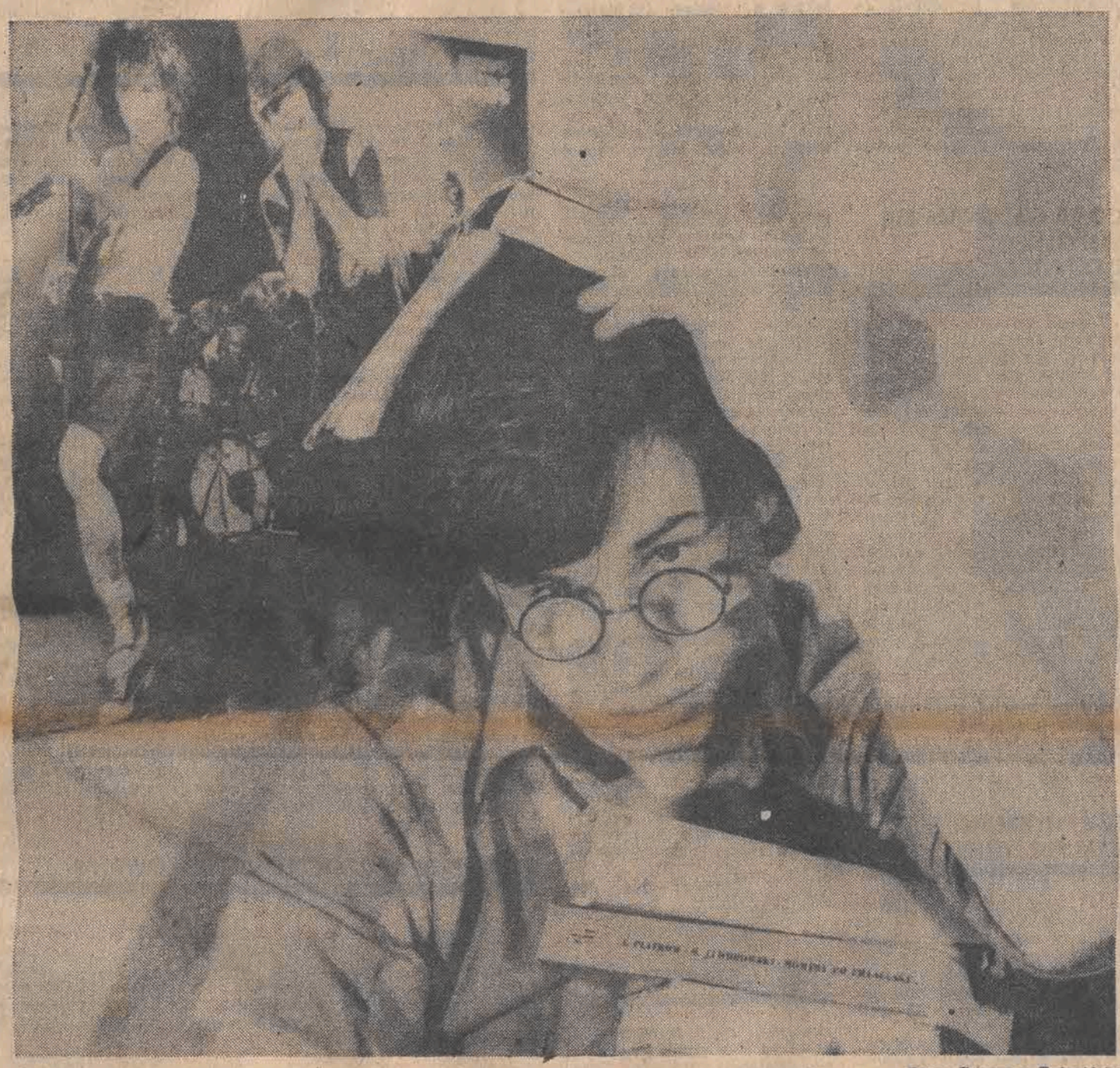

Foto: Grzegorz Gałasiński

Cud nad Dobrzynką

ROMAN KUBIAK

Na początku było nowe — a właściwie świeże. Leżało sobie na kupce i czekało. Nikt nie wie na co czekało nowe. Czas mijał za szybko, więc świeże postarzało się z lekka i zaszła obawa, że będzie cuchnąć. Wtenczas pośpiesznie przystąpiono do działań pod kryptonimem „odnowa". Woda lała się obficie. Stare zbełtano, zgrabnie uformowano, przystrojono w złociste szaty i posłano do fabryk.

W połowie lutego 1985 r., na półkach firmowego sklepiku pabianickiej mleczarni pojawiła się nowość, masło w złocistej folii z nadrukiem „delikatesowe z importu". Zafalował ogonek pospolitych zjadaczy masła, bo oto gruchnęła wieść, że ów rarytas jest bez kartek — za jedyne 78 zł, ile dusza zapragnie! Atoli konsument nasz okropnie jakoś podejrzliwy, jął kręcić nosem — nie żeby ze smrodu, lecz powodowany zwyczajną ludzką nieufnością do niereglamentowanych darów. Stali bowiem w ogonku głównie emeryci, co czasu mają nadmiar, przeto grymaszą i wydziwiają zamiast brać co swoje, dziękując opatrzności za lukę w rozdzielniku. Ten i ów pogrzebawszy w pamięci, nijak nie mógł przypomnieć sobie, żeby ostatnimi czasy, biedny acz mlekiem płynący kraj nasz, trwonił dewizy na import krowiego tłuszczu. Czyżby więc dotarły jakoweś „zrzuty"? Wstępne oględziny ślicznego opakowania niechcący przywołały wspomnienia tłustych lat kroczącego sukcesu, albowiem złocista folia nosiła cenowę znamię tamtej ery: 20 zł. Ręce wyciągnięte po masło zawisły w powietrzu...

Sklepik pabianickiej mleczarni, usytuowany przy międzynarodowej trasie E-12, dobrze znają nie tylko mieszkańcy miasta nad Dobrzynką. Trzeba przyznać, że dość regularnie można tu kupić masło świeże — niemal wprost z produkcji, co w zestawieniu z ofertą „spożywczaków": wrześniowe masło z tzw. rotacji, decyduje o popularności firmowej placówki. Jednak „delikatesowe z importu" nie miało wzięcia. Tylko od czasu do czasu mniej podejrzliwi kierowcy dalekobieżnych ciężarówek dawali się skusić na bezkartkową ofertę

7

Wchodzili do historii

HALINA CYWIŃSKA

Motto:
A ty i ja wejdziemy do historii
Tak prosto jak wchodzimy w swoje drzwi
Do domu, który tym tylko się różni
Od innych, że zerwany ma pociskami dach

* * *

Nigdy nie wiadomo jakimi drogami trafi człowiek do historii. Polskie drogi prowadziły od wieków przez pola bitewne. Na nich rodziło się najwięcej bohaterów, znanych z imienia i nazwiska. Ale historia toczy się nie tylko na polach bitewnych. Rozgrywa się równolegle w gabinetach polityków, na stanowiskach dowodzenia i na zapleczach frontów.

Na zapleczach frontów toczy się praca. *„Ona ostatecznie rozstrzyga o wartości przelanej krwi. Walki, choćby najbardziej bohaterskie przechodzą do złotych kart historii. Siła sławy wojennej niknie z każdym rokiem pokoju. Siła pracy narodu trwa przez wszystkie ustroje, zawieruchy wojny. Sława pierzcha, praca pozostaje".*
(Jan Edmund Osmańczyk „Rzeczpospolita Polaków').

Tamtej trudnej zimy, wiosny i lata 1944 roku nie były oczywiste nawet tak proste rozróżnienia jak „front" i „zaplecze frontu". Frontem były bowiem ulice miast, fabryki, chłopskie chałupy i pola. Żołnierze często wchodzili w role cywilów, a cywile stawali się żołnierzami. Historyk śledzi fakty i ustala generalia. Reporter musi je znać i rozumieć, fascynują go jednak także losy ludzkie. Dramatyzm losów jednostkowych przełamujących się w historii. Pójdźmy śladem jednego losu. Wedrzyjmy się w życie jednego tylko człowieka, zaczynając od przełomowej jego fazy. Fazy dojrzałego tworzenia.

* * *

Jest rok 1944. W krajobrazie frontowego zaplecza Polski Lubelskiej żyje pewien łodzianin, mający dziś 78 lat. Wówczas miał ich 37. Miał też żonę i dwoje dzieci. Syn urodził się w Rawie Mazowieckiej w 1941 roku, córka przyszła na świat w Kraśniku 5 maja 1944 roku. Ojciec tych dzieci nazywa się Karol Przesmycki. Jest skromnym urzędnikiem w magazynie maszyn rolniczych. Ma za sobą „Wrzesień" w Armiach „Łódź" i „Kowel", z wszystkimi doświadczeniami żołnierzy Września 1939 roku. Życie ocalił niemal cudem. Do Łodzi wracać nie mógł, ścigany przez Niemców jako przedwojenny działacz Towarzystwa Obrony Kresów Zachodnich. Onże działacz, znalazłszy się zrządzeniem losów na Lubelszczyźnie, witał po raz drugi koniec wojny latem 1944 roku w Kraśniku. Wyzwolenie miało pucołowatą twarz czerwonoarmisty życzliwie ostrzegającego ludzi siedzących w piwnicach:

5

Student jaki jest...

J. STANISŁAW KNYPL

Motto: *Dylemat wasz cały — pomiędzy świetnością a nędzą.*
STANISŁAW LEM

Współczesna biologia zakłada, że życie powstało na Ziemi w sposób naturalny, a jako „materia ożywiona" jest poznawalne. Biolog stara się je poznać przy pomocy doświadczenia i naukowej obserwacji. Gdyby poznawalności życia nie był pewny, to by nie eksperymentował. Lecz, jak na razie, nic w obiektach żywych nie dzieje się bez materialnej przyczyny; nie ma więc powodu do przywoływania czynnika nadnaturalnego celem wyjaśnienia czegoś, czego do końca co prawda jeszcze nie rozumie, ale z każdym dniem pojmuje lepiej. Dodać należy, że hołdowanie idei naturalnego powstania życia nie kłóci się z wiarą w Boga. Nawet niektórzy teologowie, pod naporem faktów, skłaniają się ku poglądowi o samoistnej genezie życia roślinnego i zwierzęcego, ingerencję boską ograniczając do aktu uduchowienia już żywego tworu Natury.

Adept biologii — nauki eksperymentalnej i konsekwentnie pleniącej wszelkie „entelechie" i „siły życiowe" — powinien charakteryzować się trzeźwością spojrzenia i myśli, bez liczenia na cuda i zdawania się na nie; studia powinny wzmacniać w nim pierwiastki myślenia racjonalistycznego. Czy wzmacniają?

ZASIĘGANIE JĘZYKA

Na początek wykładów dla studentów III roku biologii zwykłem był „zasięgać języka", prosząc słuchaczy o wypełnienie prostej ankiety, dotyczącej spraw ogólnych. Chodzi mi wyłącznie o zorientowanie się, jak studenci nastawieni są do spraw życia: i tego codziennego, i tego w rozumieniu biologii. Jedno z istotnych pytań brzmiało: *„Ku której idei skłaniasz się, co się pochodzenia życia na Ziemi tyczy: (a) powstało samorzutnie, (b) przybyło z Kosmosu, czy (c) zostało stworzone przez Istotę Najwyższą, Niematerialną?"* Na to pytanie za ideą trzecią (c) w r. 1979 opowiedziało się ok. 30 proc. studentów; a potem, w r. 1980 — 36 proc., w r. 1981 — 55 proc., w r. 1983 — 70 proc., a w r. 1984 — 80 proc. Alert! Wobec tego w 1985 r. powtórzyłem pytanie.

Grupa w 1985 r. liczy ponad 70 osób. Na pierwszy wykład przyszło 35 osób. Wszyscy nie musieli się zjawić, ponieważ słuchanie wykładu „kursowego" nie jest obowiązkowe; obowiązujący jest dopiero egzamin na jego zakończenie. Ankieta obejmowała 21 pytań. Była anonimowa i dobrowolna.

WYNIKI

1. Z 35 obecnych, na ankietę odpowiedziało 34. Pierwsze pytania dotyczyły motywacji przy wyborze kierunku i specjalizacji, stopnia zadowolenia ze studiów, dzisiejszych wyobrażeń o pracy zawodowej, etc. 88 proc. studentów wybrało biologię — kierując się zainteresowaniami. Daną specjalizację wybrało z wolnej woli 85 proc. Wydawałoby się więc, że mamy do czynienia z głębokimi motywacjami wewnętrznymi. Jednak średnia ocen grupy za poprzednie 5 semestrów wynosi 3,6. Całość jest więc średnia, a nawet dostateczna, jeżeli uwzględnić, że na wykłady zwłaszcza pierwsze, przychodzą studenci najlepsi.

Średnia ocen „dost. plus" zgadza się z odpowiedziami na pytanie: *„Czy studia spełniają Twoje oczekiwania?* „Tak" odpowiedziało 21 proc., „nie" — 26 proc., a „częściowo" — 53 proc. Wybrawszy więc kierunek zgodnie z zainteresowaniami, w czasie studiów przeżywają rozczarowania.

2. Odpowiedzi na pytanie: *„Jakie korekty wprowadziłbyś do programu?"*, są szokujące. Aż 80 proc. studentów wypowiedziało się przeciw jednemu lub kilku przedmiotom, określanym jako „pozakierunkowe" — jak matematyka, fizyka, chemia, pedagogika, filozofia, ekonomia, język rosyjski. Sprzeciw wobec matematyki i fizyki był najczęstszy (55 proc.), formułowany bez ogródek: „mniej fizyki, matematyki i nauk politycznych", „mniej chemii", „usunąć pedagogikę", „zlikwidować matematykę, fizykę, filozofię i pedagogikę", „nauki polityczne i pedagogika to strata czasu", „filozofia to bzdura", „pewne przedmioty uważam za absolutnie nieprzydatne, np. matematyka, fizyka, filozofia".

Spora część respondentów sądzi, że takie przedmioty jak anatomia człowieka i fizjologia, biologia

4

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos, Zenon J Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul Piotrkowska 96

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90 950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00 958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 201045 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 796. P-2.

Przegląd prasy

Jest śmiesznie, a będzie jeszcze śmieszniej! Refleksja ta — nb. cytacja z pękatych tek humoru i satyry znakomitego pana Janeczka P. — zawsze nawiedza mnie przy lekturze tygodnika de nomine satyrycznego pt. „Szpilki".

Niedawno oneż „Szpilki" (nr 10 — 85.03.07) bystro wskoczyły w nurt ogólnokrajowej dyskusji nad projektem ordynacji wyborczej. Najpierw wydrukowano

WIERSZYK O ORDYNACJI

autorstwa pana Edwarda Kuczyńskiego — dyżurnego satyryka „Szpilek" do spraw komentowania aktualiów. Jest to dziełko o tak zniewalającej urodzie, że nie mogę powstrzymać się od zacytowania choćby paru stroi, iżby nie zaginęły w publicznej pamięci:

„(...) Dyskusja trwa. Trze
rację racja,
A na warsztacie —
ORDYNACJA!
Bo o wyborów demokracji
Wdzięki stanowią ordynacji. (...)
W dyskusji też zbierają
cięgi,
Tutaj regiony, tam okręgi.
(...)
Niech Izba ta pokaże świa-
tu,
Szyk odświeżonych swych
mandatów.
I niech kraj widzi, owszem
ślicznie,
Ale gdy trzeba — saty-
rycznie!"

Satyrycznie... Satyrycznie i krytycznie to powinien spojrzeć sobie w oczy przy porannym goleniu Jego Ekscelencja Redaktor „Szpilek", gdy jest czas na rachunek sumienia. Bo już Pana Edwarda Kuczyńskiego na taki zabieg nie miałbym serca namawiać. Pyszna jest ta jego racja, która trze rację, że o szyku odświeżonych mandatów już nie wspomnę. Spuśćmy zasłonę miłosierdzia nad tym wierszoklectwem...

Obok wszakże tego wierszyka wydrukowano tekst co się zowie publicystyczny, pt. „Kogo i jak?" napisany przez Stanisława Bednarskiego (też — jak się wydaje — patentowanego satyryka...). Autor podnosi w nim cztery szczegółowe kwestie:

CZY WYBIERAĆ OSIEMNASTOLATKÓW,

czy bezwzględnie za zasłoną i bezwzględnie skreślać, czy wybrać pięciuset posłów oraz czy zmienić Konstytucję?

Jak powszechnie wiadomo, są to sprawy najbardziej bulwersujące opinię publiczną w tej dyskusji. Zwłaszcza ta pierwsza: osiemnastolatek posłem — to wizja wręcz obraźliwa dla sporej części tzw. dorosłych obywateli. Przeto Bednarski przytacza obiegowe argumenty przeciw, ale biaga o jedno: by dyskusji w tej sprawie nie przeistaczać w sąd nad młodym pokoleniem Polaków: Jest to wezwanie słuszne i ja się doń przychylam.

Nie mogę jednak nie odnieść się do wspomnianych argumentów przeciw biernemu prawu wyborczemu od osiemnastu lat; nie winię tu akurat Bednarskiego, on je tylko przytacza, tyle że bezkrytycznie po raz kolejny — szkoda...

„Założyć rodzinę może mężczyzna mający 21 lat. Co jest trudniejsze: odpowiadać za rodzinę, czy odpowiadać za państwo? A każdy obywatel, który zostaje posłem, bierze na siebie automatycznie odpowiedzialność za Polskę. Wykluczone, by jakikolwiek 18-latek, mający nawet najlepiej ułożone w głowie, mógł takiej odpowiedzialności sprostać". Tak pisze Bednarski, cytując głosy czytelników „Rzeczypospolitej".

Szkoda, że ani on, ani nikt inny podnoszący ten argument, nie zna obowiązującego w Polsce prawa. Otóż po pierwsze zakaz zakładania rodziny jest względny, gdyż z ważnych powodów społecznych każdorazowo zgody może udzielić sąd. Po drugie dotyczy tylko połowy populacji osiemnastolatków — mianowicie osobników płci męskiej; kobiety w tym wieku są traktowane jako dorosłe, odpowiedzialne i żadnych zezwoleń nie potrzebują. Więc mogłyby być posłankami?...

Rzecz bowiem nie w wieku a dojrzałości społecznej. Jest sporo czterdziestolatków, którym nie powierzyłbym odpowiedzialności za zagotowanie czajnika wody na herbatę i zapewne znalazłoby się paru osiemnastolatków dojrzałych do współrządzenia państwem. A poza tym prawo do bycia wybranym to nie wszystko — trzeba jeszcze zostać wybranym. Czyli wszystko w rękach wyborców. Nie podobają się wam osiemnastolatki — skreślajcie!

A teraz co do samego skreślania. Stanisław Bednarski okazał się być niezłym demokratą—demagogiem. Pisze on mianowicie: *„Chodzi o to — z grubsza rzecz biorąc — czy korzystanie z kabiny i dokonywanie skreśleń ma być obowiązkowe czy nie. Nie wnikając w szczegóły, można zapytać: czy jest możliwe przymuszanie wyborcy do czegokolwiek? Wyborca ma przecież prawo brać udział w głosowaniu, ale nie jest to przymus. A co robić, jeśli ktoś zechce głosować bez wchodzenia do kabiny? Jeżeli ktoś nie zechce skreślać żadnych nazwisk na karcie wyborczej? (...) jaką wartość mają prawa obywatelskie, z których zainteresowany korzysta pod przymusem?"*

To teraz ja zadam pytanie Bednarskiemu i jemu podobnym:

CO TA GADANINA MA WSPÓLNEGO Z DEMOKRACJĄ?

Tajność wyborów nie jest prawem obywatelskim, tylko zasadą konstytucyjną. Jeżeli potraktuje się ją dosłownie, jak nakazuje przepis konstytucji, to za zasłonę wchodzić trzeba, nawet gdyby nie chciało się skreślać. Bo tak stanowi prawo, a poczucie demokratycznych swobód z tym nie ma nic wspólnego. Zaś co do samego skreślania — to też można je prawem nakazać, choćby pod rygorem nieważności głosu — i to też nie ma nic wspólnego z demokracją ani prawami obywatelskimi, może być natomiast zasadą wyborczą obowiązującą powszechnie i bezwzględnie.

Więc ja uprzejmie proszę „obrońców demokracji", aby zajęli się innymi sprawami — w miarę granic własnej sprawności intelektualnej.

Można na przykład podyskutować nad tym

CZY POTRZEBNY JEST NAM PREZYDENT

— do czego zachęca „Przegląd Tygodniowy" (nr 11 — 85.03.17), i za czym tak entuzjastycznie wypowiadają się jego niezmordowani czytelnicy. No i dobrze — tylko czy my doprawdy nie mamy większych zmartwień?

Ależ mamy — i to jakie... Kto nie wierzy, niech przeczyta esej Andrzeja Wasilewskiego „Naród i państwo w dobie kryzysu" („Tu i Teraz" — nr 11 — 85.03.13).

Oto Wasilewski pisze:

„Kryzysy gospodarcze zawsze wywołują lżejsze lub cięższe schorzenia świadomości. Jeżeli do załamania gospodarczego dołącza się czynnik gwałtownej agresji przeciwko samym podstawom ustroju a zaburzenia w sferze gospodarki przeradzają się w bezpardonową walkę polityczną — świadomość płaci za to przewlekłą chorobę, pełną nakładających się powikłań, częstokroć poważniejszych od samej przyczyny.

W Polsce nagromadził się zapalny materiał zarówno na kryzys gospodarczy jak polityczny, a połączenie się tych dwóch czynników w jeden przemieszany materiał wybuchowy doprowadziło świadomość do stanu chaosu, w którym z łatwością rodziły się i rodzą humorystyczne recepty na zbawienie Polski. (...)

Kryzysy na ogół ogłupiają ludzi. (...)"

Otóż to; dlatego mniemam, że najważniejszy w istocie jest sposób obrony przed ostatecznym zgłupieniem. Czy do tego potrzebne jest fundowanie sobie prezydenta? Nie sądzę. Wielekroć ważniejsze byłoby nauczyć się

JAK ODTRUWAĆ POLSKIE UMYSŁY

z obskuranckiej zarazy, z irracjonalizmu pleniącego się pod hasłami nawrotu do tradycji, z parafialnej frazeologii. O tej ostatniej tak pisze Wasilewski:

„Owiani kontrreformacyjnym duchem kaznodzieje o głosach przepełnionych tak nieziemską słodyczą, że zdają się samoczynnie unosić ich do nieba, dokonują interpretacyjnych cudów, odnajdując w tekstach Ewangelii św. fragmenty stworzone najwyraźniej z myślą o Polsce współczesnej, o szatańskich mocach, które ją niewolą i o krzyżowej drodze zmartwychwstania. (...)

To właśnie parafialny paradygmat, podniesiony w kontrreformacyjnej Polsce do rangi panującej i jedynej nauki, zabił w umysłach polskich dociekliwość i pozbawił je na całe stulecia zdolności rozumienia zmian zachodzących w świecie. I oto na mapie współczesnego świata stajemy się znowu egzotyczną strefą, w której aparaturę pojęciową mas wyrabia się z tworzywa parafialnych nauk, zaadaptowanych do potrzeb bieżącej polityki".

A co z tych parafialnych nauk wynika? Odpowiedź znajdziemy w innym gazetowym tekście z ubiegłego tygodnia — „Tak łatwo szafują krzyżami" Karoliny Siemaszko („Prawo i Życie" nr 11 — 85.03.16). Jest to gorzki monolog dyrektora szkoły, walczącego z proboszczem przeciw krzyżom w salach lekcyjnych — gdzieś na polskiej, bliżej nie określonej wsi...

„Ludzie są zdesperowani. Nie wiedzą, co robić. Proboszcz może ich wykreślić z rejestru parafian, pominąć przy komunii świętej, skompromitować publicznie z ambony. Z drugiej strony ja też postawiłem warunek: jeśli naruszą obowiązujące przepisy i powieszą krzyże, ja odejdę z tej szkoły. (...) Zdaję sobie sprawę, że gdyby nie mój osobisty autorytet, nie podparłbym się skutecznie nawet Konstytucją. (...) Ta walka jest niepotrzebna, bo przecież kościół dawno nie miał takiej, jak dziś, swobody, tyle nie budował. Religii chce nauczać poza szkołą, ale krzyże mają być wszędzie. Zastanawiam się, czy nie za łatwo nimi szafują. (...) Na razie sobie radzę, choć Bóg jeden wie, ile nie przespanych nocy kosztował mnie ten pozorny spokój (...)"

Proboszcz chyba śpi dobrze. I nie tylko on — wielu jego kolegów po fachu śpi jeszcze lepiej, bo udało im się krzyże powiesić. Czy kiedyś odpowiedzą za łamanie praw Rzeczypospolitej?

Na koniec kwestia odległa od poruszonych tu wcześniej, ale też ważna, bowiem bezpośrednio dotycząca tego, co Państwo właśnie trzymacie w ręku. To znaczy naszego tygodnika...

Oto w „Prasie Polskiej" (nr 2/85) pod tytułem

„GĘSTA SZAROŚĆ"

ukazała się rozmowa—narzekanka z absolwentami i pracownikami Pracowni Projektowania Typografii w łódzkiej PWSSP, czyli z gazetowymi grafikami po prostu. Panowie zbiorowo powyrzekali na nędzę graficzną polskiej prasy — na kiepski druk, prowincjonalne i zeszłowieczne gusty redaktorów, na brak zainteresowania dla ich własnych pomysłów, zaczerpniętych z najlepszych przecież i najnowocześniejszych światowych wzorów.

Jeden z uczestników rozmowy, pan Zbigniew Koszałkowski powiedział, co następuje: *„To, że nie widać efektów istnienia pracowni na rynku prasowym przypisuję przede wszystkim redakcjom. Wprawdzie redaktorzy i sekretarze redakcji ciągle powtarzają, że zależy im na dbałej, profesjonalnej szacie graficznej. W rzeczywistości jednak tę szatę graficzną nie kształtują profesjonaliści, choćby tacy, jakich rodzi ta uczelnia, lecz samo życie".*

Pan Zbigniew Koszałkowski nie wie, co mówi. Godzi się w tym miejscu przypomnieć, że to właśnie on jest autorem obecnej szaty graficznej „Odgłosów". Odstępstwa od jego projektu są doprawdy nieznaczne (np. z konieczności, spowodowanej niejednakowymi i trudnymi do znormalizowania rozmiarami tekstów, wprowadziliśmy tzw. podwały, czyli łamanie poziome, zamiast wyłącznie pionowego) — mamy rysunki, skład „w chorągiewkę", jeden garnitur czcionek tytułowych itp. graficzne frymuśności. I nam się to podoba, panie Koszałkowski...

TOMASZ SAS

Minął tydzień

W MOSKWIE ODBYŁ SIĘ POGRZEB KONSTANTINA CZERNIENKI

W uroczystościach pogrzebowych 13 marca na Placu Czerwonym wzięła również udział delegacja polska z gen. Wojciechem Jaruzelskim, Henrykiem Jabłońskim, Józefem Czyrkiem i Zbigniewem Messnerem.

Pobyt w Moskwie wykorzystany został przez liczne delegacje zagraniczne do wzajemnych spotkań. Premier Wojciech Jaruzelski spotkał się z sekretarzem generalnym ONZ Javierem Perezem de Cuellar i prezydentem Finlandii Mauno Koivisto — obaj mężowie stanu zaproszeni zostali do złożenia wizyt w naszym kraju. Gen. Jaruzelski spotkał się również z kanclerzem RFN Helmutem Kohlem, wymieniając poglądy na temat stosunków dwustronnych. Przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński spotkał się z prezydentem Włoch Sandro Pertinim, który również został zaproszony do złożenia wizyty w Polsce.

OSTATNIĄ SESJĘ VIII KADENCJI

rozpoczął Sejm. Na posiedzeniu 14 marca głównym przedmiotem debaty była polityka zagraniczna PRL. Rządowe exposé w tej kwestii przedstawił minister spraw zagranicznych Stefan Olszowski. Stwierdził m. in., że wszystkie zamierzenia rządu, zgodnie z ubiegłoroczną uchwałą Sejmu, zostały wykonane, mimo wcale nie zmniejszających się trudności wynikających z antypolskiej polityki sił imperialistycznych.

Podstawą bezpieczeństwa europejskiego — stwierdził minister Olszowski — i niezagrożonej egzystencji Polski jest Układ Warszawski, dlatego z całą mocą opowiadamy się za jego przedłużeniem. Jednocześnie z całą mocą będziemy uczestniczyć w międzynarodowym dialogu wszystkich sił deklarujących chęć pokojowego współistnienia.

Po dyskusji posłowie jednomyślnie podjęli uchwałę w sprawie aktualnych problemów polityki zagranicznej PRL oraz sytuacji międzynarodowej.

W drugiej części posiedzenia uchwalono ustawy — o ustanowieniu Krzyża Oświęcimskiego, o Państwowej Inspekcji Sanitarnej, o podatkach i opłatach lokalnych i o zmianie ustawy o podatku dochodowym. Projekt ustawy o Trybunale Konstytucyjnym skierowano do nadzwyczajnej komisji powołanej dla jego rozpatrzenia.

GUS INFORMUJE O SKUTKACH ZIMY

— wedle szacunkowej oceny straty w styczniu i lutym wyniosły ponad 100 miliardów złotych. Tyle produkcji nie sprzedał przemysł uspołeczniony — nie oszacowano jeszcze strat związanych ze zwiększonym zużyciem energii, uszkodzeniami dróg i sieci transportu. Spadł eksport — głównie z powodu zmniejszenia wywozu węgla. Znacznie zmalała aktywność budownictwa — oddano do użytku tylko 6,2 tys. mieszkań, czyli o ponad 32 proc. mniej niż w tym samym okresie ubiegłego roku. Skutki ostrej zimy mają ujemny wpływ na realizację zadań gospodarczych przewidzianych w planie tegorocznym.

W GENEWIE ROZPOCZĘŁY SIĘ ROKOWANIA

rozbrojeniowe między delegacjami ZSRR pod przewodnictwem Wiktora Karpowa i USA kierowanej przez Maxa Kampelmana. W. Karpow w wywiadzie dla telewizji radzieckiej ostrzegł stronę amerykańską przed próbami zrewidowania ustaleń co do przedmiotu i celów rokowań, gdyż takie tendencje pojawiły się w wypowiedziach licznych przedstawicieli waszyngtońskiej administracji.

NIE MA SOCJALIZMU BEZ INTELIGENCJI

— wywiadu pod tym tytułem udzielił „Polityce" przewodniczący CK SD prof. Edward Kowalczyk. Powiedział m. in.: **Inteligencja, warstwa w Polsce specyficzna, stanowi potencjał zdolny do wydźwignięcia wzwyż poziomu kulturalno-cywilizacyjnego narodu — i przygotowany do tego. Państwo socjalistyczne potrzebuje jej bardziej niż jakiekolwiek inne (...) Jeszcze dziś możemy mówić o politycznym rozłamie w szeregach inteligencji. Nie zaprzeczy pan jednak** (to zwrot do rozmówcy — Andrzeja Mozołowskiego), **że podziały są coraz mniej wyraźne. Reszty dokona czas, cierpliwa perswazja, a także — mówię to z całą powagą — edukacja narodowa. (...) Gdyby nasza inteligencja, zaabsorbowana często swoimi codziennymi trudnościami, miała więcej czasu na lekturę (..) — integracja ta przebiegałaby o wiele szybciej. Bazowanie świadomości narodowej wyłącznie na trzech wieszczach, czterech pancernych i legendzie masońskiej (...) być może dodaje skrzydeł, ale rozsądku politycznego — z pewnością nie.**

W POZNANIU MAJĄ WIRUSA!

— jak donosi „Kurier Polski" — tamtejsza stacja sanitarno-epidemiologiczna najszybciej wyizolowała wirusa odpowiedzialnego za nękające nas ostatnio grypopodobne infekcje. Teraz tylko trzeba drania zidentyfikować, w każdym razie lud nazywa toto „filipinką". Ładnie...

VOLKSWAGEN GOLF DIESEL TURBO

ma być w tym roku prezentem dla najpiękniejszej Polki, a fundatorem jest szwajcarska firma „Mikromex" z powodzeniem handlująca samochodami na naszym rynku. W Warszawie wybrano już 25 finalistek konkursu; obecnie dziewczyny przechodzą intensywne szkolenie na specjalnym zgrupowaniu w Karpaczu. W tej grupie są trzy łodzianki — nasza miss i jej dwie „zastępczynie".

Paranoja to to jeszcze nie jest, ale już coś koło tego...

VICESEKATOR

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Do wolnej Polski przez rewolucję

„...Historia dowodzi, że wielki naród, dopóki brak mu niezależności narodowej, nie ma warunków by chociaż poważnie przedyskutować wewnętrzne sprawy..."

— Fryderyk Engels

Czterdzieści dwa lata temu, 1 marca 1943 roku ukazała się Deklaracja KC PZPR „O co walczymy?" Jej ogromne znaczenie polega nie tylko na tym, że programowała działalność w trudnych warunkach utraconego bytu niepodległego lecz, że stanowiła ważny nowy element w procesie ewolucji poglądów lewicy polskiej na związki wzajemne kwestii niepodległościowej i społecznej. A było tych poglądów i stanowisk niemało. Jedni odrzucali kwestię narodową na rzecz „czystej działalności rewolucyjnej", inni sprawę narodową preferując zapominali o rewolucyjnych zadaniach, jeszcze inni bezskutecznie szukali „złotego środka".

Polska Partia Robotnicza była pierwszą, która w swym programie połączyła w jedno sprawę niepodległości i rewolucji. Ona też tym swoim stanowiskiem znalazła się najbliżej twórców marksizmu, tak wyczulonych na „kwestię polską" i tak ściśle łączących ją z interesami proletariatu oraz wymogami rewolucji. Warto więc raz jeszcze wrócić do programów radykalnej lewicy polskiej pod kątem związków wzajemnych spraw niepodległości i socjalizmu.

Sięgając pamięcią wstecz, w początki rozwoju kapitalizmu na ziemiach polskich, w początki myśli socjalistycznej na tych ziemiach konstatujemy, że zawsze ideolodzy klas posiadających zarzucali działaczom ruchu rewolucyjnego postawy niepatriotyczne, negatywny czy wręcz wrogi stosunek do sprawy niepodległego bytu. Chętnie przy tym sięgano do źródeł, na twórców marksizmu się powołując, szczególnie szermując stwierdzeniem Manifestu Komunistycznego, że „...*robotnicy nie mają ojczyzny*..." Dyskretnie przy tym pomijali ciąg dalszy tej kwestii, a mianowicie, że było to wołanie o ojczyznę będącą matką dla całego ludu.

Marks i Engels wielokrotnie dawali wyraz swojemu stosunkowi do kwestii narodowej i jej związków z walką rewolucyjną. W liście skierowanym do uczestników mitingu w Genewie zwołanym w 50 rocznicę wybuchu Powstania Listopadowego pisali, że Polacy „...*poza granicami swego kraju odegrali wielką rolę w walce o wyzwolenie proletariatu — byli wszędzie jej czołowymi bojownikami. Dziś, gdy walka ta rozwija się wśród samego ludu polskiego, niech ją podtrzymuje propaganda, prasa rewolucyjna, niech łączy się ona z umiłowaniami naszych braci rosyjskich, będzie to jednym powodem więcej, aby powtórzyć dalszy okrzyk „Niech żyje Polska"*...

A w mowie „W obronie Polski" wygłoszonej w 1875 roku w Londynie stwierdzali, że odbudowa Polski to jeden z celów polityki robotniczej. I tak przedstawiali związek walki niepodległościowej z rewolucją: „...*Dopóki zdolny do życia naród znajduje się pod jarzmem obcego zaborcy, dopóki musi on kierować całą swą moc, wszystkie swoje wysiłki, całą swoją energię przeciwko wrogowi zewnętrznemu, dopóki zatem jego życie wewnętrzne jest sparaliżowane, dopóki nie jest on zdolny do walki o emancypację społeczną... Byłoby śmieszne... uważać rewolucjonistów polskich za arystokratów dążących do przywrócenia Polski arystokratycznej z 1772 roku. Polska z 1772 roku zginęła bezpowrotnie. Żadna siła nie będzie w stanie jej wskrzesić z mogiły. Nowa Polska, którą rewolucja powołała do życia, będzie się różnić pod względem społecznym i politycznym od Polski z roku 1772 tak zasadniczo, jak społeczeństwo ku któremu zmierzamy, różnić się będzie od społeczeństwa dzisiejszego...*"

Wobec tych problemów — związku przebudowy stosunków społecznych za sprawą niepodległości stała rozwijająca u schyłku poprzedniego stulecia coraz bardziej intensywnie swą działalność polska lewica rewolucyjna.

WARYŃSKI I INNI

Klasycznym jej przedstawicielem był Ludwik Waryński. Urodzony w rodzinie szlacheckiej o pięknych tradycjach niepodległościowych, w roku 1856, a więc jako młody chłopiec przeżywający Powstanie Styczniowe, prezentował Waryński poglądy dość skrajne, całą swą uwagę poświęcając bojom klasowym, a dążenia narodowowyzwoleńcze traktując jako coś, co przeszkadza w formowaniu międzynarodowej jedności proletariatu. Ale i u niego powraca w rozważaniach kwestia narodowa, biorąc choćby opracowany w 1878 roku dokument „Zasady Socjalno-Rewolucyjnego Stowarzyszenia Polaków" zwany programem warszawskim, którego Waryński był głównym autorem. „...*Wierzymy głęboko* — stwierdzono w programie — *że lud polski pomszczony w imię zasad socjalno-rewolucyjnych, okaże niezwyciężoną siłę i niezłomną energię w walce z zaborczym rządem, który do wyzyskiwania ekonomicznego dołączył niesłychany ucisk narodowości...*"

Waga tego dokumentu była ogromna. Po klęsce Powstania Styczniowego na kraj spadły niespotykane represje caratu. W warunkach terroru, narodowej żałoby i narodowego rozpamiętywania niedawnego dramatu, lewica polska rzucała hasła wolności i niepodległości.

W okresie późniejszym Waryński i inni, obóz radykalnej lewicy stanowiący, odstąpili formalnie od tych postulatów, nie odstępując jednakowoż od postaw patriotycznych — co im zarzucano nadając im natomiast inne treści. Wyjątkowo trafnie przedstawił to w genewskiej „Równości" Stanisław Mendelson, wtedy jeszcze nie ogarnięty bakcylem rewizjonizmu.

„...*Całe nasze społeczeństwo w znaczeniu narodu* — stwierdzał — *jest patriotyczne — każdego to słowo elektryzuje, ale jakże odmiennie jest ono rozumiane... Lud nasz pod słowem „patriotyzm" rozumie zniesienie ucisku moralnego... Jest to nienawiść do Niemca i Moskala za to, że go niemczą lub moskwiczą, dodajmy do tego, iż ucisk ekonomiczny, jaki rząd eo ipso wywiera, także lud nasz kładzie na karb obcego — to zrozumiemy, dlaczego patriotyzm elektryzuje naszego pracującego...*

...*dzisiejszy patriotyzm naszych klas uprzywilejowanych jest wyłącznie... fabrycznym, spekulacyjnym — jest tylko maską idei... odróżniamy patriotyzm jako sztandar przeszłości od dzisiejszego patriotyzmu, tej polityki sukcesów... mówiąc o patriotyzmie dzisiejszym mamy na celu program działania tego tak zwanego „społeczeństwa" występującego w imieniu narodu całego...*

...*Jeśli w imię idei i rekonstrukcji państwowej można nam zarzucić odstępstwo od sprawy narodowej, bo takimi zasady nasze żądające za grunt do walki ustrój ekonomiczny, jeśli Polacy-politycy mogą stawiać pod sąd opinii i ludu Polaków-socjalistów, z jakim jednak czołem robią nam zarzut odstępstwa ci, którzy wszelki ruch dążący do odrodzenia dawnej Rzeczypospolitej błotem obrzucają? Nam mówią o „moskiewskim" naszym pochodzeniu, o „zgubnym" wpływie dla narodowości naszej, nareszcie nas potępiają w imię szczególnej misji narodu polskiego, w imię pokrzywdzonej przeszłości, w imię odrębnego polskiego programu — ci, którzy od „Polski" odrzekli się... dla całego owego społeczeństwa patriotyzm jest płaszczykiem, pod którym się chowa reklama przemysłu krajowego...*"

Wydany w 1879 roku Program Socjalistów Polskich, zwany programem brukselskim, tym się różnił od wcześniejszego programu warszawskiego, że zniknęło szereg sformułowań dotyczących kwestii narodowej.

Z Programu Socjalistów Polskich wynikało jednakowoż, iż istnieją dwie drogi narodowego wyzwolenia — powstanie zbrojne narodowe, bez haseł społecznych przeobrażeń i rewolucja, która przeprowadzona pod hasłami społeczno-ekonomicznymi rozwiąże także kwestię narodową.

Rezygnację z hasła niepodległego państwa polskiego na rzecz międzynarodowej rewolucji uzasadniał Waryński i w taki sposób: „...*Gdyby teraz narzucono hasło: „Niech żyje Polska nawet demokratyczna i socjalna!" tego hasła treść i znaczenie zaledwie nieznaczna garstka robotniczego ludu zrozumie. Nazwa widnieć w nim będzie tylko nową edycją powstania. Ruch się zagłębia — szersze przyjmuje rozmiary. Wtedy to nasze klasy uprzywilejowane, którym grunt pod nogami usuwać się pocznie, postarają się ruch ująć w swoje ręce... Z hasła naszego zniknie najprzód powoli „socjalna", potem „demokratyczna" — w imię „wspólnego" dobra, w imię dobra „wspólnej" ojczyzny...*

...*Lud polski musi wiedzieć, że nigdy szczerze jego interesów klasy uprzywilejowane nie broniły... że nic z klasami uprzywilejowanymi nie ma wspólnego: ani historii — historia Polski nie była jego historią, ani ojczyzny — ojczyzna szlachty polskiej nie była jego ojczyzną. Że interesów wspólnych nie ma, to codziennie wykazuje życie, a że i celów nie ma wspólnych — wykazać to nasze, socjalistów, zadanie...*"

Potem był rok 1881, Międzynarodowy Kongres Socjalistów i wielki spór Waryńskiego z Limanowskim o potrzebę wysuwania postulatu niepodległego państwa polskiego. Prawda zresztą — wydaje się, leżała pośrodku — a w spór włączył się Fryderyk Engels opowiadając się za potrzebą niepodległości Polski. „...*Historia dowodzi* — pisał w liście do Karola Kautsky'ego — *że wielki naród, dopóki brak mu niezależności narodowej, nie ma warunków, by chociażby poważnie przedyskutować wewnętrzne sprawy... Każdy polski chłop i robotnik, który budzi się z otępienia i zaczyna brać udział w sprawach ogólnych, napotyka przede wszystkim fakt ujarzmienia narodowego jako pierwszą przeszkodę na swej drodze. Usunięcie tej przeszkody jest podstawowym warunkiem wszelkiego zdrowego i swobodnego rozwoju... Zagadnienie czy odbudowanie Polski jest możliwe przed najbliższą rewolucją nie ma tu znaczenia. W każdym razie nie nasza jest rzeczą powstrzymywać Polaków od wysiłków zmierzających do zdobycia sobie niezbędnych warunków dalszego rozwoju, ani też wmawiać im, że niepodległość narodowa jest z punktu widzenia międzynarodowego czymś zupełnie drugorzędnym, skoro jest ona właśnie podstawą wszelkiej międzynarodowej współpracy...*"

Waryński odcinając się od stawiania sprawy niepodległości jako celu działania ruchu rewolucyjnego widział ją jednak jako jeden ze skutków rewolucji socjalnej. W programie partii Proletariat, którego Waryński był głównym współtwórcą, przed ostateczną redakcją znajdował się fragment stwierdzający: „...*Uważając przeto rozwiązanie kwestii politycznej jako zadanie ... dla krajów pozbawionych tych swobód ważne i nieodzowne, proletariat polski dążyć musi do przyspieszenia przewrotu politycznego w państwie rosyjskim... Na gruncie walki politycznej jako klasa proletariat polski w zaborze rosyjskim skieruje swe siły do walki z despotycznym rządem rosyjskim, a wszelkich z nim walczących uzna za swych towarzyszy broni...*"

Zamierzone, czy niezamierzone to było, zawierał jednak w sobie ten fragment programu pewien akcent narodowowyzwoleńczy. Rezerwę Waryńskiego, czy wręcz negatywny stosunek do preferowania sprawy niepodległości kosztem rewolucyjnych działań uzasadniły w jakimś stopniu wydarzenia związane z powstaniem Odrodzonej Polski. Rzeczywiście — jak pisał kiedyś Waryński — były najpierw hasła „niech żyje Polska demokratyczna i socjalna", potem zniknęło określenie „socjalna", następnie „demokratyczna" — w imię dobra wspólnej ojczyzny.

Radykalna lewica polska stanęła już na progu niepodległości wobec zadania podjęcia walki o przebudowę stosunków społecznych, a przyszło jej realizować tę walkę w warunkach ponownej utraty niepodległego bytu.

O WYZWOLENIE NARODOWE I SPOŁECZNE

W takich to właśnie warunkach, w osiemdziesiąt lat po ukazaniu się programu Polski „Proletariat", a dokładnie w styczniu 1942 roku Polska Partia Robotnicza opracowała swą pierwszą odezwę programową. Wzywała ona do walki o wolną i niepodległą Polskę... i to stawiała jako cel najważniejszy, ale wzywała do walki o Polskę „...*w której robotnikom zapewniony będzie 8-godzinny dzień pracy, prawdziwe ubezpieczenie społeczne i wolność organizacji, w której ziemia polska należeć będzie do polskiego chłopa, w której istnieć będzie równość i braterskie współżycie wszystkich narodowości, w której nauka dostępna będzie dla wszystkich, o Polskę, która zapewni narodowi chleb, wolność i pokój...*" Dosyć dosadnie, chociaż przesadnie została postawiona sprawa relacji między problematyką niepodległościową a rewolucyjną w marcowej z 1943 roku Deklaracji KC PPR „O co walczymy", gdzie stawiając pytanie „...*Jakie winny być pierwsze nasze kroki po proklamowaniu wolnej i niepodległej Ojczyzny...*" pytano dalej „...*co należy robić by Polska była prawdziwie wolną i niepodległą, by nie powtórzył się rok 1918 ani 1939?...*"

W kolejnej deklaracji, z listopada tegoż roku takiego pytania już nie postawiono. Zapowiadała marcowa deklaracja nowy kształt ustrojowy Polski Odrodzonej. Zapowiedziano: „... —

włączyć do państwa polskiego wszystkie ziemie polskie...

— uspołecznić przedsiębiorstwa bankowe i wielkoprzemysłowe z wprowadzeniem kontroli nad produkcją współczesnych przedsiębiorstw przez komitety fabryczne...

— wywłaszczyć bez odszkodowania gospodarstwa obszarnicze powyżej 50 ha i rozdzielić ziemię między chłopów małorolnych i robotników rolnych...

— wprowadzić 8-podzinny dzień pracy i minimum płacy dla robotników i pracowników umysłowych. Zapewnić prawo do pracy dla wszystkich.

— Opracować wielki plan odbudowy i rozbudowy gospodarki narodowej Polski... Wprowadzić zasadę planowości we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego i kulturalnego...

— Zapewnić prawo do nauki dla wszystkich przez przestrzeganie zasady bezpłatności nauki, począwszy od szkoły powszechnej do uniwersytetów włącznie..."

A w artykule „Trybuny Wolności" z kwietnia 1943 roku zatytułowanym „Wyzwolenie narodowe i przebudowa społeczna" stwierdzano:

„...*Walczymy z hitleryzmem nie tylko dlatego, że jest to ruch reakcyjny, który usiłuje utrzymać władzę kapitalistycznych koncernów i junkrów — obszarników. Walczymy z hitleryzmem również dlatego, że ujarzmia inne narody, odbiera im możliwość życia i kultury narodowej, grozi ich całkowitym zniszczeniem. Klasa robotnicza jest szczerym obrońcą praw i wolności narodowych. Jedynie w atmosferze wolności narodowej najpełniej rozwija się ruch robotniczy. Niepodległość narodowa jest jednym z warunków postępu społecznego...*"

I pamiętając smutne, z klasowego punktu widzenia, doświadczenia 1918 roku, stwierdzano dalej w artykule: „...*Wszyscy fałszywi „przyjaciele ludu", którzy dziś szafują daleko idącymi obietnicami na „po wojnie", by nie stracić popularności wśród mas, muszą odpaść, jeśli nie staną do realizacji przebudowy Polski. Ponieważ nie może im się znowu udać wyładowanie energii mas ludowych w młynku patetycznych pseudoradykalnych frazesów...*"

W czerwcu 1943 roku I Zjazd Związku Patriotów Polskich przyjął „Deklarację Ideową Związku Patriotów Polskich w ZSRR", w której wzywano wszystkich Polaków „...*do jedności pod znakiem bezkompromisowej walki z najeźdźcą...*" i podkreślano że PPR walczy:

„... — *o Polskę demokratyczną, w której interesy narodu nie będą podporządkowane interesom uprzywilejowanych, w której urzeczywistni się prawdziwa władza ludu;*

— o Polskę parlamentarną, w której demokratyczny Sejm stanowi o urzędach, o prawach, o obowiązkach obywateli;

— o Polskę nowoczesną, w której dokonana będzie przebudowa ustroju rolnego, w której ziemie otrzymają bezpłatnie chłopi — przede wszystkim bezrolni i małorolni, a także służba folwarczna i pracownicy rolni, w której twórcza praca będzie podstawą istnienia obywateli i społeczeństwa, w której w szybkim tempie odrobione zostanie nasze gospodarcze i cywilizacyjne zacofanie;

— o Polskę wyzwoloną spod jarzma obszarników, baronów kartelowych, lichwiarzy bankowych i spekulantów giełdowych, w której wolny chłop gospodarzy na własnej ziemi, w której robotnik i pracownik umysłowy otrzyma pracę, opiekę państwową, godne człowieka warunki życia, w której rzemieślnik, kupiec i przemysłowiec korzysta z pomocy państwa w ramach ogólnonarodowego planu odbudowy gospodarczej;

— o Polskę sprawiedliwą, w której naprawione zostaną krzywdy wyrządzone przez faszystowskich okupantów poszczególnym obywatelom, instytucjom, zrzeszeniom, kościołowi — całemu społeczeństwu, w której zasłużona kara dosięgnie zdradę i zaprzaństwo, a wierna służba w szeregach wojskowych, w oddziałach powstańczych i partyzanckich — będzie nagrodzona;

— o Polskę wolności obywatelskiej, politycznej, religijnej — bez nienawiści rasowej i narodowej, o Polskę wolności słowa i sumienia;

— o Polskę niezależną, która nie będzie ani igraszką obcych imperializmów, ani też ich łupem;

— o Polskę silną na zewnątrz, nie zaborem cudzych ziem, ale przyjaznymi stosunkami ze wszystkimi naszymi sojusznikami;

— o Polskę postępową, pokojową, odrodzoną wewnętrznie..."

Oba te dokumenty pisane w kraju i na obczyźnie, zbieżne w czasie, wykazują także pełną zbieżność w swej problematyce. Wysuwane w nich postulaty i zadania znalazły swoje rozwinięcie w zasadniczym dokumencie programowym lewicy polskiej, w listopadowej, z 1943 roku, Deklaracji Programowej „O co walczymy".

„... *Przyszła Wolna i Niepodległa Polska* — stwierdzono w deklaracji — *musi być narodową własnością najszerszych mas pracujących. Jej polityczno-społeczne podstawy muszą być oparte na fundamentach szerokich zasad ludowładztwa, czyli demokracji. Ster władzy państwowej w przyszłej Polsce przejść musi w ręce przedstawicieli najszerszych warstw narodu, reprezentujących interesy robotników, chłopów i inteligencji... Tylko wówczas, gdy fundamenty przyszłej Polski opierać się będą na twórczych i z natury swojej postępowych interesach mas pracujących, czyli na interesach olbrzymiej większości narodu — będzie ona naprawdę Wolna i Niepodległa*".

Taka wizja przyszłej Polski znalazła swoje rozwinięcie w odezwie programowej Krajowej Rady Narodowej, przyjętej na jej pierwszym posiedzeniu w Warszawie w dniu 1 stycznia 1944 roku. Tu już zabrała głos nie jedna partia polityczna, a podziemny parlament — kierownictwo narodu, reprezentacja polskiej lewicy demokratycznej. Potwierdzano w odezwie konieczność działań na rzecz powstania wolnej, demokratycznej Polski Ludowej. Zapowiadano:

„...*Wywłaszczenie bez odszkodowania całej ziemi obszarniczej i poniemieckiej w celu przekazania jej chłopom i robotnikom rolnym; nacjonalizację wielkiego przemysłu, kopalni, banków i transportu, stanowiących podstawę gospodarki narodowej...*" Zapowiadano powrót Polski na Ziemie Zachodnie i Północne, oraz trwałą przyjaźń i współpracę ze Związkiem Radzieckim, a rządowi w Londynie odmówiono prawa występowania w imieniu narodu polskiego.

Jest bardzo charakterystyczne, że w dwa dni po utworzeniu się Krajowej Rady Narodowej i wydaniu przez nią cytowanej tu odezwy, prawica polska, już w warunkach wyraźnej defensywy utworzyła Radę Jedności Narodowej, która w odezwie „O co walczy naród polski" zapowiadała odbudowę Polski jako państwa o ustroju parlamentarnym, przebudowę życia gospodarczego, reformę rolną i szereg innych demokratycznych reform. Tracąc ostatnie szanse podjęto więc — jak pisała „Trybuna Wolności" w przytoczonym tu artykule z kwietnia 1943 roku „...*próbę wyładowania energii mas ludowych w młynku patetycznych, pseudoradykalnych frazesów...*"

GDY WOLNOŚĆ STAWAŁA SIĘ FAKTEM...

22 Lipca 1944 roku, już na wyzwolonej ziemi polskiej, jej pierwszy rząd robotniczo-chłopski proklamował Manifest PKWN, w którym deklarował „...*uroczyście przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, pracy, sumienia...*" Zapowiadał także natychmiastowe przystąpienie do realizacji reformy rolnej — tej podstawowej dla polskiego społeczeństwa.

W grudniu 1945 roku, już w warunkach odzyskania niepodległości I Zjazd Polskiej Partii Robotniczej stwierdzał, że „...*powstała jedyna w dziejach Polski szansa utrwalenia swej suwerenności politycznej i gospodarczej, wykarczowania spuścizny reakcyjno-szlacheckiej i zapewnienia pokojowego rozwoju w ramach demokracji ludowej ku rozkwitowi wszystkich sił twórczych na drodze postępu społecznego...*

...*W rezultacie narodowego, społecznego i politycznego zwycięstwa demokracji polskiej oraz w wyniku przodującej roli klasy robotniczej, zaszły w życiu Polski głębokie przemiany: złamanie władzy politycznej obszarników i wielkich kapitalistów, podział ziemi obszarniczej między chłopów i robotników rolnych, objęcie przez państwo kluczowych pozycji gospodarczych, demokratyzacja życia politycznego i społecznego w Polsce — wszystko to, stanowiąc treść demokracji ludowej, tworzy sprzyjające warunki dla dalszej walki klasy robotniczej i ludu pracującego o ich całkowite wyzwolenie społeczne...*"

Rozpoczynał się w życiu narodu kolejny, jakże ważny etap rozwoju, który określał wizje programowe polskiej lewicy.

■

Student jaki jest...

Dokończenie ze strony 1

komórki, biochemia — powinny być potraktowane „marginalnie i zaliczane bez egzaminów". Adepci biologii molekularnej i mikrobiologii protestują przeciw przedmiotom typu zoologia bezkręgowców czy systematyka; adepci biologii środowiskowej oprotestowują biochemie i fizjologię. Wielu chce, by specjalizację wprowadzić już od I semestru, a przedmioty „ogólnobiologiczne" ograniczyć. Część studentów sądzi, że ćwiczeń laboratoryjnych jest za dużo; inni, przeciwnie, życzą sobie więcej ćwiczeń kosztem wykładów. Większość opowiada się za zwiększeniem wymiaru zajęć terenowych, koniecznie w miesiącach letnich i to „w jakiejś puszczy i tak, aby wszyscy byli razem" (?)

3. Postulat usunięcia języka rosyjskiego (nb. on nie jest obowiązujący) padł prawdopodobnie dlatego, że 47 proc. studentów deklaruje dobrą znajomość tego języka, a tylko 45 proc. — dostateczną. Co się języka angielskiego tyczy — tylko 11 proc. zna go dobrze, wg. własnej deklaracji, a 89 proc. — słabo. Rzecz o tyle dziwna, że studenci mają lektoraty, przy czym na początku studiów są informowani o wyjątkowo dużym znaczeniu jęz. angielskiego dla dalszego toku studiów.

4. Jedna trzecia studentów czas, spędzony na wykładach, uważa za dobrze wykorzystany; pozostałe 2/3 czas ten określa jako średnio lub zupełnie zmarnowany. Mimo to, wykład stanowi podstawę przygotowywania się do egzaminów dla 33 osób; z podręczników, w charakterze uzupełnienia wykładów, korzysta 18 osób. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że 41 proc. studentów sygnalizuje brak podręczników do większości przedmiotów, zwłaszcza do zoologii, fizjologii i filozofii. Jednak 12 proc. nie miało żadnych kłopotów z dostępem do podręcznika. Średnio zaś statystyczny student przez 5 semestrów na podręczniki i materiały uzupełniające wydał 6700 zł. Kwota ta wygląda na zawyżoną. Podręcznik dzisiaj kosztuje ok. 200 zł, a więc za 6700 zł można kupić 33 podręczniki — znacznie więcej niż było przedmiotów! I grubo więcej, gdy się zważy, iż ok. 40 proc. studentów przygotowuje się do egzaminów w oparciu o wykłady — chyba więc podręczników nie kupują i nie wypożyczają, skoro z nich nie korzystają?

5. Trzy czwarte studentów już wie, jaką pracę podejmie po studiach; w tym aż 26 proc. deklaruje chęć pracy nauczycielskiej, a pozostałe 48 proc. znajdzie zatrudnienie w placówkach naukowych i analitycznych, w stacjach ochrony środowiska itp. Grupa niezdecydowanych pisze, że nie żywi nadziei na uzyskanie pracy zgodnej z kierunkiem studiów — podejmie każdą pracę, byle dobrze płatną i atrakcyjną.

Co się tyczy pensji, jaką powinien otrzymywać absolwent biologii podejmujący pracę, to powinna ona wynosić obecnie ok. 15 800 zł. W tym 13 odpowiedzi brzmiało: „wyżej od średniej, a minimum tyle co średnia krajowa".

6. Czytelnictwo prasy nie jest popularne. Spośród dzienników przeglądany jest „Express Ilustrowany" (10 osób), „Głos Robotniczy" (9 osób) i „Dziennik Łódzki" (7 osób). „Trybunę Ludu" sporadycznie przeglądają dwie osoby. Z tygodników największą popularnością cieszy się „Kobieta i Życie" (11 osób), „Polityka" (7 osób), „Przekrój", „Fantastyka" i „Jestem" (po 6 osób) oraz „Przyjaciółka" (5 osób). Poza tym czytanych, zwykle przez jedną osobę, jest kilkanaście tytułów, w tym takie jak „Koń Polski", „Żagle i jachting motorowy", „Ruch muzyczny", „Znak". Ciekawe, że „Urodę" czyta też tylko jedna osoba — chociaż większość respondentów to respondentki. Czasopisma stricte naukowe nie są czytane.

„Odgłosy" sporadycznie przeglądają dwie osoby.

Spośród zasłużonych polskich przyrodników najszerzej znany jest prof. Władysław Szafer (23 odpowiedzi) i prof. Jakub Mowszowicz (22 odpowiedzi).

7. Na pytanie. *„Co wiesz o pracy przedstawicieli samorządu studenckiego do Senatu, Rady Wydziału i Rad Instytutów"* — padło 100 proc. odpowiedzi „nic, niewiele" w odniesieniu do Senatu i Rad Instytutów, i prawie tyle samo w odniesieniu do Rady Wydziału. Dwie osoby, jako delegaci, zadeklarowały pełną wiedzę w tej materii; nie napisały jednak jakie to problemy, żywotne dla środowiska, poruszali na tym najważniejszym dla Wydziału forum. Wielu studentów pisząc o braku wiedzy nt. pracy ich przedstawicieli do ciał kolegialnych dodawało: „nie jesteśmy o tym informowani", „nikt nas nie informuje".

8. Jedno z pytań dotyczyło podania problemów szczególnie żywotnych dla studentów, które to problemy i bolączki należałoby w trybie pilnym rozwiązać. 24 proc. ankietowanych nie wymieniło żadnego problemu. Pozostali wymienili długą listę: zwłaszcza zły rozkład zajęć (26 proc.), brak ciepłej strawy w miejscowym bufecie i niskie stypendia (po 21 proc.), potrzebę przywrócenia podziału na specjalizację „nauczycielską" i „nienauczycielską" (18 proc.), a sporadycznie: „umożliwić wolny wybór specjalizacji" (4 osoby), „za wysokie opłaty w DS i brak DS dla studentów z dziećmi" (3 osoby), „zbyt krótka praca dziekanatu", „brak pomocy naukowych i dostępu do publikacji naukowych" (3 osoby). Jednostkowo zgłaszane były potrzeby: „wydłużyć sesję", „zmienić regulamin studiów", „zaliczać ćwiczenia mimo nieobecności", „zmienić niektórych wykładowców", „więcej informować o wszelkich inicjatywach" (?), „brak motywacji do dobrej nauki" (?!), „umożliwić pracę samodzielną", „usunąć brudy z ubikacji" itd.

9. Wreszcie pytanie o pochodzenie życia na Ziemi. Za ideą jego samorzutnego powstania opowiedziało się 7 osób (21 proc.); za jego kosmicznym pochodzeniem — jedna osoba; a 22 osoby, tj. 65 proc. żywi przekonanie, iż zostało ono stworzone przez Istotę Najwyższą. Cztery osoby odpowiedziały: „nie interesuje mnie to", „wszystkie poglądy można ze sobą pogodzić" (jak?), „inne" (jakie?). Gdyby te 4 osoby włączyć do grupy (c), zgodnie z logiką, to mielibyśmy łącznie ok. 79 proc. opowiadających się za cudownym rodowodem życia!

Na analogiczne pytanie, postawione w 1982 r. biologom Australijskiego Uniwersytetu Narodowego, za aktem cudownej kreacji życia opowiedziało się 15 proc. studentów. Zaraz jednak dodawali, że oni wiedzą, co na ten temat mówi nauka, lecz prywatnie podporządkowują się kanonom wiary, którą wyznają.

UWAGI

Szczupłość analizowanej grupy nie pozwala na czynienie jakichkolwiek uogólnień. Niemniej wydaje się, że studenci mają dosyć mętne pojęcie o życiu i świecie, w którym żyją i w którym przyjdzie im pracować.

1. Jeżeli na półmetku studiów tylko jeden z pięciu opowiada się za ideą samorzutnego powstania życia na Ziemi — to albo rozminęli się z powołaniem przy wyborze biologii jako kierunku studiów, albo nie kojarzą faktów, są w swoim myśleniu i działaniu niekonsekwentni i alogiczni. Teorie na temat genezy Układu Słonecznego, powstania pierwocin życia na Ziemi i jego ewolucji aż po formy współczesne łącznie z Człowiekiem, mają mocną podstawę faktograficzną; nie ma w nich żadnych pierwiastków nadnaturalnych, acz wiele jest jeszcze zagadek i wątpliwości. Student teorie te powinien znać, i nie może odrzucać ich a priori. Eksponaty w muzeach przyrodniczych to fakty — a faktom nie godzi się zaprzeczać.

Pomińmy jednak sprawę światopoglądu. Przejdźmy do spraw bardziej konkretnych.

2. Biologia już dawno zeszła z poziomu opisywania form i kształtów, na poziom molekularny; tradycyjny zaś zielnik czy siatkę na owady zastąpiły wyrafinowane technicznie urządzenia. Od pierwszego zajęcia mówi się studentom, że najintensywniej rozwijające się kierunki współczesnej biologii wymagają dobrej znajomości pewnych działów fizyki i chemii, ponieważ na nich opiera się biofizyka, biochemia, biologia molekularna, genetyka, fizjologia *itd.* Biologia środowiskowa też wymaga posługiwania się aparaturą i wykonywania analiz chemicznych atmosfery, wód i gleb, a także określania zawartości pewnych substancji w organizmach żywych. Wszędzie zaś niezbędna jest matematyka z elementami informatyki i cybernetyki; bez niej nie da się policzyć nawet drzew w lesie, który zamierza się chronić. Już od pierwszych ćwiczeń studenci przy pomocy skomplikowanej aparatury wykonują finezyjne pomiary fizyczne i chemiczne, obliczają wyniki, obliczają stopnie ufności itd. No i na półmetku studiów dochodzą do wniosku, że te przedmioty ściśle są zbędne. Zwłaszcza zbędna jest matematyka — i to w chwili, gdy właśnie toczy się dyskusja nad komputeryzacją naszych szkół podstawowych. Z trzeźwością myślenia o dniu dzisiejszym, a zwłaszcza o przyszłości, musi być bardzo źle, jeżeli pada postulat usunięcia matematyki z programu studiów. Toż nawet humaniści coraz częściej do analizy dzieł literackich stosują metody matematyczne oraz informatyczne. Który zaś z moich studentów potrafi „dogadać" się z komputerem? Żaden.

3. Myślę, że nie tylko studenci są tu winni. Duża część winy leży po stronie nauczycieli akademickich. Oni mogą, i powinni, kształtować nastroje wśród studentów, powinni uświadamiać im jedność wiedzy (tylko ze względów pragmatycznych dzielonej na „przedmioty"), potrzebę opanowywania „przedmiotów pozakierunkowych" łącznie z filozofią — aby wyrabiać w sobie racjonalistyczny pogląd na świat, skoro nie ma dowodów, przemawiających za czymś odwrotnym, tj. za irracjonalizmem, deizmem, agnostycyzmem itd. Powinni — oczywiście, o ile sami posiadają tzw. światopogląd naukowy, ku któremu dochodzi się poprzez trud identyfikacji myślenia z tym, co się czyni; poprzez konsekwencję i śmiałość sięgania myślą właśnie poza granice już poznanego.

Odnoszę wrażenie, że tak studenci jak i kadra nauczająca nie zdają sobie w pełni sprawy z tego, co w dydaktyce nazywa się „uświadomieniem sobie celów dydaktyczno-wychowawczych, tak przez przedmiot jak i przez podmiot". Przepraszam, że sformułowanie to brzmi niezręcznie, ale oddaje istotę rzeczy.

Z punktu widzenia studenta — studiuje się, ponieważ praca po maturze nie jest zbyt zachęcająca. Lecz dla jakiego celu studiuje się, tego już nie wiadomo. Króluje tzw. dojutrkostwo", tj. studiuje się „dla zaliczenia", tylko na dziś, po kolei jak „nakazują i wymagają" — nie dostrzegając związku ani pomiędzy poszczególnymi „przedmiotami", ani tym bardziej związku tych „przedmiotów" z przyszłą pracą zawodową. Wiedza — stanowiąca jedność, ulega szatkowaniu; co zostało „zaliczone" może być z czystym sumieniem zapomniane, zrzucone, jako zbędny balast.

Wśród studentów wyobrażenia nt. roli absolwenta w społeczeństwie dzisiaj i w perspektywie 30—40 lat, są nikłe. Wyobrażenia wobec w ł a s n e j roli zawodowej są mgliste. Na półmetku studiów można deklarować podjęcie pracy w nauce, w stacji ochrony środowiska czy w szkole. Ale są to deklaracje w dużej mierze puste; świadomość obowiązków oraz potrzeby opanowania określonych umiejętności, związanych z wykonywaniem wybranego zawodu — jest wśród studentów chyba bliska zeru. Gdyby było inaczej, nie padałby postulat usunięcia pedagogiki — skoro 1/4 grupy już teraz chce podjąć pracę w szkole, a spora część pozostałych zostanie do tego zmuszona przez tzw. realia życia. Myślę, że studentom bardzo brakuje zajęć, przybliżających zagadnienie: gdzie i jak pracuje biolog, czego się po nim oczekuje, czego wymagać się będzie od niego w przyszłości po rok 2020, ilu Polsce trzeba biologów-naukowców, a ilu biologów-nauczycieli? Fruwających w obłokach trzeba ściągać na ziemię, jeżeli sami nie widzą potrzeby brania przykładu z ptaków — jednego z obiektu studiów biologicznych.

Studenci nie wiedzą, po co studiują: takie odnoszę wrażenie. Z drugiej strony uczelnie też nie wiedzą, dla kogo konkretnie kształcą, po co, i kogo kształcą. Przeto nie pada pytanie — jak kształcą. Nikt uczelni z poziomu absolwentów nie rozlicza, nikt niczego konkretnego w sprawie absolwentów nie wymaga, nikt nie składa reklamacji na dostarczonych nieuków dyplomowanych — można tym samym kształcić sobie a muzom. Jedni lepiej, drudzy gorzej, z pełną świadomością faktu, iż gorsze wypiera lepsze.

4. Wróćmy do studentów. Czas spędzony na wykładach uważają za średnio zmarnowany, a mimo to, to właśnie wykłady stanowią dla nich podstawę przygotowywania się do egzaminów; żalą się na „prowadzenie za rączkę", ale książki z własnej inicjatywy do ręki nie biorą. Książek najnowszych rzeczywiście nie importujemy; ale książek trochę starszych lecz wciąż aktualnych w bibliotekach jest wiele — można studiować do woli. — Mnie, jako wykładowcę, bardzo deprymuje, gdy widzę jak w miarę przechodzenia od spraw znanych od półwiecza do spraw „na dziś" — kontakt ze słuchaczami, będący prostą funkcją stopnia zrozumienia, rwie się i zanika. Muszę więc zamilknąć w chwili, gdy właśnie chciałem przedstawić alternatywne hipotezy i przypuszczenia, do sprawdzenia w przyszłości, i nakreślić perspektywy z grupy tzw. porywających (wiek XXI będzie na pewno wiekiem biologii!). „Porywających" — a dla kogo? Kogo to interesuje?

5. Przejdźmy do postulatów. Zdumiewa życzenie przywrócenia specjalizacji nauczycielskiej i nienauczycielskiej oraz specjalizacji kierunkowej już od I semestru. Zdumiewa, ponieważ w gorących latach 1980—81 to sami studenci protestowali przeciw podziałowi na „nauczycieli" i „nienauczycieli", uważając ten podział za krzywdzący i sprzeczny z poczuciem społecznej sprawiedliwości. Zgodzili się również, że biologowi każdej specjalności niezbędna jest znajomość przedmiotów „ogólnobiologicznych" — m.in. po to, by wyboru specjalizacji dokonywać bardziej świadomie niż zdolny jest tego dokonać maturzysta, a także po to, by móc dzieci w szkole uczyć o roślinach, o mikrobach i zwierzętach, o człowieku. Upłynęły zaledwie 3 lata, a nastawienie braci studenckiej zmieniło się, jak widać, diametralnie. Czyżby zawsze to, co jest, było złe?

Nawiasem zaś mówiąc zniesienie podziału na nauczycieli i nienauczycieli było potrzebne i głęboko racjonalne. Tak ze względu na ogromne potrzeby szkolnictwa, jak i ze względu na ułatwienie startu życiowego absolwentom. Biolog ze specjalizacją nienauczycielską nie miał prawa nauczać, nawet gdy los go rzucił do miejscowości, w której nie miał możliwości podjęcia innej pracy, jak właśnie nauczycielskiej. Teraz każdy biolog ma to prawo, choć, oczywiście, nie musi z niego korzystać. Znajomość podstaw pedagogiki przyda się również przy kontaktach z podwładnymi!

Praca nauczyciela była dotąd uważana za coś pośledniego. Cieszy więc, że aż co czwarty student pragnie zostać nauczycielem. Oby był to trwały symptom wzrostu prestiżu społecznego tego zawodu.

Najwięcej utyskiwań było na zmorę tzw. okienek pomiędzy zajęciami. No cóż, jest to konsekwencja wolnych sobót. Gdy się rezygnuje z jednego dnia, musi zabraknąć sal i miejsc w laboratoriach. Inne problemy można załatwić od ręki. Np. ciepła strawa w bufecie będzie, jeżeli któryś ze studentów podejmie pracę w charakterze zmywającego statki; dziekan zmieni godziny otwarcia dziekanatu z dnia na dzień, jeżeli dotrze do niego jednolity wniosek studentów; w ubikacji będzie czysto, jeżeli użytkownicy — studenci będą łaskawi spuszczać wodę po sobie, nie urywać sznurów od spłuczek, nie odkręcać kranów i nie „zwijać" mydła i papieru.

Zdumiewa całkowita niewiedza studentów — stanowiących, jako całość, samorząd — o pracy ich przedstawicieli w ciałach kolegialnych. Samorząd studencki jest całkowicie samorządny i niezawisły; wybiera spośród siebie delegatów według ordynacji nader demokratycznej. Lecz demokracja nie sprowadza się tylko do aktu tajnego głosowania; polega również na pilnowaniu, jak delegaci się spisują, na ile reprezentują wolę wyborców. Nie wystarczy usprawiedliwić swojej niewiedzy krótkim „nikt nas nie informuje". Informacji należy domagać się od delegata, a gdy ten skąpi lub zawodzi zaufanie — można go zmienić na innego. Jako uczestnik ciał kolegialnych wiem, że przedstawiciele samorządu studenckiego często są nieobecni, rzadko zabierają głos w sprawach konkretnych a żywotnych dla studentów, acz niektórzy z nich lubują się w wypowiedziach na tematy ogólnospołeczne i światopoglądowe. Że nie zawsze jest to światopogląd naukowy — świadczą wyniki tej ankiety o pochodzeniu życia na Ziemi.

Wypowiedź ta nie jest zjadliwym atakiem na Bogu ducha winne jagniątka, ani paszkwilem, chociaż za takie odebrana zapewne będzie. Jest kolejną próbą sprowokowania studentów do zabrania głosu o sobie samych. Głos mając — niech rozproszą wątpliwości i niepokoje, pobrzmiewające w wypowiedziach o studentach.

J. STANISŁAW KNYPL

Wyliczanka

IWONA SOKÓŁ

Jestem sobie takim Ktosiem, o którym pisać wypada, a nawet trzeba.

Przecież Ja — to przyszłość, nadzieja.

Będziecie mnie wielbić, o pomnikach na moją cześć nikt nie zapomni. Już teraz mówi się o mnie wiele — narzekacie, że tak długo trzeba czekać, nie dostając nic w zamian. Wytrzymajcie jeszcze trochę — muszę najpierw poznać to, co sami odkryliście. Głowię się nad tym od trzech lat (plus jeden urlop) i brakuje mi już niewiele. Potem dostanę papierek i wezmę się wreszcie za Was.

Takie są moje marzenia, które przez swoją niezrozumiałą niecierpliwość możecie zniszczyć.

Może mi się odechcieć — zostawię to wszystko i martwcie się sami o siebie!

Ciągle coś wymyślacie i przyozdabiacie słownictwem, które rozszyfrowuję ze słownikiem wyrazów obcych, a potem zastanawiam się, gdzie sens, gdzie choćby cień logiki?

Jutro zdaję egzamin, powinienem siedzieć nad książkami, ale nie mam czasu — najpierw muszę Wam wytłumaczyć, że za parę lat nie znajdziecie takich jak ja. Komu będzie się chciało tyrać nie wiadomo po co?

Teraz można jeszcze spotkać nas wielu — nie, nie jesteśmy idealni. Nieraz kwit (dawniej — ściąga) jest naszym jedynym ratunkiem, często nam się najnormalniej w świecie nie chce. Wielu jednak może się Wam na coś przydać. Nie niszczcie nas więc czymś tak przyziemnym jak pieniądze.

One szczęścia nie dają, to już wiemy, nie o szczęście też nam chodzi, ale o jego namiastkę, którą byłyby chwile bez ciągłego wyliczania, pożyczania i sztukowania (końców oczywiście).

Martwicie się o mnie i wiem — chcielibyście, żeby nie było mi źle.

Najlepiej to już chcą jednak wszyscy, którzy ukrywają się pod groźną nazwą — Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. To Oni jako jedyni głowili się od dłuższego czasu, jak ulżyć doli mojej i wreszcie przedstawili mi projekt (do dyskusji). Mowa w nim o pieniądzach, czyli o stypendiach.

Przeczytałem wszystko od deski do deski i znów nie rozumiem, wymyka mi się to najważniejsze — cel, którym jest zapewne moje dobro, a czego z tych kilku pięknie, równo zapisanych stronic wypatrzeć nie mogę.

Chciałbym podyskutować, dowiedzieć się gdzie błąd w moich rozmyślaniach tkwi, ale nie mam z kim.

Koledzy z mojego roku dostali dziwnego uczulenia na ten temat i rozeźleni poszli sprzedać zegarek, żeby przetracić jego wartość u babci. Babcia jedna ich rozumie i zawsze trzyma w pogotowiu eliksir, który najprzyjemniejszy w smaku nie jest, ale za to rozjaśnia umysł. Ponieważ własny czasomierz zużytkowałem już dawno, muszę spróbować na trzeźwo, logicznie rozwikłać problem, który chyba przerasta moje możliwości.

Trzeba by sobie postawić pytanie: czego właściwie chcę? Przecież studia to właściwie moja sprawa i niepotrzebnie się rzucam.

Ale, czy moją winą jest, że sam nie wydolę, że mama i tata chcą, a dać nie mogą?

Dzięki Wam wszystkim przetrzymałem jakoś te lata. Luki łatałem korepetycjami i myciem szyb.

W nowym projekcie czytam: „...obowiązkiem państwa jest zapewnienie niezbędnych do studiowania warunków osobom dorosłym, odpowiedzialnym za swoje plany życiowe...".

Dorosły to już chyba jestem, odpowiedzialny też staram się być, ale z trzech tysięcy, które dostaję z domu nie wyżyję.

Zaświadczenia o dochodach mojej rodziny nikogo mają już nie obchodzić. Zgodnie z duchem czasu, czyli jaka praca taka płaca, dostanę stypendium, jeśli będę się dobrze uczył (do 5400 zł). Zastanawia mnie tylko jak to zrobię, skoro większość czasu spędzę na przerzucaniu węgla. Oczywiście, mogę zostać zaliczony do grupy najbardziej potrzebujących i wtedy dostanę 1140 zł, bądź bony na obiady i 800 zł na akademik. Jeśli miejsca w Domu Studenckim mi nie przyznają za osiem stówek, wynajmę sobie komórkę. Śniadań i kolacji jadać nie będę, bo bliższe mi są potrzeby duchowe i resztę pieniędzy z domu spożytkuję na książki. (Ostatnio zakupiony podręcznik kosztował mnie trzy tysiące — nie w księgarni, tam miejsca na tak nudne szmiry nie ma).

Dobrze się uczyć — to by było coś. Żeby jednak to zrobić, musiałbym siedzieć dniami i nocami. Nocami szczególnie, bo zajęcia kończę przeważnie o 19. Na pusty żołądek nie jest to zbytnio wskazane i w związku z tym będę pewnie częściej opuszczał wykłady, żeby zdążyć na dworzec do kolejnego rozładunku.

W ten sposób uciułam trochę grosza i może kupię sobie rękawiczki, które gdzieś się zapodziały.

Tylko kiedyś na pytanie: studiowałeś? odpowiem — kombinowałem.

Egzaminy pewnie jakoś zdam, ale czy to „jakoś" jest komukolwiek potrzebne?

Wiele razy słyszałem, jak to dobrze mi się powodzi — dostaję przecież 8600 zł stypendium. Zawsze wtedy się uśmiechałem i nie próbowałem tłumaczyć, że to tylko teoria, bo i tak większość nie wierzy.

Czy to ważne, że wypłacono mi różnicę między tą kwotą a sumą przypadającą na mnie w rodzinie? Jakie ma znaczenie fakt, że z domu nigdy nie dostałem pięciu tysięcy? Nawet nie mógłbym o nie prosić. Wiem przecież, że mama jakoś nigdy nie dociąga bez pożyczek do pierwszego — taka już jest niegospodarna.

3600 zł (stypendium) + 3000 zł (z domu). = 6600 zł — tyle miałem co miesiąc.

Dwa tysiące płaciłem za akademik. Do stołówki nie chodziłem, bo za całodzienne wyżywienie zapłaciłbym 4500 zł. Na własne wydatki miałbym aż 100 zł.

Kiedy obiady w stołówkach staniały, zabrano mi 1000 zł ze stypendium. To, że posiłki były tańsze o 250 zł mniej nie miało doprawdy znaczenia.

Zawsze dawałem sobie radę i pewnie dalej tak będzie. Czy jednak starczy mi zapału jeszcze na dwa lata? Wielu z mojej grupy już nie wytrzymało — radzą sobie lepiej lub gorzej, ale żaden nie myśli o państwowej posadzie. Dawno już przekonali się, że pieniądz załatwi wszystko.

Sam powoli dochodzę do tego wniosku i tylko będzie mi trochę szkoda tych zmarnowanych lat. Geniuszem nie jestem, nikt po mnie nie zapłacze, jeśli odejdę. Zostaną przecież inni, bogatsi, na których przyjemnie popatrzeć. Łazęgi nareszcie zrozumieją gdzie ich miejsce.

Na pierwszym roku zrezygnować byłoby łatwiej. Przezywali mnie wtedy — Ryjec, bo ryłem i ryłem, żeby uzupełnić moją małomiasteczkową edukację, a i tak wyciągałem marne trójczyny.

Zapłaciłem sporo za to, że urodziłem się gdzieś na peryferiach.

Kiedy już dogoniłem moich bardziej oświeconych kolegów z większych ośrodków, okazało się, że czas rzucić skrypty i wziąć się do roboty (fizycznej oczywiście — nic tak dobrze nie wpływa na kondycję).

Mówiło się dużo o stypendiach zwrotnych — znam tylko kilku szczęśliwców, którym coś z tej puli skapnęło. Nagrody rektorskie za dobre wyniki w nauce dawno już poszły w zapomnienie — teraz całe stypendium ma być taką nagrodą.

Kto jednak na nią zasłuży? Ten, któremu rodzina pomoże zapomnieć o troskach materialnych. Taki ktoś, komu pieniędzy nie brakuje, dostanie ich jeszcze więcej, żeby osłodzić sobie wysiłek duchowy.

Reszta będzie rozwijać mięśnie. Mózg oczywiście również się wykorzysta, chociażby do rozwikłania problemu: jak przekonać egzaminatora, żeby wpisał tę trójczynę do indeksu?

Myślę, myślę nad tym nowym projektem i nic mi się w nim nie podoba. Zrozumiałem tylko tyle, że mam dostać dużo mniej i te wszystkie piękne zwroty potęgują jeszcze moje rozeżlenie.

Po co pisać, że rezygnuje się z przedkładania zaświadczeń o dochodach, skoro dalej jest mowa o tych gorzej sytuowanych, którym coś tam skapnie na obiady? Do tej grupy będzie chciało należeć wielu, a jak to sprawdzić? Tylko na podstawie zaświadczeń.

Wszystko będzie więc po staremu, tylko wypłacana suma zmniejszy się o parę cyferek.

Wprowadzenie zmian w systemie stypendialnym podyktowane jest podobno „...zabezpieczeniem możliwie największej liczbie studentów niezbędnych do studiowania warunków...". Czy przewidywane innowacje coś zmienią? Według tabelek zamieszczonych w projekcie na pewno: wyliczono, że student zamiejscowy dostanie średnio 2500 zł i po zapłaceniu za obiady, akademik zostanie mu jeszcze 560 zł!

Takie kalkulacje podnoszą bardzo na duchu, szczególnie jeśli spojrzy się na tabelkę dotyczącą starego systemu stypendialnego. Wynika z niej, że student zamiejscowy otrzymuje średnio 2634 zł, a za miejsce w Domu Studenckim, obiady powinien zapłacić 3440 zł. (Jak on to robi?).

Wyliczanie średnich jest zapewne bardzo budujące i nie rozumiem dlaczego wpływa na mnie odwrotnie. Czuję jakoś podświadomie, że ktoś tu chce mnie zrobić w konia, a nie bardzo wiem jak się bronić. Liczby mówią przecież same za siebie!

Jestem pewnie zbyt grubo ciosany, skoro nie mogę zrozumieć tych wszystkich dobrodziejstw, jakie niesie ze sobą nowy pomysł.

Wiem tylko, że moja siostra pewnie już zdawać na studia nie będzie i bardzo mi szkoda tych jej malunków, które zagracają w domu każde wolne miejsce. Może zresztą nie ma wcale tych wszystkich zdolności, o które ją posądzam — jako brat nie potrafię być przecież obiektywny.

Zbyt często emocje górują nad moim rozsądkiem i dlatego pewnie zobaczyłem wszystko w tak czarnym kolorze. Może jutro to czarne wyda mi się tylko szare? Pewnie tak będzie, ale nie wyzbędę się już chyba wstrętu do wszelkich wyliczanek. Urozmaicają czas — to prawda, szkoda tylko, że zawsze ktoś z takiej gry wypada...

Raz, dwa, trzy — studiujesz ty (?)

■

Wchodzili do historii

Dokończenie ze strony 1

— Wychodit' jeszcze nielzia. Wokrug miny. — To samo powtarza żołnierz z orzełkiem na czapce.

Powinnością ojca jest utrzymanie rodziny. Powinnością mężczyzny jest wojsko i walka. 30 lipca 1944 roku Karol Przesmycki zgłasza się do RKU w Kraśniku. Może być żołnierzem albo nauczycielem. O tym zadecydują ludzie siedzący za stołem, uważnie taksujący wzrokiem przybysza.

Syn pabianickich tkaczy, absolwent Wydziału Humanistycznego Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi (jeden z trzech pierwszych jej magistrantów, uczeń prof. Natalii Gąsiorowskiej, wychowanek głośnego Pedagogium im. Ewarysta Estkowskiego znakomicie orientuje się w różnicach między Mazurem Kajdaniarskim i Mazurkiem Dąbrowskiego. Wie też o tym, że znaczna część jego lubelskich kolegów pozostaje pod wpływem Tajnej Organizacji Nauczycielskiej, zajmującej wobec PKWN stanowisko wyczekujące. Zna to stanowisko i doskonale wie, że ci sami ludzie — mimo wyczekiwania — opowiadają się za natychmiastowym uruchamianiem szkół dla polskich dzieci i młodzieży. Od różnorakich wątpliwości i wahań, od obaw o los osobisty ważniejszą okazuje się troska o los młodego pokolenia. Odradzające się państwo potrzebuje pracy i ludzi światłych. Generacja polskich nauczycieli, wykształconych w międzywojennych szkołach, zaczyna więc budować życie na ruinach II wojny światowej. Karol Przesmycki był nauczycielem już przed wojną. Wychowany patriotycznie w domu, ze szkół wyniósł umiejętność pracy organicznej, wypraktykowanej na wsiach pogranicza polsko-niemieckiego. Poczucie obywatelskiego obowiązku kierowało go więc nieuchronnie w stronę RKU w Kraśniku.

Było już po Manifeście Lipcowym, znanym Karolowi Przesmyckiemu w całości, ale interesującym go szczególnie w historycznym zwrocie o powszechnej i bezpłatnej szkole dla wszystkich polskich dzieci. Wartość i historyczną doniosłość tych słów znał z autopsji aż nazbyt dobrze syn pabianickich tkaczy. Dojeżdżający do państwowego pedagogium tramwajem, płacący rocznie 60 zł czesnego, a nie każdego dnia mający pieniądze na bilet tramwajowy do Łodzi.

Zatem Komisja Poborowa RKU Kraśnik. Wzrok ludzi w mundurach przenosi się z przybysza na jego dokumenty. Członkowie komisji nie są zdecydowani. Tworząca się armia potrzebuje żołnierzy. Tworzące się szkoły potrzebują nauczycieli.

— Szkoły są teraz równie ważne, rozstrzyga przewodniczący komisji poborowej. Może był ojcem. Może stanęły mu przed oczyma własne dzieci... Był na pewno człowiekiem myślącym wielostronnie i na długi dystans. Karol Przesmycki oddelegowany jest do organizacji szkolnictwa. Kwalifikacje ma do tego pierwszorzędne. Niebawem też otrzymuje dokumenty potrzebne do poruszania się po okolicy, będącej zapleczem frontu i frontem zarazem.

Delegacje-komandirowki. Zaświadczenia-udostowierenija. Pożółkłe kartki pisane odręcznie i na maszynie. Komu dzisiaj przychodzi do głowy, że te papiery (bywało i stroniczki wydarte z zeszytów) rozstrzygały o życiu lub śmierci. Zależnie od tego kto brał do ręki dokumenty, kto legitymował pieszych cywilów, pasażerów chłopskich furmanek, okazyjnych ciężarówek i wojskowych willysów.

— W tamtych czasach — wspomina pan Karol — nieufność sąsiadowała z zaufaniem jakie okazywali sobie ludzie organizujący życie. Gdziekolwiek się pojawialiśmy słowa o szkole otwierały nam serca. Szkoła okazywała się skutecznym lekarstwem na rany wojenne, była dla większości spełniającym się po latach marzeniem, nie spełnionym w dzieciństwie i młodości. Słowo „szkoła" niosło też nadzieję na ład i spokój w domu ojczystym, ciągle przecież niespokojnym, choć już „odbitym od wroga".

— Szkołę w Janowie Lubelskim zorganizowaliśmy jeszcze przed przybyciem polskich władz cywilnych. Mając dwa budynki do wyboru, wybraliśmy ten, w którym jeszcze przed paroma godzinami pysznili się paniczykowie „Herrenvolku". Cała trudność polegała na tym, aby pierwszy krok był właściwy. Ocenić ludzi od pierwszego wejrzenia, zdobyć zaufanie i zaufać tym, z którymi będzie się pracować. Ludzie byli zamknięci w sobie. Nie zwierzali się sobie z niczego, obawiając się strzałów zza węgła. Jednocześnie gotowi byli pracować dla odradzającego się życia. Gotowość do pracy była nadzwyczajna, toteż praca polska rozlewała się jak rzeka.

Komitet organizacyjny pierwszego powojennego Gimnazjum dla Dorosłych w Kraśniku przeprowadził zapisy do szkoły w ciągu pięciu dni, egzaminy w ciągu czterech dni. Nauka rozpoczęła się po dwu dalszych dniach. Nominację dyrektorską do tej szkoły otrzymał Karol Przesmycki 22.10.1944 roku. Zachował się ten dokument z wymownym zakończeniem „niniejsze zaświadczenie służy jako tymczasowa legitymacja służbowa. Ponieważ praca w Gimnazjum odbywa się w godzinach wieczornych, okazicielowi służy prawo do przebywania poza domem do godziny 22 czasu środkowoeuropejskiego".

— Pracowałem w tej szkole do 20 stycznia 1945 roku. Twarze uczniów pamiętam do dziś. Jakaż to była młodzież! Obdarta, osierocona, głodna jak i jej nauczyciele, ucząca się przy świecach, w zimnych izbach szkolnych, ciężko doświadczona, a pełna zapału do nauki. Nigdy już potem nie miałem do czynienia z tak wspaniałą młodzieżą jak te pierwsze powojenne roczniki. Brakowało zeszytów, podręczników, nauczyciele uczyli z głowy, mając w pamięci przedwojenne programy i powojenne ogólne wytyczne. Czasem jedna książka musiała wystarczyć na lekturę dla całej klasy. Czytano ją zbiorowo, bo nikomu nie przyszłoby do głowy usprawiedliwić niewiedzę brakiem lektur. Gdzie te czasy, w których pracowitość, pomysłowość, zaradność wygrywały walkę z ranami wojny... Przyszło ojcować i matkować osieroconej młodzieży. Stawaliśmy się jej bliscy wobec śmierci najbliższych.

Dobrowolnie braliśmy na siebie dodatkowe obowiązki społeczne. Zaproponowano mi kiedyś urządzenie wieczornicy dla wojska. Miałem wygłosić pogadankę. O proszę, tu jest oryginalny konspekt. Ano popatrzmy punkt po punkcie na ten — dziś już — dokument, wiele mówiący o granicach swobody słowa i osobowości Karola Przesmyckiego: „1. Znaczenie przysięgi wojskowej — 2. Wartość zwycięstwa — moralna postawa żołnierza — podstawa zwycięstwa żołnierski czyn — sposób podejścia do ludności oswobodzonych terenów. 3. Naród z wojskiem — wojsko z narodem (hasło z 1791 roku). 4. Z trudu waszego i znoju Polska powstała by żyć — wyrąbanie orężem granic Polski (Odra-Nisa. zapis według oryginału ówczesnej pisowni)". To napisał historyk z wykształcenia, przedwojenny działacz Polskiego Związku Zachodniego. W pobliżu granic wschodnich kierując uwagę wojska ku zachodnim, nie ustalonym jeszcze granicom.

Mówił dalej słowami Adama Asnyka „ale nie niszczcie przeszłości ołtarzy, choćbyście mieli doskonalsze wznieść", przypomniał Pieśń Rycerską „Święta miłości kochanej ojczyzny" Słowem mądrym, dobrym i ludzkim wyposażał chłopaków mających iść na front. Uważał też za konieczne uświadomić im, że „wolność to jest wzajemne zrozumienie drugiego człowieka, zrezygnowanie ze swoich egoistycznych celów i dróg na rzecz wspólnego dobra wszystkich obywateli". Sam dręczony wątpliwościami ostrzegał przed brakiem tolerancji i — zwłaszcza — przed nienawiścią. Namiętności tamtego czasu nie były przecież mniejsze niż dzisiejsze...

W sobotę, 20 stycznia 1945 roku — wspomina dalej pan Karol — zobaczyłem przez okno szkoły wojskowego willysa. Zakomunikowano mi decyzję o natychmiastowym wyjeździe do Lublina i dalej. Już bez podawania kierunku. Miałem chyba godzinę na przekazanie szkoły następcy, spakowanie się, pożegnanie z rodziną. Całowałem żonę i dzieci z ciężkim sercem. Zostawali praktycznie bez żadnego zabezpieczenia. W Lublinie otrzymałem przepustkę do gmachu PKWN, oto ona. Czytamy z karteczki papieru wielkości połowy dzisiejszej recepty lekarskiej: „PKWN. Przepustka Nr A2, Ob. Karol Przesmycki ma prawo wejścia do pokoju 31 (...) na cały dzień. 21.I.1945 r.". Całość opatrzona charakterystycznym stemplem — podwójnym czerwonym trójkątem.

Z orłem jest drugi dokument: „Zaświadczenie Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej. Ministerstwo Oświaty i Wychowania deleguje ob. Karola Przesmyckiego do prac organizacyjnych na terenie województwa łódzkiego, do dyspozycji pełnomocnika rządu". Jeszcze zwięzła informacja wiceministra Biedowicza: Jedzie pan do Łodzi, jako delegat PKWN do spraw organizacji szkolnictwa średniego. Będzie pan w dyspozycji pełnomocnika rządu Ignacego Logi-Sowińskiego. To wszystko, życzę powodzenia.

— Na organizację szkolnictwa otrzymałem całe 2000 złotych. Na wydatki osobiste ani grosza. Obiad zjadłem przezornie w stołówce PKWN.

Karola Przesmyckiego powrotna droga do Łodzi wiodła przez Puławy — Radom — Opoczno. Ciężarówka z biało-czerwoną flagą budziła wszędzie radość. Posuwała się przecież za frontem i na jego linii. W ciężarówce było 6 pasażerów, trzech od reformy rolnej, trzech od oświaty. Wśród tych ostatnich byli: Józef Steliga — przyszły pierwszy kurator okręgu szkolnego, Marian Rękas — przyszły założyciel „Wici" w województwie łódzkim, w jego ówczesnych granicach.

— W Opocznie ustanowiliśmy w biegu pierwszą władzę szkolną. Nawet flagę wywiesiliśmy, skombinowawszy gdzieś poduszkowy purpur i prześcieradlaną biel. Urzędnicy państwowi musieli być wtedy zaradni.

— Na rogatkach Widzewa robotnicy z kwiatami. Skąd oni wzięli kwiaty w zimie, w czwartym dniu wolności, tego ja już nie wiem. Pamiętam, że zażądali od delegatów szkoły dla robotniczych dzieci. Prawdę mówiąc, już w Kraśniku przygotowywałem się na Łódź. Wyjąłem tedy... mapę sieci przyszłego szkolnictwa i pokazałem palcem, że ta szkoła będzie „za mostem". Całkiem konkretnie odpowiadała wtedy młoda władza na robotnicze postulaty...

Mapa, niestety, gdzieś zaginęła. Ocalał opis proponowanej sieci szkolnej. W sprawozdaniu dla władz tak go charakteryzował Karol Przesmycki: „Przedwojenna sieć szkół średnich na terenie Łodzi nie miała żadnego uzasadnienia, ani ze względu na dobro młodzieży, ani zdrowotność itp. Były to szkoły prywatne, dostępne dla wybrańców losu, pod względem społecznym selekcjonowane, wszystkie w śródmieściu. Obecna sieć szkół średnich opiera się na przesłankach zdrowotnych, dobra młodzieży i rodziców, udostępnienia szerokim masom szkoły średniej ogólnokształcącej, wyprowadzenia ich ze śródmieścia do dzielnic robotniczych i umieszczenia w możliwie najlepszych warunkach np. przez wykorzystanie pofabrykanckich pałaców".

Całkiem klarowna koncepcja. Wywiedziona najwyraźniej z ducha Manifestu i z doświadczenia osobistego syna pabianickich tkaczy. Manifest Lipcowy dawał wszystkim dzieciom polskim polską szkołę i zwalniał je z czesnego. Czynił to, w ślad za Manifestem, delegat PKWN.

Starania o szkołę raz jeszcze podejmuje Karol Przesmycki wspólnie z nauczycielami, tysiącami rodziców i samych uczniów. Do dzisiaj zadziwia, budzi szacunek tempo i rozmiar tej pracy.

22 stycznia 1945 w Grand Hotelu odbywa się — nazwijmy to tak — pierwsza konferencja prasowa. Z udziałem przedstawicieli Ministerstwa Propagandy. Karol Przesmycki referuje całościowo odbudowę szkolnictwa na terenie Łodzi i województwa łódzkiego (w jego ówczesnych granicach). Mówi się również o szkołach wyższych w liczbie mnogiej, choć formalnie jest zezwolenie na jedną tylko uczelnię. To dlatego Uniwersytet Łódzki miał początkowo 24 wydziały, co pozwoliło na wyodrębnienie z czasem Akademii Medycznej. Kto miał wgląd w archiwum Eugenjusza Ajnenkiela ten wie, jakie fakty dokonane stworzono w Łodzi organizując np. Politechnikę Łódzką. Żyją też jeszcze ludzie, którzy pamiętają jak owe fakty tworzono...

23 stycznia, w budynku przy ul. Cegielnianej 11 (obecnie Jaracza) otwarto Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego. Jako pierwszego przyjęto do pracy Ludwika Piotrowicza. Obsługiwał centralę telefoniczną.

24 stycznia 1945 roku mianowany został pierwszy inspektor szkolny na miasto Łódź — Józef Polakowski.

27 stycznia zbiera się w kinie „Polonia" 200 nauczycieli. Stawili się w odpowiedzi na odezwę — zredagowaną już 24 stycznia i rozlepioną w mieście. Przyszli wynędzniali i głodni, niektórzy jeszcze w obozowych pasiakach. Rozszlochali się śpiewając „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród". Rota w całej Polsce leczyła urazy i psychiczne okaleczenia. Dodawała ducha i sił do pracy. Tworzenia życia dla żywych.

Po stronie zysków zapisuje Karol Przesmycki 72 szkoły średnie (w tym 9 społeczno-samorządowych). W tej liczbie mieszczą się również 22 szkoły wiejskie i w małych miasteczkach, gdzie przed wojną było tylko 9 szkół średnich. Tyle udało się uruchomić w całym ówczesnym województwie do marca 1945 roku. Równolegle uruchomiono sieć szkolnictwa podstawowego wraz ze szkołami specjalnymi, kursami dla analfabetów, liceami dla dorosłych.

4 marca 1945 roku, przy odrestaurowanym przez młodzież grobie Nieznanego Żołnierza odbywa się święto Odrodzonej Szkoły Polskiej.

18 marca 1945 r. wizytuje Łódź minister oświaty Stanisław Skrzeszewski. Karolowi Przesmyckiemu dostaje się wtedy coś w rodzaju publicznej.. reprymendy za... zbyt wielki rozmach.

— Minister robił wrażenie człowieka zaskoczonego faktami dokonanymi, zastanawiającego się jakby nad tym, czy są one na miarę możliwości. Takich wątpliwości nie mieli koledzy nauczyciele. Liczyliśmy raczej siły na zamiary, a potrzeby znaliśmy od podszewki. Zbyt długo walczyła Łódź o swoje wyższe uczelnie i o powszechną, bezpłatną szkołę dla wszystkich dzieci, aby nie wykorzystać dziejowej szansy. Wyobraźni i uporu, na szczęście, wystarczyło.

15 lipca 1945 roku (inne źródła podają 19 lipca — dop. autorki), w budynku I Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika odbyło się pierwsze po wojnie wręczenie świadectw maturalnych. Otrzymało je 412 maturzystów, w wieku 20—40 lat. Radość młodzieży, nauczycieli i rodziców przyćmiła ostatecznie pamięć o ministerialnej reprymendzie.

Losy naczelnika Wydziału Szkół Średnich w pierwszym powojennym kuratorium — Karola Przesmyckiego — zaczynają się jednak wikłać, w sposób charakterystyczny dla powikłań tamtego czasu. Odchodzi więc z kuratorium na własną prośbę, nie mogąc znaleźć wspólnego języka z paroma tylko osobami. Różnili się poglądami na przyszłość szkoły. Lansowano 11-latkę, pan Karol (i nie on jeden) postulował 12-latkę. Rezygnuje więc z pracy w kuratorium w 1946 roku, ale nie odchodzi w próżnię. Wraca na dobrze sobie znany szlak zachodni, organizując między innymi szkolnictwo zawodowe na Ziemiach Zachodnich i Północnych, podlegające resortom gospodarczym. Z tymi resortami jakoś łatwiej było się dogadywać...

W 1976 roku, 69-letni emeryt, uczeń Natalii Gąsiorowskiej, zrobił doktorat na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dokończył to, co sobie przyrzekł, jeszcze w Wolnej Wszechnicy Polskiej. Nie pytajmy ilu ludzi w tym wieku potrafi zdobyć się na taki wysiłek. I tak przecież wiadomo, że zdobywają się tylko nieliczni.

Pan Karol Przesmycki wiedzie nadal czynny żywot społecznika. Nie jest zdrowy, a nie narzeka na zdrowie. Niechętnie też mówi o sytuacjach, w których przesiadać się musiał z wozu pod wóz.

— Nie wszystko, proszę pani, jest „na sprzedaż", słyszę z ust filozoficznie uśmiechniętego człowieka, znającego już miarę rzeczy i zdarzeń. — Moja generacja doświadczyła wiele. Mam chyba prawo sądzić, że odchodzimy z godnością pokolenia, które spełniło swoją człowieczą i obywatelską powinność. Wchodząc do historii imiennie i bezimiennie, pracą zaznaczyło swój ślad na ziemi ojczystej.

— Z jednego tylko chciałbym się zwierzyć, przez pamięć kolegów, których już nie ma wśród żywych. Tak wielu odeszło... tak wielu...

— Gorzko bywa mi tylko wówczas, gdy sobie uświadamiam, że nikt jakoś nie wpadł na pomysł, aby raz jeszcze zebrać w kinie „Polonia" tych 200 nauczycieli i powiedzieć im „dziękujemy". Proszę mnie tylko dobrze zrozumieć. Daleki jestem od jątrzenia. Ostrzegam jedynie przed brakiem refleksu. Zastanawiając się często nad tym, dlaczego tak trudno utrzymać nam to, co już raz zostało dobrze zrobione, dochodzę do wniosku, iż między innymi dlatego, że u nas łatwiej bywa o order, niźli o słowo „dziękuję". Wypowiedziane w porę i do właściwych ludzi.

HALINA CYWIŃSKA

PS. Archiwa dotyczące dziejów oświaty łódzkiej są, oględnie mówiąc, wysoce niekompletne. Coraz częściej jedynymi źródłami do dziejów najnowszych stają się tzw. relacje mówione. Z tych też względów niniejszy tekst został autoryzowany z data 29.I 1985 roku. **(HC)**

(Tekst ten oraz zamieszczony w ubiegłym tygodniu reportaż Władysława Malki pt. „Ulica" zostały nagrodzone w regionalnym konkursie dziennikarskim SD PRL na publikację związaną z czterdziestoleciem Polski Ludowej).

■

TOMASZ SAS (2)

Wybory zdrowego rozsądku

1.

Tydzień temu rozważania pod tym samym tytułem przerwałem na kwestii wielce prawdopodobnej możliwości sprofesjonalizowania się sejmu i powstania zawodu deputowanego. (Nie należy mylić parlamentarnego zawodowstwa z posłowaniem przez kilka kolejnych kadencji, co jest w naszym sejmie wcale nierzadkie a poniekąd zrozumiałe...)

Gdyby się uprzeć, można byłoby znaleźć kilka niewątpliwych zalet takiego systemu. Pierwsza z nich to poziom profesjonalnych kwalifikacji posłów w trudnej dziedzinie tworzenia i ustanawiania praw. Normotwórstwo jest wysoce wysublimowaną dziedziną teorii prawa i jednocześnie bardzo elitarną umiejętnością praktyczną. Na uniwersytetach tego prawie wcale nie uczą; przyszli prawnicy czasem słyszą na wykładach anegdoty o tym, jaki to zwięzły i logicznie skonstruowany był kodeks karny w 1932 roku, albo taki kodeks zobowiązań, czasem wspomina się o historycznych przykładach prawniczego gadulstwa, np. o niektórych fundamentalnych ustawach c.k. monarchii Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa (tzw. austriackie gadanie...). Ale nie pamiętam z czasów własnej edukacji, aby kogokolwiek nauczono, jak się pisze proste zarządzenie naczelnika gminy chociażby...

Zawodowi deputowani może umieliby przynajmniej panować nad własnymi inicjatywami ustawodawczymi i radosną twórczością ekspertów zatrudnianych przez administrację w dziele tworzenia tzw. rządowych projektów rozmaitych praw. A może nawet potrafiliby sami to robić.

Ale nie jedyna to zaleta. Można mniemać, że sejm zawodowców byłby lepiej przygotowany do reprezentowania obywateli. Mam tu na myśli dwie szczególne formy tej reprezentacji — poselską pracę w terenie (spotkania interwencje i w ogóle „załatwianie") oraz kwestię interpelacji. Na tę pierwszą zawodowcy po prostu mieliby więcej czasu i fachowego przygotowania — w drugiej sprawie natomiast nieustępliwość, krytyczna dociekliwość i duża niezależność profesjonalnego deputowanego stwarzałaby większe „zagrożenie" dla administracji.

Nie są to jednak zalety których nie można zrównoważyć. Sprawność prawotwórcza jest możliwa do osiągnięcia i dziś — należy udoskonalić i rozbudować prace sejmu z własnymi, niezależnymi ekspertami i doradcami, a zwłaszcza z Radą Społeczno-Gospodarczą, cennym „opiniodawcą zbiorowym", że nie wspomnę o możliwości tworzenia — zależnie od potrzeb — ad hoc zespołów wyspecjalizowanych w konkretnej dziedzinie.

Lepsze reprezentowanie (w tym znaczeniu, jakie tu podniosłem) jest możliwe poprzez sprawne zorganizowanie obsługi posłów w okręgach. Wojewódzkie zespoły poselskie to mało — posłowie muszą dysponować niewielkimi, ale fachowymi „kancelariami", gromadzącymi informacje i dokumentację, prowadzącymi korespondencję i przeprowadzającymi „śledztwa" w konkretnych, indywidualnych sprawach. Poseł nie może być sam — ani w terenie, ani na Wiejskiej; potrzebna jest perfekcyjna (i indywidualna dla każdego, ale skromna ilościowo) obsługa.

Tak więc zalety poselskiego zawodowstwa są łatwe do uzyskania — innymi drogami — i w systemie, gdzie reprezentantami będą działacze polityczni i społeczni. Podstawowej wady natomiast wyeliminować się nie da tak łatwo.

Jest bowiem rzeczą niemal pewną, że zawodowstwo w sejmie, mimo najwyszukańszych zabezpieczeń, obarczone byłoby swoistą insanią moralną i polityczną. Cała ideologia systemu przedstawicielskiego sformułowana w konstytucji i ujawniająca się poprzez praktykę organizacji politycznych i społecznych, sprowadza się do demokratycznego, a więc swobodnego w y b o r u najwyższej władzy państwa. Na ludzi wchodzących w jej skład nakładamy rozległe obowiązki i jednocześnie wyposażamy w daleko idące uprawnienia polityczne i osobiste, albowiem pragniemy — poprzez tychże ludzi — rządzić się nie tylko sprawnie i troskliwie, ale i wiarygodnie, w myśl woli większości. Chcemy, aby było co najmniej tak, jakbyśmy sami rządzili bezpośrednio...

Tymczasem zawodowców w y n a j m u j e s i ę do określonego zadania. Na tym polega różnica... Ich identyfikacja z politycznymi celami i interesami grup udzielających mandatu nie jest naturalnym składnikiem ich obywatelskiej świadomości — jest wymuszona przez kontrakt. I tego nie da się wyeliminować... Co więcej — takim sejmem znów byłoby bardzo łatwo centralnie sterować.

Pozostawmy zresztą na boku te dygresje o ewentualnej profesjonalizacji parlamentu. Jest to w naszych warunkach perspektywa nader odległa, jeżeli w ogóle realna. Chodziło mi tylko o przedstawienie pewnych niebezpieczeństw kryjących się za ujawnianą w bieżącej dyskusji o przyszłych wyborach tendencją do wasko pragmatycznego pojmowania roli sejmu.

O niebezpieczeństwach kryjących się z kolei za zbytnim idealizmem wyborów pisze poniżej.

2.

Wysuwanie kandydatów w oczywisty sposób decyduje o społecznej ocenie wiarygodności i ważności całego aktu wyborczego.

Jest to teza, w której prawdziwość ani chwili nie wątpię. Stosunek obywateli do wyborów będzie dokładnym odwzorowaniem ich stosunku do kandydatów na posłów w tych wyborach. Chodzi teraz o dokładne uświadomienie sobie wszelkich możliwych konsekwencji tego — skądinąd uzasadnionego — zjawiska politycznego; zjawiska, które nie zawsze jest jasno postrzegane przez uczestników naszego życia publicznego, przede wszystkim przez animatorów tegoż życia... Mam tu na myśli tych tylko którzy praktykują pogląd, że zjawisko o którym się nie mówi, którego się nie dostrzega, tym samym nie istnieje.

3.

Jakież tedy mogą być najdonioślejsze konsekwencje tego powszechnie odczuwanego związku między stosunkiem do wyborów a stosunkiem do samych kandydatów?

Tryb wyłaniania kandydatów jest oczywiście wewnętrzną sprawą każdej organizacji politycznej i społecznej, która z mocy ustawy uzyska to prawo. Z założeń do projektu ordynacji wynika, że będzie to niezmiernie szeroki zbiór: po wyliczeniu partii politycznych stowarzyszeń katolickich i PRON projekt przewiduje jeszcze związki zawodowe, organizacje rolników, związki kombatantów, związki młodzieży, organizacje kobiece i „inne masowe organizacje społeczne". Już w tym ostatnim sformułowaniu zamyka się ogromna ilość możliwości. Przede wszystkim problem definiowania: co to znaczy „masowa"?, co tu decyduje — liczba członków, specyfika zadań statutowych, może wysokość barier formalnych stawianych przed aspirantami do takich organizacji? Zagłębianie się w te rozważania podobne jest liczeniu diabłów na czubku szpilki... Jestem zdania, że dla uniknięcia nieporozumień należy po prostu szczegółowo i konkretnie — z podaniem nazwy w pełnym brzmieniu — wyliczyć w ustawie te organizacje, którym przyznaje się prawo zgłaszania kandydatów.

Zapewne będzie to ograniczenie kanonów demokracji, którymi tak chętnie szermujemy. Nie leży jednak w interesie społecznym czynienie z aktu wyborczego swoistego „targowiska" rozmaitych grup nacisku — zbyt poważna to sprawa.

Gdyby ostały się rozwiązania proponowane w projekcie ordynacji to konwent wyborczy nie miałby prawa odmówić żadnej z uprawnionych organizacji — w tym także owych nieokreślonych „innych" — umieszczenia jej kandydatów na liście osób, które mają być „prezentowane społeczeństwu dla zebrania o nich uwag i opinii wyborców". Dopiero przyszli wyborcy mogliby ewentualnie wpłynąć na skorygowanie zgłoszonych kandydatur w trakcie prezentacji na zebraniach przedwyborczych (a'bo i nie...).

Być może wyrządzam krzywdę owym „innym organizacjom społecznym" i ich wspaniałym ofiarnym działaczom, być może deprecjonuję ich wierność wobec konstytucji i przywiązanie do zasad porządku prawnego w PRL. Być może... Ale pragnę, by moim reprezentantem w organie najwyższej władzy państwowej był działacz polityczny a nie np. zasłużony działkowicz albo namiętny turysta, czy nawet przodujący honorowy krwiodawca. (Wszystkich moich współobywateli, którzy mogliby poczuć się dotknięci tym przykładowym i przypadkowym wyliczeniem, najserdeczniej przepraszam.)

Domagam się przeto, by ustawa ściśle określiła krąg uprawnionych do zgłaszania kandydatur.

Ale krąg ten będzie i tak wystarczająco szeroki, by dla większości obywateli stworzyć przynajmniej potencjalne możliwości aktywnego uczestniczenia już we wstępnej fazie aktu wyborczego — przy wyłanianiu kandydatów. Bowiem prawie każdy do czegoś należy; stopień zorganizowania dorosłych członków społeczności współczesnych Polaków jest godny uwagi właśnie z punktu widzenia możliwości współuczestnictwa w poszukiwaniu najlepszych spośród nas na listy wyborcze.

Tak więc rzeczywista aktywność większości obywateli w procesie wyłaniania kandydatów poprzez liczący się udział w pracach ogniw organizacji politycznych i społecznych może mieć (i będzie miała...) decydujący wpływ na późniejszy rzetelny i odpowiedzialny stosunek do samego aktu głosowania.

4.

Jeżeli ta szansa zostanie zaprzepaszczona, wszyscy możemy „przegrać" wybory. Oczywiście nie w dosłownym, formalnym znaczeniu. Możemy je przegrać moralnie i politycznie — gubiąc wartości podstawowe — na przykład wiarygodność procesu demokratyzacji, możliwość poprawy „samopoczucia politycznego" większości rodaków, czy możliwość odrzucenia postaw biernego wyczekiwania jako sposobu na egzystencję w życiu zbiorowym, wreszcie szansę praktycznego udowodnienia że od podstaw i działania zwykłych obywateli naprawdę zależy coś ważnego w skali całego państwa. Chodzi przecież o współudział w tworzeniu władzy!

Istnieje jeszcze jedno zagrożenie. Jest to ewentualność „zmęczenia się" obywateli po dołożeniu należytej staranności w wyborze kandydatów na posłów wewnątrz organizacji politycznych. Naturalnie nie chodzi tu o znużenie w sensie czysto biologicznym ani o zniechęcenie.

„Zmęczenie" to byłoby raczej pochodną silnie rozpowszechnionego i zakorzenionego w zbiorowej świadomości zjawiska rytualizacji samego aktu wyborczego. Jest to mniemanie, wsparte zresztą wieloletnimi obserwacjami naszej praktyki politycznej, że każdy, kto kandyduje zostanie wybrany — jeżeli tylko kandyduje na właściwym — to jest mandatowym — miejscu listy. Ten swoisty rytuał wyborczy został nam skutecznie zaszczepiony — nie bez naszego własnego udziału zresztą — w ciągu co najmniej trzydziestu pięciu lat. I co tu ukrywać — przyjął się...

W całym czterdziestoleciu wyryły nam się w pamięci właściwie tylko dwa hasła wyborcze: „3 x TAK" i „Nie skreślaj!".

Pierwsze z tych haseł rzeczywiście dotyczyło prawdziwego w y b o r u — opowiedzenia się w powszechnym referendum za rozwojem socjalistycznej Polski lub przeciw niemu; wokół tego hasła toczyła się ostra walka polityczna, o takim natężeniu namiętności, jakiego dzisiaj nie znamy chyba nawet w latach ostatnich, chociaż i dzisiejsze konflikty są wcale nie „chłodne".

Drugie z haseł natomiast przyczyniło się do swoistej politycznej „kastracji" samego aktu wyborczego i jego uczestników. Gdy zostało rzucone po raz pierwszy, chodziło jeszcze o wybór o opowiedzenie się w sposób manifestacyjny za programem Frontu Jedności Narodu, czy wprost o poparcie dla Gomułki i jego linii. W każdym razie jeszcze o coś chodziło, o coś nie do końca oczywistego, co miało się w wyniku wyborów sprawdzić. Potem szło już tylko o to, by „wygrywać" wybory w blisko stuprocentowej skali. Chęć zabezpieczenia się, a nawet zyskania komfortu rządzenia w jednomyślnym społeczeństwie uśpiła instynkt samozachowawczy centrum dyspozycyjnego władzy. Wyzbyto się w ten sposób istotnego układu informacyjno-ostrzegającego, przede wszystkim o rozmiarach wpływów antyustrojowej opozycji oraz o stanie nastrojów społeczeństwa.

W każdym razie jeszcze obecnie siła realna owego bezrefleksyjnego, rytualnego głosowania jest znaczna. Dlatego licząc się z nią należy przede wszystkim położyć nacisk na proces wyłaniania kandydatów i możliwie szeroki udział wszystkich obywateli w nim. Ale nie mniej ważne jest zwalczanie (co zresztą nie uda się od razu, w czekających nas jesienią wyborach) obywatelskiej bierności w samym akcie głosowania.

Jedna droga na której można to osiągnąć, jest oczywista — to wprowadzenie w ustawie obowiązku skreślania (może nawet pod rygorem nieważności głosu, jak to zrobili Bułgarzy...) nazwisk kandydatów na karcie wyborczej. Jest to rozwiązanie doskonale współgrające z systemem ustawiania kandydatów parami do jednego mandatu. Z jednej bowiem strony wymusza dobieranie kandydatów doprawdy równorzędnych, z drugiej zaś skłania do prowadzenia aktywnej kampanii wyborczej.

Oczywiście i w tym układzie byłoby możliwe podstawienie takiego figuranta (jak w systemie miejsc mandatowych) aby wybór między dwoma kandydatami był dla każdego oczywisty. Ale byłoby to po pierwsze obraźliwe dla wyborców i mogłoby wpłynąć na polityczną atmosferę oraz ocenę wiarygodności wyborów a po drugie — byłoby ryzykowne, gdyż budziłoby ducha przekory i oporu, drzemiącego w większości naszych rodaków...

5.

Udział w procesie wyłaniania kandydatów to dopiero połowa wyborów. Można się zresztą spodziewać że aktywnego udziału w nim większość obywateli jednak nie weźmie. Niezależnie bowiem od stopnia zorganizowania, nie wszyscy uczestnicy wspólnot politycznych i społecznych w jednakowym stopniu chcą i mogą brać udział w ich wewnętrznym życiu. Naprawdę i wbrew wszystkiemu aktywni są tylko ekstremiści, ludzie posiadający silną potrzebę uzewnętrzniania swoich poglądów niezależnie od okoliczności, a nawet narzucania ich.

Zgodnie z konstytucją i zasadami projektowanej ordynacji w procesie zgłaszania kandydatów obywatele mogą brać udział tylko w sposób zorganizowany. Nie dla wszystkich jest on dostępny, a z drugiej strony nie zaspokaja wszystkich potrzeb uczestniczenia w życiu publicznym. Potrzeb, które są jednocześnie niezbywalnym konstytucyjnym prawem każdego z nas. Poza tym ostatecznie akt woli wybrania swego przedstawiciela do sprawowania najwyższej władzy w państwie jest z mocy konstytucji aktem indywidualnym autonomicznym, o zagwarantowanej tajności.

Każdy zatem wybiera sam, toteż rzeczą istotną jest, by czuł się za ten wybór odpowiedzialny przed sobą samym przede wszystkim. Aby się z nim identyfikował.

Są dwa sposoby osiągnięcia takiego stanu obywatelskiej świadomości. O jednym z nich była już mowa — to aktywny udział w procesie wyłaniania kandydata, za którym potem trzeba się opowiedzieć przy urnie, na rzecz którego należy prowadzić rzeczową agitację.

Drugi sposób to rzetelna i wielostronna kampania wyborcza jako proces prezentowania i częściowej choćby weryfikacji kandydatów.

6.

Projekt ordynacji przewiduje w zasadzie dwa sposoby kampanii wyborczej, nazywając ją „prezentacją kandydatów". Pierwszy z tych sposobów to zebrania przedwyborcze dostępne dla wszystkich obywateli, z udziałem kandydatów. Drugi to **„szerokie przedstawianie kandydatów w środkach masowego przekazu"**. Prezentacja jest organizowana w celu zebrania uwag i opinii wyborców o kandydatach — tak stanowi projekt ordynacji.

Będzie ona miała — ciągle wedle projektu — spore znaczenie prawne i jednocześnie polityczne. Ostateczny bowiem wpis kandydata na listę wyborczą będzie mógł nastąpić dopiero po „prezentacji"; kandydat nie prezentowany wyborcom nie może znaleźć się na liście zarejestrowanej do głosowania.

Dalej jednak w projekcie są już pewne niejasności; jasne jest tylko jedno — obywatele uczestniczący w zebraniach nie będą mieli prawa zgłaszać własnych kandydatów (powiedzmy dokładniej — kontrkandydatów), tak jak to przewiduje obowiązująca ordynacja wyborcza do rad narodowych. Niektórzy sądzą, że jest to krok wstecz wobec obietnic demokratyzowania przedstawicielskiego systemu władzy. Nie podzielam tego poglądu — co więcej uważam, że ordynacja sejmowa z natury rzeczy musi być bardziej konserwatywna w tej mierze od systemu wyborczego do rad narodowych.

Spotkałem się już z pytaniem — dlaczego? Sądzę, że ze względu na różnice między „lokalnością" rad narodowych i „ogólnopolskością" sejmu. W gąszczu interesów lokalnych krzyżujących się w działalności rady narodowej zdolności reprezentatorskie radnego mają większe znaczenie dla niego samego, całej rady i współobywateli niż jego polityczna przynależność, chociaż i ta nie jest zupełnie obojętna. W sejmie jest nieco inaczej. Wprawdzie mandat poselski wedle konstytucji ma charakter imperatywny — to znaczy, że poseł reprezentuje swoich wyborców (i nikogo ani niczego poza tym), ale praktyka polityczna sprawowania najwyższej władzy w państwie wymaga oderwania się od tej płaszczyzny funkcjonowania parlamentarzystów, gdy tak nakazuje racja stanu i podstawowe, egzystencjalne interesy klas rządzących, narodu oraz państwa.

Jest to nader obszerny i interesujący temat dlatego rezerwuję sobie prawo powrotu do tych rozważań w przyszłości. Na razie wróćmy do niejasności w samej kampanii wyborczej...

Jest rzeczą bezsporną, że konwenty będą rejestrować poglądy i opinie wyborców na temat kandydatów. Jak jednak postąpić w wypadku zdecydowanego sprzeciwu obywateli wobec konkretnej kandydatury? Czy protest będzie miał charakter wiążący dla konwentu? Tego projekt nie wyjaśnia. Sądzę wszakże, iż sprecyzowania tego problemu nie będzie można uniknąć, choćby z powodu zachowania maksymalnej wiarygodności aktu wyborczego. W innym razie prezentacja będzie fikcją — i to bardzo szkodliwą z punktu widzenia potrzeby (nader powszechnie dostrzeganej) rozbudzania aktywności obywateli w życiu publicznym.

7.

I jeszcze jedna niejasność tym razem ważna dla mnie osobiście — dla dziennikarza i współredaktora pisma, a nie obywatela. Chodzi mi o proponowane w projekcie ordynacji „szerokie przedstawianie sylwetek kandydatów w środkach masowego przekazu".

Jeżeli tego rodzaju sformułowanie znajdzie się w obowiązującej ordynacji, to ja muszę wiedzieć czy jest to tylko stwierdzenie postulatywne czy zobowiązujący przepis prawa wyborczego. Ponieważ — jak sądzę — tekst ustawy nie jest miejscem stosownym dla wyrażania pragnień i gołosłownych deklaracji, skłaniam się ku tej drugiej możliwości.

Ale skoro tak, to niezbędne tu będzie sprecyzowanie, czym właściwie owo „szerokie przedstawianie" ma być. Kierunek ewentualnego normatywnego rozstrzygnięcia tej kwestii jest tylko jeden; gdyby nie zdecydowano się „ani, to samo sformułowanie o środkach masowego przekazu winno w ogóle zniknąć z tekstu przyszłej ordynacji.

Rozwiązanie zaś jest takie: wprowadza się o b o w i ą z e k prezentowania kandydatów w środkach masowego komunikowania. I teraz zwróćmy uwagę na rozliczne praktyczne konsekwencje takiego obowiązku...

Wszyscy niemal obywatele mający styczność ze środkami masowego przekazu zdają sobie sprawę z ich wpływu na życie publiczne naszego kraju, z ich rozmaitości i ogromnego zasięgu. Nie sądzę jednak aby wszyscy — poza profesjonalistami i ludźmi bezpośrednio zaangażowanymi w życie polityczne — jasno uświadamiali sobie, jak bardzo wewnętrznie jest ów system zróżnicowany, jak, mimo wszystko jest pluralistyczny. Dominuje przeświadczenie, niegdyś ukształtowane i wówczas bliskie prawdy, że prasa radio i telewizja — poza marginalnymi wyjątkami — są niemal jednobrzmiące.

Przeświadczenie to żywi się dzisiaj już znikomą ilością realnych faktów; czas najwyższy, aby owo zróżnicowanie skutecznie dotarło do społecznej świadomości. Ów niejednomyślny z resztą margines, o którym wszyscy wiedzą, i który w międzyczasie poważnie „specniał", to prasa katolicka. Ale i reszta się różnicuje — radio i telewizja oraz PAP są państwowe rząd ma własne wydawnictwo „Rzeczpospolita", PZPR dysponuje nie tylko centralnymi i wojewódzkimi organami prasowymi — wpływa na treść całej prasy RSW, która jest spółdzielnią należącą do partii, swoją prasę mają stronnictwa polityczne związki wyznaniowe, organizacje młodzieżowe mają swoje oficjalne organy i pisma, podobnie liczne stowarzyszenia i organizacje społeczne, własną prasą dysponują związki zawodowe, organizacje gospodarcze załogi większych przedsiębiorstw, mniejszości narodowe, wreszcie... No i sam PRON.

Nie wydaje się możliwe, konieczne i usprawiedliwione, aby na wszystkie z tych środków nałożyć jednakowy obowiązek udziału w prezentacji kandydatów do parlamentu. Zresztą byłby to objaw paranoi politycznej, rozdwojenia jaźni sprzecznego z wołaniem o rzeczywisty pluralizm. Pozostaje tylko jedno rozwiązanie — ustawowo wyznaczyć konkretne (z nazwy) środki przekazu, zobowiązane do prezentacji wszystkich kandydatów, bez względu na ich opcje polityczne. Innych zaś nie zmuszać do działań sprzecznych z ich liniami programowymi. (Obowiązek jasnego sformułowania takiej linii nakłada na wszystkie środki przekazu prawo prasowe.)

My nie chcielibyśmy sprzeniewierzać się własnemu programowi politycznemu pisma, nawet w imię pluralizmu, powszechnej demokracji i równego dla wszystkich dostępu do prasy. Weźmiemy wszakże udział w kampanii wyborczej — tyle że po stronie kandydatów bliskich nam ideowo, moralnie i politycznie.

Jest jeszcze jedno hipotetyczne rozwiązanie: płatne ogłoszenia, za treść których redakcja nie odpowiada...

Foto: Grzegorz Gałasiński

Cud nad Dobrzynką

Dokończenie ze strony 1

Toteż mimo potencjalnie ogromnego popytu na masło, zakładowy sklep sprzedawał dziennie zaledwie 50—60 kilogramów tego rarytasu.

Zanim wieść o tajemniczym bezkartkowym obiegła miasto, kierownictwo mleczarni, w ramach dobrosąsiedzkiej pomocy, zaproponowało kolegom z trzech dużych fabryk (Pamotex, Polam, Tkaniny Techniczne) dostarczenie do zakładowych bufetów ostatniej swej nowości — czyli „delikatesowego z importu". Pośród ogólnego zachwytu służb socjalnych trzech uszczęśliwionych instytucji, masełko szybciutko „rzucono" do bufetów Mleczarze odetchnęli z ulgą...

Załogi wspomnianych fabryk to w przytłaczającej większości kobiety. Zapracowane panie domu, jak było do przewidzenia, ochoczo skorzystały z okazji, by uzupełnić skromny przydział reglamentowanych tłuszczów. Masło zostało sprzedane. Wymiana poglądów na temat „bezkartkowego" zaczęła się nieco później...

W ten sposób, akurat w okresie kiedy obcięto kartkowy przydział masła z trzech do dwóch kostek na dorosłą osobę, nagle okazało się, że jest go albo za dużo, albo... Faktem pozostaje, iż Pabianice za sprawą tutejszej mleczarni, otrzymały „zastrzyk" 6,4 ton (ponad 25 tys. paczek) masła rozprowadzonego w wolnej, choć jakby z lekka utajonej sprzedaży. Dlaczego?

Pojawienie się „delikatesowego" niewiadomego pochodzenia, niektórzy kojarzyli z treścią „przecieków" napływających od pracowników mleczarni. Były to zgoła sensacyjne relacje.

Oto na oddziale produkcyjnym, do uruchomionych masielnic, zamiast śmietany, będącej jak wiadomo surowcem, wrzucano... kostki masła. Masło to miało być wcześniej rozpakowywane z handlowego pergaminu noszącego napis „extra" oraz styczniową datę produkcji. Żmudnym zajęciem wyłuskiwania kostek masła z opakowań, usprawnionym przez technikę zanurzania ich w gorącej wodzie, obarczyć miano młodocianych pracowników. Stare opakowania trafiły ponoć na śmietnik, a zbeltana masa, powtórnie zamieniona w ćwierćkilogramowe kostki, dostała nowy „przyodziewek" w postaci złocistej folii. Tak więc „delikatesowe z importu" miało okazać się wcale nie delikatesowym, tylko byłym mąsłem extra, i wcale nie z importu, lecz z „odnowy".

Relacje te były prawdziwe.

Jeszcze w grudniu 1984 roku, dorosły obywatel miał prawo zakupu trzech kostek masła. W styczniu już tylko dwóch. Pomijając zasadność decyzji ograniczającej jego popyt (chłodnie bynajmniej nie świecą pustkami, a udział starego, tzw. rotacyjnego masła w handlu detalicznym sięga w niektórych regionach nawet 70 proc. podaży), należało proporcjonalnie zmniejszyć produkcję masła o krótkim, siedmiodniowym terminie gwarancji. W grudniu Spółdzielnia Mleczarska w Pabianicach skierowała na rynek ponad 100 ton masła. Plan stycznia 1985 r. przewidywał wytworzenie 70—80 ton. Tymczasem handel, stosownie do prostych skądinąd wyliczeń, mógł zamówić i zamówił tylko 60 ton masła. Bilans stycznia mleczarnia zamknęła nadprodukcją 6,4 ton masła, które nie może być długo przechowywane. Łudzono się, że w lutym handel odbierze cały zapas szybko starzejącego się tłuszczu.

Nie było żadnych podstaw do takich przypuszczeń.

Comiesięczna analiza popytu na towar reglamentowany, jakim jest masło, dawno już pozwoliła uchwycić pewne reguły. I tak, pierwsze dni każdego miesiąca charakteryzuje najniższy popyt. W drugiej dekadzie obserwuje się stopniowy wzrost zakupów, zaś koniec miesiąca to lawinowe wprost wykupywanie należnych przydziałów.

Handel wie o tym, dlatego wymaga od producentów elastyczności dostaw. Producent, w tym przypadku mleczarnia, jako jednostka wytwórcza, ma obowiązek dostarczać produkt najlepszy i taki (oraz w takiej ilości) jakiego żąda odbiorca

W pierwszych dniach lutego, handel zamawiał w Pabianicach zaledwie 300—400 kilogramów masła. Nadzieje mleczarzy na pozbycie się styczniowej nadprodukcji okazały się bezzasadne. Masło extra w ilości 6,4 ton spokojnie czekało na upłynięcie terminu gwarantowanej świeżości.

Logicznie rzecz biorąc, w zaistniałej sytuacji należałoby czym prędzej skierować masło do wolnej sprzedaży, zamiast biernie czekać na jego zepsucie się. Lecz tzw. złożona rzeczywistość nie przewiduje takiego wariantu. Decyzję odstąpienia od reglamentacji może podjąć wyłącznie Rada Ministrów. Natomiast na szczeblach niższych praktykuje się czasowe otwieranie pewnych „furtek", pozwalających upłynnić nadmiar nie pierwszej świeżości masła.

W październiku 1984 r., a następnie w lutym 1985 r., Centralny Związek Spółdzielni Mleczarskich w Warszawie telekso wał do podległych mu jednostek: *MHWiU wyraża ponowną zgodę na dostawy masła, głównie wyborowego, kuchennego i serwatkowego z najstarszych dat produkcji do bufetów i kiosków zlokalizowanych w zakładach pracy, na tzw. porcje śniadaniowe poza reglamentacją.* (telex nr 1270 z 27.10 1984 r.).

Zgoda ministerstwa dotyczyła masła najgorszych gatunków: o najniższej zawartości tłuszczu. Ponieważ jednak mleczarnia dysponowała masłem wysokiej klasy, postanowiono je zdeklasować. Zadanie to wykonała specjalna komisja wzmocniona tzw. czynnikiem społecznym. Następnie zdeklasowane masło extra polecono rozpakować, wrzucić do masielnic, przepłukać wodą oraz maślanką i sprawdzić co z tego wyszło. Badania fizykochemiczne wsparte niezawodną metodą organoleptyczną (na węch, smak i dotyk) potwierdziły istnienie cudu. Stare przemieniło się w nowe! Nazwano je masłem kuchennym.

Teraz należało przysposobić nowość do spotkania z klientem. Gdzieś w zakamarkach magazynu ostała się rolka folii aluminiowej, pamiętająca czasy manewru gospodarczego. Wydobyta na światło dzienne zauroczyła wszystkich estetycznym nadrukiem: „delikatesowe z importu". Kuchenne nie mogło marzyć o lepszym „ubranku". Poprzednie opakowania trafiły na śmietnik.

Odbiorcy produktu mleczarskiej zaradności, zostali uświadomieni, że bezkartkowy towar ma obniżone cechy smakowe, lecz poza tym w niczym nie ustępuje przodującym gatunkom masła. Indywidualni nabywcy wiedzieli tylko tyle, ile zdołali przeczytać na ślicznym opakowaniu. Do publicznej wiadomości wystawiono jedynie cenę — 78 zł. Nawet obsługa firmowego sklepiku pabianickiej mleczarni (Zarząd Spółdzielni urzęduje kilka metrów od tej placówki) nie bardzo orientowała się, co to za masło i dlaczego tak opakowane. Ważne że bez kartek. Ludzie kupią!

Ludzie kupili. Kupili pracownicy trzech dużych zakładów pracy. Służby socjalne mogły odnotować kolejny sukces w działaniach na rzecz zaopatrzenia swych załóg. Mleczarnia pozbyła się dowodu niegospodarności.

Kilka dni później „maślany" temat odżył na nowo. Kto nie zdążył skonsumować „delikatesowego" zaraz po jego zakupieniu, tego czekało rozczarowanie: masło przybrało niesympatyczną barwę.

Pewien kierowca ciężarówki z ościennego województwa, jadąc ponownie trasą obok mleczarni, cisnął napoczętą kostkę „delikatesowego" pod drzwi zamkniętego niestety sklepiku. Na targowisku miejskim pojawili się osobnicy usiłujący spieniężyć rzeczone masełko za... 50 zł.

Sposób upłynnienia masła poza siecią detaliczną wykazał tę niewątpliwą dla producentów zaletę, że kanały ewentualnych reklamacji okazały się niedrożne. Mleczarze nie odnotowali ponoć żadnej formalnej skargi na swoje „dzieło".

A na półkach firmowego sklepiku bezkartkowe „delikatesowe z importu" leżało jeszcze długo, długo...

ROMAN KUBIAK

Hej! Kto? Polak potrafi

ROBERT GLUTH

Oj, gdzie te czasy, gdy człowiek oddawał się tak zwanemu białemu szaleństwu. Pamiętam, że w latach pięćdziesiątych niemal cały aktyw Zrzeszenia Studentów Polskich kochał narty. Ja sam szusowałem po okolicach Krynicy Górskiej z Jaworzyną włącznie, a Wiesław Adamski wspólnie z ówczesnym przedstawicielem w Międzynarodowym Związku Studentów Stefanem Olszowskim raz po raz przypinali dechy. Potem zdradziłem narty dla lekkoatletyki, biegając w kadrze AZS na osiemset metrów. Nie dziwota więc, że sprawy sportu leżą mi na sercu, mimo że na starość pozostało li tylko okienko telewizora i wielkie emocje z racji meczów, mistrzostw świata i Europy i tak dalej i tak dalej. Wierzcie mi, że tylko trzy rzeczy: twórczość, polityka i sport są zajęciami godnymi mężczyzny — a miłość? Miłość po prostu jest siłą napędową tych wielkich rzeczy.

Dlatego ostatnimi czasy nie mogę przejść do porządku dziennego nad tym co się dzieje w sporcie. Nie będzie tu mowy o sporadycznych wypadkach niedozwolonych form dopingu ani o aferach. Wszak one stanowią zaledwie smutny, choć znaczący margines życia sportowego. Pragnę się zająć zaledwie wycinkiem — ale jakże znaczącym — sportowego dzień jak co dzień. Złośliwi mogą powiedzieć, że w centrum mojej uwagi znalazło się dziennikarstwo sportowe, biznes wokół sportu i inne takie imponderabilia. No, to do rzeczy.

POLAK POTRAFI BYĆ UPARTY

Od wielu lat o dziennikarzach sportowych mawiano, że są to niemalże wybiórki żurnalistyki. Ot, ludziska posiadający minimum słów, powtarzający się, zawężający swoją specjalizację do absurdu. Przysłowiowe już stało się zawołanie „szkoda, że państwo tego nie widzą". W ogóle dno.

Tymczasem z biegiem czasu faceci się zacięli — uzyskali perfekcjonizm w swojej dziedzinie, o czym chociażby świadczy szereg poważnych materiałów analitycznych ich pióra, a ponadto coś, czego brakuje lwiej części publicystów: znajomość języków obcych.

Któregoś dnia Naczelna Redakcja Sportowa drugiego programu Telewizji Polskiej zaserwowała widzom „niedzielę ze sportem". Nie wiem jak kto, ale ja odebrałem ten program jako najlepszy w całym ubiegłym roku. A przecież — oprócz stałych pozycji w rodzaju dzienników — przez cały czas szedł sport w różnych jego aspektach, podawany rzekłbym luksusowo, zachęcając nawet fotelowych telewidzów do pełnego zaangażowania. Nie koniec na tym: oprócz sportu wyczynowego, znalazło się miejsce dla amatorów oraz piękna akcja charytatywna pomocy dla dzieci ze spalonego domu we Wronkach. Jeśli się do tego doda pozyskaną przez Redakcję Sportową supergwiazdę Irenę Szewińską — to będziemy mieli w przybliżeniu chociaż obraz wysokiej kultury speców od skakania, biegania i kopania. Ta sama sprawa dotyczy dziennikarzy sportowych z radia i gazet. Dość wymienić takich tuzów jak Kukuć z Głosu Robotniczego i Strzelecki z Expressu.

Skąd bierze się ten nagły wybuch talentu, luzu, urody u tych panów i pań? Osobiście wyróżniam dwa niebłahe powody.

Przede wszystkim wieloletni pełen pogardy nacisk na dziennikarzy sportowych spowodował prostą reakcję — ludzie na zasadzie prostej reakcji postawili na swoim, nie trzeba dodawać, że poważnie podkształcili się i wyrośli z biegiem czasu na czołówkę.

Drugi problem jest natury delikatnej: nie kto inny tylko dziennikarze sportowi pozbawieni są pewnego rodzaju autocenzury, nie muszą się aż tak dalece liczyć z każdym zdaniem jak nie przymierzając komentatorzy polityczni. W ten sposób pozbawieni są lęku popełnienia gafy. Za tym idzie ogromny luz i wystrzeganie się wyświechtanej frazeologii. Jeśli Amerykanin pobije rekord to chwała mu i nie ma to nic wspólnego z polityką Reagana. Skoro Bubka — Rosjanin pobije rewelacyjny rekord świata w skoku o tyczce, to nikt nie musi od razu do tego dorabiać filozofii. W dziennikarstwie sportowym mamy do czynienia z najpiękniejszym olimpijskim duchem przyjaźni. I stąd ten luz.

Byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie nadmienił, że i wśród dziennikarzy sportowych trafiają się czarne owce. Do takich osobliwości należy wąsaty pan, który przez parę dni komentował Mistrzostwa Świata w narciarstwie alpejskim na podstawie zapisów magnetowidowych z Bormio i Santa Caterina. Skandal tej relacji przeszedł wszystkie oczekiwania. Zwykły nawis skalny czy próg obficie posypany śniegiem nazywał się u niego „padak" (widocznie od tego, że łatwo było z niego upaść na pysk). Szczególne stopniowanie wykazał facet odmieniając przymiotnik „stromy". W jego wykonaniu trawersy były „stromsze" i „najstromsze". Pod koniec relacji — mówiąc o ciężkich warunkach zjazdowych — zawołał „och, słychać jak narty zgrzytają o dzisiejsze trudne warunki!". Żeby tego było jeszcze mało, coraz mówił, że któraś z dziewcząt „otwarła się". Rzecz jasna nie miało to nic wspólnego ze Skiroławkami — tylko biedaczkę wyprostowało z pozycji zjazdowej, no i straciła cenne ułamki sekund. Całe szczęście, że do gościa po pewnym czasie dodano autentycznego speca, który go stopował w niesłychanych wykwitach polskiej mowy.

Na szczęście takie kwiatki należą do rzadkości.

POLAK POTRAFI ZOHYDZAĆ

Bardzo mi żal kibiców, całego właściwie naszego narodu. Utarła się przeraźliwa moda na zohydzanie wszystkiego co sportem się zwie — a w szczególności sportu polskiego. Na Olimpiadzie w Sarajewie jakieś paskudniki nie omieszkały nawet zohydzić przepięknej królowej śniegu Marji Liisy Haemaelaeinen — zdobywczyni trzech złotych medali. Otóż jakieś wredne typy myszkując pokój Marji Liisy natrafiły na zakrwawione bandaże. Było to przed startem do maratonu kobiecego. Ten maraton największa bohaterka Olimpiady wygrała, ale hyr poszedł: zwyciężczyni zdaniem plugawych typów dokonała sobie transfuzji krwi. Pomijając kretynizm zawarty w twierdzeniu, że ktokolwiek sam może przetoczyć krew — o tej najbardziej sportowej kobiecie rozszalały się plotki. Niestety i nasza prasa sportowa powtórzyła te idiotyzmy.

Kiedy w Polsce rozgrywano niezwykle piękny i dramatyczny mecz eliminacyjny z Grecją, wówczas sprawozdawcy podkreślali nie wynik trzy do jednego tylko... sześćdziesiąt minut rzekomo słabszej gry naszej reprezentacji. Udobruchano się dopiero identyczną dramaturgią w meczu belgijskim.

Te nie kończące się opluwania naszych rozgrywek ligowych, patrzenie tylko na końcowe wyniki — co to ma wspólnego ze sportem. Mecz który ma kilkadziesiąt minut, obfituje w odwagę, piękne zagrania — to wszystko przestaje być ważne.

To samo dotyczy innych dyscyplin sportu.

Mądra Irena Szewińska pokazała przed świętami w ubiegłym roku jako największy wyczyn drogę do mety ostatniej, już prawie mdlejącej, ale obdarzonej cholerną ambicją zawodniczki. Jaki był skutek? Wielu działaczy poddało w wątpliwość... sens rozgrywania maratonu kobiet w lekkiej atletyce. To zupełnie tak jakby z powodu wypadku Niki Laudy zrezygnowano z formuły numer jeden.

Bez przerwy towarzyszy rozgrywkom kadry narodowej w piłce nożnej pełne wstrętu kopanie dołków pod selekcjonerem i kadrowiczami.

Bez przerwy kibice obrażają się na ukochane kluby, dlatego, że zdarzy się im raz czy dwa razy przegrać. A pokażcie choć jeden klub na świecie, który by stale wygrywał. Toż to byłaby śmiertelna nuda i zaprzeczenie rywalizacji.

Ten totalny tumiwisizm kibiców, działaczy i dziennikarzy, o których skądinąd napisałem wiele ciepłych słów! Ale przecież i oni ulegają ogólnym trendom.

Wychodzi na to, że tylko Grubba — o ile oczywiście zdobędzie mistrzostwo Top 12 — oraz Boniek — o ile strzeli dwa zwycięskie gole w superpucharze — liczą się jako tako. A na resztę można pluć, narzekać, psy wieszać. A potem dziwimy się ekscesom chuligańskim na boiskach, gdzie zamiast radości z widowiska sportowego rodzą się ohydne szowinizmy, klozetowe wyzwiska i okrzyki „śmierć Legii". Zresztą legioniści i ich kibice nie zostają dłużni: wszystko robią, aby pomniejszyć mój ukochany RTS Widzew. Jeszcze ciągle mam w pamięci obrzydliwą aferę na Okęciu — rzecz która w żadnej społeczności nie mogłaby mieć miejsca.

Pionierskie zabiegi rozgłośni radiowej pierwszego programu z masowymi biegami nie osiągną nigdy pełnego skutku — o ile będzie się gadało idiotyzmy, że nasza reprezentacja w Seefeld stanowiła tylko tło, kiedy chłopaków z Bafią na czele nie uczci się dobrym słowem za szóste miejsce w kombinacji norweskiej, dopóki nie zrozumie się, że takim samym tłem była Japonia, USA, Kanada i nawet ZSRR z tym jedynym złotym medalem. Sprowadzając do paradoksu — złote medale trzeba było przesłać do Oslo, srebrne do Sztokholmu, brązowe do Helsinek, dyplomy uznania do Bonn, Rzymu, Moskwy i Berlina — a reszcie dać kopa w tyłek kroczkiem Sittonenna. No i po co były te mistrzostwa świata?

Zbliża się sezon piłkarski. Ja i wielu mnie podobnych chcemy chodzić na mecze, żeby oddychać pięknem sportowego widowiska — a nie wyć wulgaryzmy, dlatego, że moja drużyna przegrywa. Bierzmy troszkę przykładu z Włochów zakochanych w widowiskach. W końcu sport to ogromna dziedzina życia ludzkiego, a nie obrzydliwość stresogenna.

WANDA KOCZNOW

Na drugim brzegu

Wojciechowi Łędzewiczowi

są tutaj wszędzie
wyrastając murem zwartej zawziętości
wypalają mnie szyderstwem
zrytych szczelinami twarzy
rzeźbią drwiną badylastych traw
posianych zapomnieniem
i dumne ze swych bezpowrotów
oblepiają groźbą niemożności
cofnięcia życia o ostatni krok
w pustkę pod stopami —
— decyzję, która podpala
ostatni most
do siebie.

W poszukiwaniu

Drzwi niepewnie uchylone
nie zaprosiły mnie jeszcze
stoję skurczona zimnem
i głodnym niepokojem
że zatrzasną się za chwilę
nim złaknione ciepła dłonie
otulić zdąży nieznajoma radość
niecierpliwa strachem
że wypędzą
na wszystkie strony żarłocznego chłodu

Nie zdołam już
wykopać w gołej ziemi
nawet płytkiej jamy.

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ

• • •

trzeba było trwać w przeczuciu
w wiecznej intencji pradźwięku
pielęgnować niemotę nagłej myśli
teraz pchnięta strumieniem powietrza
tłucze się po korytarzu krtani
czyha na nią język — ów krępy zapaśnik
aby chwycić w kleszcze dwuznaczności i złamać
sens
może też rozbić się o nagie rafy zębów
albo wpaść w pułapkę pozornie bezbronnych
— czających się ze starozą chytrością —
dziąseł
kiedy wreszcie uderzy o strop podniebienia
i zwielokrotniona echem wybuchnie w ustach
zdumione wargi wybełkocą tylko chrome słowo
nim je pochłonie skwir zdań przypomni
niesmak
uczucie obcowania z tanią narożną prawdą
trzeba było trwać w przeczuciu
pozwolić wybrzmieć ogłuszającej myśli
w przewrotnych interwałach ciszy

• • •

od lat ten sam ceremoniał
w poranny kwadrat lustra
wpisuje oblicze strachu
maskę przewrotnej mimikry
i ta retoryka gry mima
różowy owal twarzy
pod czaszką pieśń dobosza
obraz codziennej schizmy
a przecież na coś jeszcze liczy
tak mocno wierzy że zwietrzy
własny trop w zasuszonym lecie
znajomy zapach w obcych włosach
nie i tak nie znajdzie siebie
choćby myszkował w cudzym ciele
choćby się modlił do Boscha
choćby się nawet zbiesił

Foto: Grzegorz Gałasiński

Polska — to moja druga połowa

4 marca 1985 r. gościliśmy w Łodzi dwóch zasłużonych tłumaczy literatury polskiej na język rosyjski: **Władimira Kisielowa** i **Michaiła Ignatowa**. Kontakty pisarzy Polskich i ZSRR są częste. Tłumaczy z Kraju Rad przyjeżdża do nas sporo. Tym razem przyjechało dwóch tłumaczy, którzy byli żołnierzami I Armii Wojska Polskiego. Obaj wyzwalali Polskę: Władimir Kisielow — Warszawę, a Michaił Ignatow — Łódź. Jeden pamięta płonącą Warszawę, którą obserwował z prawego brzegu Wisły, drugi nie może zapomnieć dymiących ruin Radogoszcza. Obaj znakomicie mówią po polsku. Od ponad trzydziestu lat zajmują się przekładami prozy polskiej na język rosyjski, za co zostali uhonorowani odznakami „Zasłużony dla Kultury Polskiej". Władimir Kisielow jest pułkownikiem Armii Radzieckiej w stanie spoczynku, ale w klapie nosi „Odznakę Grunwaldzką". Michaił Ignatow jest majorem w stanie spoczynku i nosi miniaturkę polskiego „Krzyża Walecznych". Odznaczenie to przyznawane było za wyjątkowe bohaterstwo wykazane w czasie działań wojennych.

MICHAIŁ IGNATOW, jak już wspomniałem, przez trzy lata służył w I Armii WP i wtedy zetknął się z literaturą polską. I tak się nią zafascynował, że — jak sam twierdzi — Polska jest jego drugą ojczyzną. Zawodowo pracuje w Wydawnictwie „Raduga" (Tęcza), gdzie opiekuje się grupą młodych tłumaczy. W zasadzie przekłada książki traktujące o ostatniej wojnie, stąd wśród jego prac znalazła się powieść Wacława Bilińskiego „Wypadek".

W czasie spotkania ze środowiskiem pisarskim Łodzi wiele mówiono o literaturze w ogóle, a o powieści współczesnej w szczególności. Goście nie kryli słów ubolewania, iż takich książek ostatnio nie ma. Pisarze polscy jakby unikali tej tematyki, jakby odchodzili w stronę refleksji, filozofii i historii, tej sprzed wieków. Rosyjski czytelnik przedkłada jednak współczesność nad przeszłość, poszukuje tematów „gorących", chce wiedzieć o innych krajach nie tylko to, co przeczyta lub usłyszy w środkach masowego przekazu, ale pragnie mieć pogłębiony obraz przez opis literacki.

Dwuosobowej delegacji przewodził Władimir Kisielow, członek Zarządu Wydziału Tłumaczy Literatury Polskiej Oddziału Moskiewskiego Związku Pisarzy ZSRR i konsultant literacki Zarządu Pisarzy Rosyjskiej Federacji SSR.

Z WŁADIMIREM KISIELOWEM przeprowadziłem dla „Odgłosów" rozmowę na temat jego związków z naszym krajem i naszą literaturą.

— Proszę powiedzieć, jak w ogóle zaczął się ten „romans z Polską"?

— Zaczął się dość dawno, bo jeszcze w 1943 roku, kiedy służąc w Armii Czerwonej nagle zostałem odkomenderowany do Instytutu Języków Obcych na wydział języka polskiego. Było to we wrześniu, w czasie, kiedy kończono organizowanie I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki.

W grudniu 1944 roku znalazłem się wśród żołnierzy polskich, już w I Armii Wojska Polskiego, która wówczas stała na prawym brzegu Wisły pod Warszawą. Z dumą wspominam fakt, że zanim przeprawiła się polska armia przez Wisłę, ja już byłem w Warszawie i witałem moich współtowarzyszy walki w wyzwolonej stolicy. Nie ma potrzeby wspominać, jaką Warszawę ujrzałem po ucieczce Niemców i co wówczas czułem. Te fakty są dziś szeroko znane na całym świecie.

Służyłem w Wojsku Polskim do kwietnia 1945 roku. Potem powróciłem do ZSRR, ukończyłem Instytut Języków Obcych na wydziale języka polskiego. Dopiero gdzieś od 1953 roku na serio zająłem się przekładami. W tymże roku, w miesięczniku „Nowyj Mir" ukazała się w moim tłumaczeniu powieść Macieja Słomczyńskiego „Powieść o srebrzystym łososiu".

— Wiem, że interesuje Was przede wszystkim powieść współczesna i ten gatunek dominuje wśród przetłumaczonych przez Was na język rosyjski książek. Z drugiej strony zajmujecie się innego rodzaju literaturą — kryminałami...

— To prawda. Od mojego pierwszego przekładu minęło już ponad trzydzieści lat, co się wyraża ponad trzydziestoma przełożonymi przeze mnie książkami. Wymienię choćby takie nazwiska jak Jerzego Putramenta, Janusza Przymanowskiego, Jerzego Wawrzaka, Janiny Broniewskiej, Wiesława Jażdżyńskiego, Arkadego Fiedlera. A ostatnio Jerzego Edigeya. W sumie naliczyłem 23 polskich pisarzy, których książki trafiły do rąk rosyjskiego czytelnika.

— Jak są przyjmowane nasze książki w ZSRR?

— Zanim odpowiem na to pytanie, złożę pewne oświadczenie: otóż przez minione trzydzieści lat zżyłem się nie tylko z polską literaturą i kultura, ale zżyłem się z Polską jako krajem, zaprzyjaźniłem się z wieloma polskimi pisarzami. Polska, Polacy, polskość — to jakby moja druga połowa. A teraz odpowiadam na pytanie. Literatura polska cieszy się u nas ogromnym powodzeniem i zainteresowaniem. W praktyce wygląda to tak, że żadna z książek, które przekładamy nie zalega półek księgarskich.

— Jakie książki aktualnie są na waszym rynku księgarskim, które mówiłyby o historii i dniu dzisiejszym Polski?

— Obchodzimy czterdziestą rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem. Z tej okazji „Wojenizdat" (odpowiednik polskiego wydawnictwa MON) wydaje drugie już, pełne wydanie „Czterech pancernych i psa", natomiast wydawnictwo „Progres" właśnie rzuciło do księgarń książkę dwujęzyczną polsko-rosyjską, do której przedmowę napisali Halina Auderska i Gieorgij Markow. Natomiast w „Młodej Gwardii" ukaże się wkrótce antologia pisarzy polskich okresu ostatniej wojny pod tytułem „Ofensywa styczniowa".

— A co ukaże się w Waszym przekładzie?

— Niedługo pojawi się w sprzedaży tom składający się z dwóch powieści Jerzego Edigeya. Ten typ powieści, szczególnie polskiej, zyskuje u nas coraz większą popularność. I nie ze względu na swoją interesującą fabułę, ale dlatego, że coraz bardziej zbliża się ta powieść do powieści polityczno-obyczajowej. Pojawiają się w niej bawiem coraz częściej bohaterowie o złożonej osobowości i psychice, którzy żyją i borykają się wśród problemów nurtujących każdego współczesnego człowieka. Kiedyś przełożyłem „Złotą maskę" Krystyna Ziemskiego. Wydano ją w nakładzie 250.000 egzemplarzy. Rozeszła się błyskawicznie.

Nie tłumaczę natomiast książek Jarosława Iwaszkiewicza, choć zachwycam się jego twórczością. Dlaczego nie tłumaczę? Dlatego, że u nas ukazały się jego dzieła w ośmiu tomach, czyli prawie cały dorobek tego wielkiego i wspaniałego autora. Dla mnie po prostu zabrakło tekstu.

— Proszę powiedzieć, czy obecny przyjazd do Polski to tylko tradycyjne odwiedziny u przyjaciół, czy też u podstaw tej podróży była chęć ujrzenia naszego kraju po wstrząsie lat 1980—1981?

— Przede wszystkim chcieliśmy się spotkać z polskimi pisarzami i wydawcami, pragnęliśmy spenetrować wasz rynek wydawniczy i zorientować się na miejscu, co można byłoby wziąć na swoje warsztaty dla przetłumaczenia na język rosyjski. Drugim powodem było oczywiście „podszlifowanie" języka polskiego. Na ostatku zaś spotkanie z przyjaciółmi, których mamy tu sporo. A o tym, że literatura polska cieszy się u nas wielkim zainteresowaniem, mówiłem nie dlatego, by sprawić Czytelnikom „Odgłosów" przyjemność. To fakt. Rosjanie znają książki pisarzy polskich i wykupują je jak tylko pojawiają się w witrynach księgarskich. Jestem przekonany, że dzisiejszy nasz pobyt w Łodzi będzie owocny, że zabierzemy ze sobą wiele znaczących i pięknych książek, tym bardziej, że macie dwie oficyny wydawnicze i jest w czym wybierać.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
E. IWANICKI

Ogród nie plewiony

Ogród należy do tych „miejsc wspólnych" w europejskiej kulturze, które dają świadectwo ciągłości tradycji śródziemnomorskiej. Toposem ogrodu posłużył się Anatol Ulman, aby wspomnianą tradycję zakwestionować, aby pokazać, że humanistyczny dorobek Śródziemnomorza nie tylko nie wyprał barbarzyństwa, ale wręcz odwrotnie — uległ mu i właściwie zawsze ulegał. Cała rzeczywistość przedstawiona w powieści „Cigi de Montbazon" sprowadzona została *ad absurdum*, wyśmiana, wykpiona. Z jednej strony powieść ta stanowi wyrazistą aluzję do czasów drugiej wojny światowej, czasów pogardy, z drugiej zaś traktować ją trzeba jako uniwersalną przypowieść o kondycji człowieczej. Gdyż czas w potocznym naszym rozumieniu w utworze tym nie istnieje. Nie obowiązuje tu chronologia. Wszystko dzieje się symultaneicznie, cała europejska historia, od antyku aż po współczesność, rozgrywa się w symbolicznym ogrodzie, bezustannie bombardowanym i zdobywanym przez żołnierzy kanclerza.

Spośród wielu chwytów nadających się do przekonywania o realności nieprawdopodobnego narrator wybrał — jak się zdaje — najwłaściwszy, polegający na unikaniu wszelkich wyjaśnień. Możliwość bycia czymś innym — to podstawowy sposób istnienia rzeczy i zdarzeń w tej powieści. Jest to powieść o ustawicznym stawaniu się i ustawicznym rozkładzie tego, co właśnie przed chwilą zaistniało. Stąd wynika trudna do pamięciowego opanowania przez czytelnika zmienność bohaterów, ich imion, znaków szczególnych, wariantów sytuacji oraz sensu poszczególnych wydarzeń. Proteuszowa postać świata stwarza okazję znalezienia wielu interpretacji i pozwala żywić nadzieję odnalezienia wreszcie „właściwej, to znaczy żadnej". Bowiem w ogrodzie, który zamieszkujemy trudno znaleźć jakikolwiek niezawodny punkt oparcia. Może tylko jeszcze w przyrodzie należałoby go poszukiwać. Do takiego przypuszczenia upoważniałby opis ogrodu, gdzie *„przedwojenne kwiaty spodlały i stały się nikłymi karzełkami, wysuwającymi ze strachu fragmenty liści, pnączy, czasem pąk ze zwycięskiej trawy, z objęć mleczów oraz innych zielsk. Trwały tam sparaliżowane piwonie, znikczemniałe irysy, pokurczone malwy, a krety sypały piramidy. Świat wracał do swojej naturalnej postaci, zamierało jedynie to, co sztucznie wyhodował człowiek. Wszystko podówczas było trawą i trawa miała wartość, której nie straciła nigdy"*. Tak więc człowiek i jego wytwory zdają się najmniej znaczyć na tym najlepszym ze światów.

W trakcie narracji kwitnący ongiś ogród staje się stopniowo wrakiem ogrodu — przyzwyczajamy się do oglądu kikutów drzew i kalekich ludzi. Ponury to widok, co jakiś czas jednak czytelnik ma okazję do uśmiechu, powodują to ucieszne dykteryjki, o tematyce erotycznej zazwyczaj. Funkcja ich jest prosta: jedynie one stanowią o uroku życia, cała reszta okazuje się li tylko formą samounicestwiania. Katastrofizm Ulmana bywa przewrotny. W „Cigi de Montbazon" wszystko wskazuje na to, że świat dawno już powinien był przestać istnieć, ale trwa on nie wiedzieć dlaczego, trwa chyląc się bez przerwy ku upadkowi. Może tak właśnie wygląda prawdziwe perpetuum mobile?

Powieść Anatola Ulmana należy potraktować jako współczesną sylwę. Decyduje o tym amorficzna kompozycja, bardzo luźna konstrukcja fabularna, odejście od koncepcji dzieła jako pewnej całości, całości spójnej i zhierarchizowanej. W „Cigi de Montbazon" możliwe jest absolutnie wszystko, panuje tu indeterminizm tak dalece posunięty, że jeśli natrafimy na jakąś — choć w zarysach — mimetyczną scenę, to jedyną reakcją pozostaje zdziwienie, boć nie bardzo przystaje ona do scen pozostałych. Wprawdzie łacińskie słowo silva oznacza las, lecz ukazany przez Ulmana ogród (hortulus) tak jest gęsty, iż niewiele od lasu się różni. Wrażenie zagęszczenia wynika między innymi z wielości wariantów tej samej sytuacji i tych samych bohaterów, z tak pomyślanego uszeregowania wariantów, aby czytelnik przekonany został o ich nieskończoności (koniec powieści to po prostu mechaniczne przerwanie owego „wyliczania"). Każdy z elementów fabuły posiada względną autonomię i jest to dominująca cecha niewielkiego przecież tekstu, który usiłuje zmieścić w sobie cały bagaż doświadczeń europejskiej cywilizacji i cały towarzyszący europejskiej historii bałagan. Autonomia polega na tym, iż konstruujące fabułę zdarzenia istnieją niezależnie od siebie i nawet nie zawsze łączy je jedność miejsca, bo ogród, o którym mowa, okazuje się wyłącznie umowny. Można to rozumieć następująco: kultura to tylko luźne, przypadkowe, nie powiązane fakty; oddzielnie traktowane posiadają być może znaczenie, lecz sensownej całości nie sposób z nich ułożyć. Zresztą po co? Objaśnianiem można świat jedynie popsuć. Taka płynie nauka z wędrówki po ogrodzie w towarzystwie pięknej panny de Montbazon.

Z większą jeszcze konsekwencją stanowisko owo potwierdzone zostało w trafnie zatytułowanym tomie: „Obsesyjne opowiadania bez motywacji". Stanowią one coś w rodzaju wariacji na kilka tematów — oto sformułowania niektórych: gra obłoków i los ludzki, wzniecanie papierowych pożądań za pomocą czarnych literek, problemy miłosne a reszta świata. Dykteryjki, ucieszne i smutne zarazem, spowodować mają ulotną refleksję nad tym, czym dla człowieka jest czas, przestrzeń, przemijanie, pamięć. Typ refleksji określony został jednoznacznie zadeklarowaną postawą narratora: *„nie żyje się elementami chwili, w której się jest, lecz wszystkimi elementami tego, co było w każdej chwili..."*. Rzeczywistość przedstawiona posiada więc cechy ponadczasowości, zaś realia — z nielicznymi wyjątkami — objawiają symboliczny charakter. I choć rozsądek wzbrania się niekiedy przed okrucieństwem baśniowego świata pełnego najrozmaitszych obsesji, to przecież z niemałym zainteresowaniem czytamy te przypowieści o przewrotności ludzkiej natury. I akceptujemy ich podstawowy sens — przestrzegający, iż w życiu zdarzyć się może po prostu wszystko.

Anatol Ulman: „Cigi de Montbazon". Iskry, Warszawa 1983, str. 231, nakład 20 300 egz., cena zł 60,—.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Wysoka cena prawdy

Zdaję sobie sprawę, że dla kogoś nie pierwszej już młodości, któremu współczesna poezja objawia się najdoskonalej w odczuwaniu świata przez Różewicza i Herberta, Szymborską i Grochowiaka, twórczość Edwarda Stachury stanowić może zjawisko jakby z innej zupełnie formacji, zwłaszcza iż wyraża się ono środkami dość bezceremonialnie urągającymi estetyce swoich poprzedników.

Ale jeśli doznaje się takich wrażeń przy samej lekturze, jeśli nawet można by zżymać się na zbytnią arbitralność Stachury w posługiwaniu się przyjętymi znaczeniami słów i pewną jakby nieporadnością ich zestawień, a także obsesyjne powtarzanie słów i zwrotów, wtórne jako metoda wobec Gombrowicza, i, jak by się kto uparł, Słojewskiego-„Hamiltona", to gdy się usłyszy słowo poety mówione i zarazem stanowiące tkankę inscenizacji, trudno się nie poddać jego sugestii.

Bo jest w tym zapewne duża zasługa inscenizacji, która z faktów biograficznych i poetyckich buduje organiczną jedność życia i twórczości tragicznie i przedwcześnie zgasłego talentu. Przedstawiono nam Stachurę (a uczynili to ludzie z jego najbliższego kręgu) jako, powiedziałoby się, moralistę, gdyby określenie to niesłusznie nie nabrało posmaku deklamatorstwa i pedanterii. Poznajemy człowieka urodzonego i wychowanego w środowisku dawnej emigracji zarobkowej, którego za młodu przesadzono, jak roślinę „ze słodkiej Francji do jeszcze słodszej Polski", czemu zawdzięcza poznanie uczucia nostalgii, która mogła stać się jednym ze źródeł nieprzystosowania wewnętrznego, a bywa ono warunkiem twórczości.

Nadwrażliwy a zapewne i „trudny" młodzian ucieka z domu „w Polskę", wybiera drogę wolności wobec zwyczajowych więzów dla zyskania wewnętrznej niezależności, którą okupuje zresztą na co dzień wieloma wyrzeczeniami. Prawo do pisania prawdy o sobie rozumiał bowiem jako przekaz doświadczeń przeżytych na własnym ciele. W imię prawdy sztuki wiódł więc „wyzwolone" życie wagabundy, ale w przeciwieństwie do cyganerii artystycznej z przełomu wieków, która głosiła kult sztuki różnił się od niej w swojej antymieszczańskiej i antyfilisterskiej postawie, dopatrywał się poezji w życiu. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że nie wierzył w swój dar intuicyjnego kreowania literatury, stąd może program swoistego autentyzmu.

A ile w tak zaprogramowanym życiu mogło być młodzieńczej zuchwałości i pychy? Nie mnóżmy pytań w obliczu najwyższej ceny, którą przyszło mu zapłacić za swoją samotniczą wolność. Nie wiem zresztą czy tragiczny finał żywota poety nie podsunął inscenizatorowi wyeksponowania z wypowiedzi Stachury motywu zauroczenia czy zarażenia śmiercią. Rozdzierany sprzecznymi uczuciami — zachwycenia życiem i egzystencjalnym bólem istnienia, podnoszący się z kolejnych klęsk hartem woli, wcześnie zaczyna dojrzewać do zmierzenia się z najtrudniejszym wyzwaniem. A więc skaza psychiczna?

Tak czy inaczej, klimat tej sztuki o Stachurze, jej podniosły ton moralny sprawia, że my z ciepłych domowych łóżek, ceniący sobie święty spokój i komfort, wymustrowani w konwenansie obłudy, stajemy się skłonni z pokorą i zawstydzeniem pokajać się przez moment, bo miło jest zafundować sobie takie maleńkie katharsis, do niczego nie zobowiązujące...

Rzecz dzieje się w ciemnych żałobnych kotarach i przystawkach, z jednym tylko pionowym otworem, jakby wejściem czy wyjściem, zawieszonym szklanymi wisiorami. (Spełni to swoją funkcję, gdy przez szklaną kotarę przebije się ostre światło reflektorów nadjeżdżającej niewidzialnej lokomotywy). Uwaga widza skupia się bez przeszkód na tekście, doskonale na ogół mówionym i przeważnie bez zarzutu interpretowanym aktorsko. Integralnym składnikiem tego poetyckiego widowiska jest znakomita muzyka o urozmaiconej melodyce i zróżnicowana rytmicznie, znamionująca indywidualność twórczą kompozytora, wyrażająca się bodaj najdoskonalej w dramatycznych i lirycznych pieśniach o rodowodzie songu. Niewielki skład instrumentalny precyzyjnie i subtelnie wykonuje swoje zadania. Słowem wszystkie elementy przedstawienia zgrane są w harmonijną całość.

Śpiew wszystkich bez wyjątku pań odznacza się umiejętnościami wokalnymi i dużą ekspresją, o panach można by powiedzieć prawie to samo. Wystąpili: **GABRIELA SARNECKA, EWA SONNENBURG, BARBARA SZCZEŚNIAK, BRONISŁAW WROCŁAWSKI** (który jako Stachura świetnie udramatyzował końcowy monolog), **JAN KASPRZYKOWSKI, ARTUR MAJEWSKI i ZBIGNIEW SZCZAPIŃSKI.**

Godzi się nadmienić, że była to premiera prowadzonej przez Teatr Powszechny „Sceny wędrującej", która z pewnością zasługuje na to, by w swoich wędrówkach znajdować poza siedzibą trwalsze oparcie, przynajmniej dla realizacji niektórych przedstawień, wymagających zastosowania bogatszych środków teatralnych. Młoda widownia, która jest głównym adresatem „sceny wędrującej", a w tym przypadku miała możność zetknąć się z inscenizacją utworów ulubionego poety, chłonęła przedstawienie z wyjątkowym skupieniem, reagując nadzwyczaj wrażliwie i trafnie. Myślę, że zareagowała na przesłanie moralne tej sztuki.

JERZY KWIECIŃSKI

Edward Stachura: „Miłość, czyli życie, śmierć i zmartwychwstanie, zaśpiewane, wypłakane i w niebo wzięte przez Edwarda Stachurę". Reżyseria — **Janusz Hamerszmit**, scenariusz i muzyka — **Jerzy Satanowski**, scenografia — **Karol Jabłoński**, kostiumy — **Jolanta Kunkel-Bojanowska**. Premiera 9 marca w Teatrze Powszechnym.

Ewa Sonnenburg i Jan Kasprzykowski
Foto: Jerzy Neugebauer

Szarża Rity

Zgrzytnęło coś już w pierwszych słowach. No, może to dopiero rozruch. Sala jeszcze nie rozgrzana, aktorzy jeszcze nie złapali kontaktu z widzem. Może pójdzie. Poszło, ale bardzo nierówno i po wybojach. Napięcie wznosiło się i opadało, jak przy planowych wyłączeniach prądu, przy 10 stopniu zasilania. Coś grzechotało w maszynerii, jakiś obluzowany detal. Zrazu nie można się było połapać w czym rzecz. Bo publika, owiana sławą poprzedzającą oboje wykonawców i niejakim szumem wokół spektaklu, biła się zaciekle o bilety na miesiąc naprzód. Do sznytu należało znaleźć się wśród szczęśliwców posiadających bilety, by móc się pochwalić, że a jakże, widzieliśmy, owszem, owszem. Tym bardziej, że nie co dzień Łódź-pasierbica ma możność goszczenia stołecznych teatrów i jeszcze bardziej stołecznych artystów, (tu wielkie dzięki Stowarzyszeniu Artystycznemu, za sprowadzenie spektaklu). Coś z tej lekko zakompleksionej pokory dawało się wyczuć na widowni, zmieszane w dziwny melanż z poczuciem, że przecież i my znamy się na tych subtelnościach i niuansach, że w lot łapiemy aluzyjki i podteksty, „międzywierszowej polityczki". Salwy śmiechu witały reklamiarskie całkiem chwyty, czy walące ze sceny zwischenrufy, śmiesznie jest, aż do rozpuku, choć dalibóg — rzecz nie jest komedią. Jakże lotne są te frymuśne paralele, których nie ma, jak zgrabnie odczytane te odniesienia, mosty zwodzone zgoła, przerzucone między tekstem scenicznym a trywialną rzeczywistością skrzeczącą za drzwiami teatru.

I nie wiem, co zgrzytało. Czy brakło owego tajemnego porozumienia między widownią a sceną, porozumienia sprawiającego, że aktor wznosi się na szczyty, a widz przeżywa wielkie wzruszenie? Czy może nie stało jasnej „konwencji", wykluczającej fałszywe odczytanie gry aktorów, szukanie słów niewypowiedzianych lub „inteligentne" zmrużenie oka, że niby my tu sobie ple, ple, ale przecież wiemy „co artysta chciał przez to powiedzieć".

Nie wiem, może paskudzę bez potrzeby, wybrzydzam, zamiast podziwiać. Ale jednak czegoś brakowało. W końcu chodzenie do teatru „na aktora" jest stare — jak teatr, więc co dziwnego w tym, że plakat reklamujący Krystynę Jandę i Tadeusza Borowskiego w przedstawieniu „Edukacja Rity" czynił nadzieję na rozkosze wysmakowanego artyzmu.

Janda, od pierwszej chwili dosłownego wtargnięcia na scenę, szła jak burza, „kurna", szarżowała ogniście na, „kurna", przejrzałego intelektualistę w celach samokształceniowych, „kurna". Owo „kurna", słówko, przerywnik, element trwały w potoku słów papuziej prostaczki, wzbudzał nie wiedzieć czemu największą uciechę na widowni. Zupełnie tak, jakby głośne wypowiedzenie słowa „dupa" ze sceny szacownej instytucji kulturalnej, było po pierwsze pikantnym skandalem, po drugie — rzadkością w dzisiejszych wesołych czasach, a po trzecie — sygnałem tajnego sprzysiężenia między aktorem a pojętnym widzem. Postać odtwarzana przez Borowskiego — skacowany, pełen rezygnacji i obrzydzenia jajogłowy, któremu dopust boży spuścił na łeb zwariowaną fryzjerkę z przedmieścia, z naukowymi w dodatku ambicjami, niezależnie nawet od starań aktora i wymogów roli, usuwa się w tło, niknie, nie stanowi pełnej przeciwwagi dla szarży partnerki. On — przerafinowany, tonący w whisky belfer akademicki, ogłupiały ze szczętem wobec eksplozywnej, stukniętej panienki w papuzich ciuchach. On — zgaszony, ona — furia. I dobrze. Tak miało być. On ułożony, omal wykwintny w obejściu. Ona — z całą świeżością, bezpośrednią, „kurna" dezynwolturą, bez żadnego uważania dla form, języka i autorytetów wtarabania się we wzniosły świat literackich subtelności. I to też w porządku. Tylko Borowski, jakby za bardzo wszedł w rolę faceta, któremu zwisa cały świat. Za bardzo ustępuje pola rozgrzanej Jandzie, zanadto daje błyszczeć partnerce, której rola i tak już, z samej konstrukcji, daje przewagę, tłumi postać partnera. Chwieje się równowaga spektaklu, a popis Jandy, pozbawiony punktu oparcia, staje się sztuczną cokolwiek przesadą. To rozzuchwala. W finale, wymagającym od aktorki wyhamowania, wyciszenia się, ponosi ją, nie moderowany grą aktora, własny temperament. Chwilami mamy wrażenie, że oto widzimy przed sobą debiutantkę nadrabiającą szarżą niedostatki warsztatu, iście — Agnieszka z „Człowieka z marmuru".

A przecież grają znakomici profesjonaliści! Tak Borowski, jak i Janda, świadomi są już swych możliwości i ograniczeń, wiedzą, przed czym się strzec. Tu — konstrukcja ról wymaga szczególnej dyscypliny, zwłaszcza od aktorki, jej bowiem kreacja stanowi o całej dramaturgii, temperaturze. Tu przerysowanie, pójście na całość tylko szkodzi, nie „siedzi" w klimacie całości.

Żeby zagrać pikantną panienkę z przedmiejskimi manierami, nie trzeba doprawdy aż tak grubej kreski, toteż męczy widza całość zagrana na krzyku, bez chwili oddechu. Nawet tam, gdzie dramaturgia wymaga oszczędności, ściszenia, mamy wrażenie, ...że aktorzy się spieszą. O, właśnie! To jest popędzanie czasu przedstawienia. To już nie temperatura samej roli Jandy warunkuje wysokie „C", to pośpiech i zbytnie wybieganie przed partnera i tak obarczonego rolą „mitygującą".

Dziwna rzecz, ale właśnie z tego pośpiesznego tempa, rodzi się nierówny rytm przedstawienia, paradoksalne opadanie napięcia. Opadanie, wpierw przerywane nierównymi zrywami, później, aż do finału, siadanie. Być może dlatego kulminacja nie przynosi oglądającemu dostatecznego dramatyzmu, jakby ulatnia się bez większego wrażenia. Jak w orkiestrze, której biglu zabrakło zaraz po uwerturze, a trzyma całość tylko wyszlifowana biegłość warsztatu. Bo jednak tego odmówić aktorom nie sposób.

Szkoda. Artyści tej klasy, tak bardzo oczekiwani w Łodzi ze swym przedstawieniem, zagrali jakby na pół gwizdka, bez pełnego oddechu. Z brawurą — ale bez biglu. W brylantach i kosztownym futrze, ale bez gustu.

Przyznajmy, co nie jest jednak żadnym aktorów usprawiedliwieniem, że dać nową twarz starej fabułce, nie jest łatwo. Bo rzecz jest stara — jak Pigmalion i jego losy. Nieprosta sprawa opowiedzieć przekonywająco dzieje dzikuski, nieokrzesanej prostaczki, przeobrażającej się dzięki edukacji i nabytemu polorowi w subtelną damę, wykształconą i ułożoną. I wymykającą się swemu „sprawcy" spod kurateli, jak wypoczwarzony motyl. Zawiązana nić między mistrzem a uczennicą, zrazu wątła, przeradza się w uczucie podziwu zmieszanego z lękiem — i jakby żalem za dawną prostotą, ze strony nauczyciela, a z drugiej strony — w mieszaninę wdzięczności, pragnienia życia własnym, już świadomym życiem i okruchu pogardy — ze strony uczennicy. Pogardy zrodzonej ze spostrzeżenia, że oglądany niegdyś z nizin niewiedzy mistrz, teraz, po wejściu na szczyt, okazuje się być krępująco małym, nijakim, nieciekawym.

„Edukacja Rity", sięgająca do tego starego wątku, w zmienionych jedynie na współczesne realiach, znów opowiada tę starą jak świat historię. O zatracie naturalnej świeżości w maglu edukacji, o przyswajaniu atrybutów i skorupy obowiązujących w „kulturalnym świecie", o nabyciu odruchów „nowej sfery, nie zawsze przetrawionych czy choćby pojmowanych. O przywdziewaniu maski okrywającej własną, oryginalną twarz. O przeistaczaniu się papuzio odzianej prostaczki, w wykwintną lady w ciuchach od Saint-Laurenta (a propos! Finałowe szaty pani Jandy mogły przyprawić siedzące na widowni kobiety o palpitację serca z czystej, babskiej zazdrości). O tym, jak bezmyślne przyjęcie obowiązujących w „świecie" form zachowań, gotowych schematów i wzorców, prowadzi do zatraty własnego, niepowtarzalnego oblicza. Rita — bluźniąca grubym słowem, impetyczna i nieokrzesana, zaczyna okrągło i trafnie formułować gładkie zdania. I jest absolutnie corect, sam wykwint, tyle, że powtarzalny w tysiącach egzemplarzy odbitych z tej samej sztancy, edukacji zabijającej indywidualność w zamian za „społecznie oczekiwany model zachowań".

Zdziwienie skutkami własnych poczynań obraca się przeciw nauczycielowi. Niegdyś — cynicznie i skutecznie broniący się przed sztampą erudyta, staje się bezbronnym widzem własnego dzieła, nad którym nie ma już żadnej władzy, żadnego wpływu. Bezsilnie próbuje jeszcze otrząsnąć Ritę z tak dumnie przyodzianej skorupy, coś wytłumaczyć... a ekskluzywna dama cicho i delikatnie zamyka za sobą drzwi. Ona ma już dość zapijaczonego belfra, śmieszy ją bezradna ucieczka od siebie „na posadę do Australii". To jest przecież takie-pospolicie łzawe...

I wszystko byłoby pewnie piękne, gdyby nie brak iskry bożej. Z pewnością nie można tego przedstawienia nazwać porażką artystyczną, to na pewno nie. Ot, solidny, na niekompromitującym poziomie warsztat profesjonalistów. Uczciwe rzemiosło. Nam tylko, widzom, marzył się szalony temperament, zwariowany i smakowity lot z „My Fair Lady" „Jeśli pamięta się tamten fajerwerk, jakże może nas poruszyć pośpieszna szarża Rity?

JOLANTA WROŃSKA

„EDUKACJA RITY", Teatr Ateneum, Warszawa, premiera — grudzień 1984; 23 lutego 1985, Łódź, Teatr ROZMAITOŚCI

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

DOBRY INTERES

Stanisław Starzyński (1784—1851), wierszopis galicyjski, którego 200 rocznica urodzin minęła niepostrzeżenie w minionym roku, słynął w I połowie XIX w. jako autor bezpretensjonalnych wierszy okolicznościowych, nie roszczących sobie zresztą pretensji do zajęcia trwałego miejsca w historii literatury. Okazało się jednak, że twórczość Stacha z Zamiechowa (taki pseudonim literacki przybrał imć Morążyc podolski) jest na tyle ważna dla życia umysłowego tamtej epoki, że dziś wzbudza spore zainteresowanie historyków literatury. A oto jaka przygoda przydarzyła się Doliwie (to też pseudonim Starzyńskiego) w 1823 r. na balu u marszałka uszyckiego Mateusza Dunajewskiego w Bohuszówce:

„Jedna z córek gospodarza wybrała do figury mazura pana Starzyńskiego; wymówił się, że nie tańczy wcale, bo nie umie, więc jako okupu zażądała piosneczki, chorążyc uczynił zadość suplikantce i wystąpił z taką oto improwizacją:

Układ ze mną zrób dzieweczko,
Z oczywistym swoim zyskiem:
Dam ci piosnkę za piosneczką,
Ty mi uścisk za uściskiem.
Przy układzie tym obstawaj,
A gdy małe ujrzysz zyski,
Ty mi piosnek nie oddawaj,
Ja ci oddam twe uściski...

Rzęsistymi oklaskami nagrodzono pieśniarza, który tego wieczora niemało rozsypał tego rodzaju perełek dowcipu we wdzięczną ujętych formę".

Tyle Dr Antoni J. (Rolle) w interesującej biografii Starzyńskiego; podobną wersję zdarzenia ogłosił Kazimierz Władysław Wójcicki (1874); zgrabny wierszyk Doliwy wędrował z ust do ust, a sam motyw owego mazurka przetworzył równie udatnie Władysław Buchner (1892):

Twoje słowa mnie czarują,
Wieczną miłość wróżą,
Lecz mi dajesz słów za mało,
Całusów za dużo!
— Jak cię kocham, nie pojmujesz,
Ani o tym wiesz ty,
Gdym całusów dał za dużo,
To mi... wydaj reszty!

DYSTYCHY O ZDROWIU

Znany już czytelnikom „Bigosu" Ignacy Piotr Legatowicz (1796—1867) napisał kilkadziesiąt dwuwierszy o zdrowiu, z których tylko część opublikował „Józefa Ungra Kalendarz ilustrowany na rok 1868). Niektóre z nich mogłyby stać się hasłami reklamowymi profilaktyki lekarskiej:

1. *Dbaj o zdrowie w każdym kroku,*
   Strzeż go, jak źrenicy w oku.
2. *Słabe zdrowie wiek nam skraca,*
   Stracone trudno się wraca.
3. *Głupstwo swoje pokazuje*
   Ten, kto zdrowia nie szanuje.
4. *Pierwsze zdrowie, drugie statek,*
   A reszta wszystko przydatek.
5. *Błoga dola i wesele*
   Mieć myśl zdrową w zdrowym ciele.
6. *Istne szczęście, rozkosz cała*
   Jest zdrowie duszy i ciała.
7. *Bole i dolegliwości,*
   Skutki niewstrzemięźliwości.
8. *Każdy się w chorobie dowie,*
   Że nic milszego nad zdrowie,
9. *Niewczas i bezsenne nocy*
   Przyczyny ciężkich niemocy.

ŻARŁOK

Jak wspomniałem, Legatowicz napisał kilkadziesiąt dwuwierszy o zdrowiu, więc nic dziwnego, że przytoczę jeszcze jeden:

Kto nie jadł, ten nie żałował;
Kto jadł nadto, przechorował,

by przy tej okazji przekazać fragment dziejów narodowego obżarstwa, tak dalece odbiegający od dzisiejszych norm żywieniowych i wzruszających wypowiedzi ministra Krasińskiego, że aż wart przypomnienia, tym bardziej, że święta już za nami:

„Konstantyn, książę Ostrogski, syn słynnego wodza polskiego, miał na swym dworze jakiegoś Bohdana; ten na śniadanie zjadał prosię pieczone, gęś, dwa kapłony, pieczeń wołową, chleba trzy bochny, ser cały, miodu garncy dwa. Po tym wszystkim do obiadu tak siadał, jakby nic nie jadł, przy którym spożył mięsa wołowego sztuk dziesięć, cielęcego jeszcze więcej, baraniego więcej niż cielęcego, prosię pieczone, gęś, kapłona, pieczeni trzy: wołową, cielęcą i wieprzową; miodu, wina, gorzałki na przemian po garncy cztery, piwa bez miary; z tym wszystkim nie był wcale otyły; tak był silny, że mógł na trzydziestu uderzyć, nigdy się nie upił, po każdym jedzeniu tak wstał od stołu, żeby mógł zjeść jeszcze więcej".

Nie wiadomo oczywiście, czy łakomy Bohdanek swego gargantuicznego apetytu nie odchorowywał, aliści dobrze się stało, że działo się to tak dawno, że jeszcze kartek nie znano, a mięsne przydziały proporcjonalne były do apetytu...

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Promocja

FILMY VIDEO RYSZARDA LENCZEWSKIEGO O KORZE I „MAANAMIE".

Firma płytowa „ROGOT" wydała nową płytę grupy rockowej **„MAANAM" — „NOCNY PATROL"** i przygotowała do wydania płytę **„MENTAL CUT"**.

A ponieważ działa bardzo profesjonalnie i poważnie traktuje nagrywających u siebie wykonawców postanowiła zapewnić grupie „MAANAM" promocję płytową w postaci dwóch filmów — video. Realizację filmów powierzono absolwentowi Wydziału Operatorskiego PWSFTviT w Łodzi, RYSZARDOWI LENCZEWSKIEMU, świetnemu operatorowi filmowemu, który na swoim koncie ma już spory dorobek operatorski filmów dokumentalnych i fabularnych, nagrody z „Brązowymi Lwami" na VII FPFF w Gdańsku na czele.

„NOCNY PATROL"

„Film, który zamierzam zrealizować służyć będzie przede wszystkim promocji nowych utworów, ma spotęgować zainteresowanie grupą i zarejestrować emocje towarzyszące koncertom. Pomysł na zrobienie tego filmu narodził się na podstawie wizyt na kilku koncertach rockowych, które w atmosferze były takie same jak wielkie mecze piłkarskie" — pisze Ryszard Lenczewski we wstępie swego scenariusza. —

Wnętrze ogromnej hali.

Kilka tysięcy dziewcząt i chłopców. Ubrani wg różnych stylów i mód — zewnętrznie przypominają kibiców piłkarskich. Mężczyzna ok. czterdziestki powoduje połączenie się publiczności w gigantyczny łańcuch poprzez podanie rąk.

Mężczyzna zaczyna litanię.

— Maanam być Maanam.

— Maanam — odpowiada szeptem wielotysięczna hala.

— Maanam być lepiej.

— Maanam.

— Maanam być Kora.

— Maanam — szmer tej przedziwnej modlitwy zaczyna zamilkać.

Słyszą go nadal w sobie. Jak pogłos.

Wielotysięczne echo dociera do zaplecza hali. Kora odpala papierosa od papierosa. Jeden z gitarzystów nerwowo przebiera palcami po gryfie gitary. Ktoś siedzi w kącie żuje powoli gumę nie otwierając ust. Ma słuchawki na uszach. Powoli narasta skupienie przed występem. Twarze jakby w zwolnionym przez rozgrzane powietrze pulsującym ruchu.

Rytuał na sali zakończony Zaczyna narastać zniecierpliwienie przedłużającym się oczekiwaniem na rozpoczęcie koncertu. Co chwila wybucha fala okrzyków skandujących nazwę zespołu. Krzyk przechodzi we wrzask.

Wąskim przejściem między sektorami idzie Kora i zespół Falujący tłum na płycie przed estradą. Poprzez mgłę gęstego powietrza powiewająca transparentami druga strona hali.

Koncert trwa. Drugi. Trzeci utwór.

Emocje na sali rosną.

Zespół jest umieszczony na estradzie podobnie jak bokserzy na ringu. Publiczność otacza go z każdej strony. Każdy gest jest obserwowany ze wszystkich stron. Badawcze spojrzenia.

Muzyka nagle urywa się.

Cisza, która nastąpiła jest nie do wytrzymania.

Kora rozmyta przez grubą szybę gwałtownie ściąga słuchawki z głowy. Coś krzyczy. Zza szyby słychać tylko ślad szeptu. Marek Jackowski uderza w struny gitary.

Chwila ciszy.

Jakaś dziewczyna nie wytrzymuje Zaczyna krzyczeć Ktoś do niej dołącza. Znowu cisza. Znowu uderzenie gitary. Znowu krzyk.

Gra rozwija się. Podniecenie narasta.

Gdy histeria na widowni sięga zenitu, gitarzysta zmienia frazę. Koncert trwa.

Na widowni pojawiają się płomyki zapalonych zapałek. W świetle jednej z zapałek odczytujemy wśród widzów twarz Kory. Tłum przy estradzie przypomina przemieszczający się wir.

Na trybunie większość wstała z miejsc.

Głośna, ostra muzyka. Na scenę wdziera się dziewczyna. Podbiega do Kory. Robi ruch ręką. Ktoś ją łapie.

Nie wiadomo czy miał to być gest sympatii czy agresji.

Ostatni utwór.

Na pobladłe czoło gitarzysty występują drobne kropelki potu. Estrada z daleka wydaje się być coraz mniejsza wśród olbrzymiego tłumu. Zespołu z tej odległości nie można odróżnić. Może ich już nie ma?

Zbliżenie do estrady. Coraz bliżej zespołu. Przelatujemy okiem (obiektywem) kamery tuż nad głowami. Teraz widać tylko zamazaną publiczność..

Przez mikrofony ktoś krzyczy: „MAANAM...

To słowo zaciera się wśród oddalającego się krzyku publiczności".

(wybrane ze scenopisu Ryszarda Lenczewskiego)

Patrzę w notatki reżysera które pokazują zarysowany w punktach plan poszczególnych ujęć.

Zapełnienie hali.

Modlitwa.

Garderoba.

Zniecierpliwienie I.

Pęknięcie struny.

Piosenka nr 1: „Raz dwa, raz dwa".

Zniecierpliwienie II.

Przejście Kory i zespołu.

Piosenka nr 2: „Krakowski spleen" — „Czekam na wiatr".

Piosenka nr 3: „French is strange".

I Cisza za szybą.

Rozmowa gitary i przedstawienie zespołu.

Piosenka nr 4: „Eksplozja".

II Cisza za szybą.

Piosenka nr 5: „Paranoja"

Płomienie z zapałek i Kora

Przed halą (publiczność).

Piosenka nr 6: „Nocny patrol".

Koncert „MAANAM" został zarejestrowany na warszawskim Torwarze. Po raz pierwszy w historii koncertów rockowych estrada została umieszczona w narożniku hali. Zespół początkowo był temu przeciwny z uwagi na gorszą jakość akustyczną, ale dał się przekonać i efekt na ekranie wskazuje na dobry pomysł reżysera.

Wycięty fragment z filmu z piosenką „Raz dwa, raz dwa" znany jest dobrze z licznych emisji w TVP („Telewizyjna Lista Przebojów").

Film Ryszarda Lenczewskiego, promocyjny dla płyty „Nocny patrol" czeka na polską premierę w TV Oglądali go już widzowie Danii RFN, Holandii, Bułgarii. Wszyscy byli zaskoczeni, że w Polsce jest wokalistka rockowa tej klasy co Kora oraz, że w tym kraju zrobiono film dorównujący poziomem technicznym i bardzo ciekawą konwencją artystyczną najlepszym filmom muzycznym na świecie.

„MENTAL CUT"

„Tworzyć nie znaczy deformować lub wymyślać osoby i przedmioty lecz doprowadzić do nowych związków między osobami i przedmiotami, biorąc je takimi, jakimi są"

Robert Bresson („Notes sur le cinematographe")

To motto twórcy drugiego filmu pt. **„Mental Cut"**, umieszczone w scenariuszu Tym razem Ryszard Lenczewski pokazał Korę w dwóch miejscach: w sterylnym studio o czarnych ścianach, w precyzyjnym, kontrastowym świetle Kora wypełnia sobą ekran prawie we wszystkich sekwencjach. Widzimy ją również na ulicach Łodzi, na jej starych specyficznych podwórkach-studniach, na ulicach wśród szarych, jakby lekko zakurzonych ludzi i w różnych sytuacjach. Reżyser stosuje swego rodzaju filmową prowokację umieszczając Korę np. na stadionie ŁKS w czasie meczu lub w różnych zbiorowiskach ludzkich w rozmaitych sytuacjach, świetnie korespondujących z nastrojem klimatem tego niezwykłego filmu.

Przekrzywione kamienie brukowej alejki między starymi budynkami z ciemnej cegły Fabryczne osiedle z początku naszego wieku (Księży Młyn w Łodzi).

Słychać zbliżające się kroki.

Ktoś podnosi kamerę — obraz odzyskuje normalną perspektywę. Zaglądamy między dwa budynki — ktoś znika za węgłem. Kamera kontynuuje swoją gonitwę po zakamarkach starej dzielnicy Łodzi.

Bocznica kolejowa. Z jednej strony toru wysoki mur, z okopconej cegły — po przeciwnej zaniedbane ogródki. Z ujęcia na ujęcie obraz staje się czarno-biały.

Kamera goni idącą po torach dziewczynę w jasnym płaszczu. To Kora. Śpiewa utwór „What lau I Do".

Samochód jedzie bardzo wolno. Za oknem przesuwają się odrapane ściany budynków Kora śpiewa utwór „Open the Door". W tle przesuwa się ściana ulicy.

Uliczne sygnalizatory nad ruchliwym skrzyżowaniem. Samochody pojawiają się i nikną w przyspieszonym tempie. Zmierzch zapada w ciągu kilkunastu sekund. Zaczyna się utwór „IA S a Simple Story".

Czarno-biała fotografia.

Zamknięte sytuacje, mikrowydarzenia w perspektywie podwórek.

Noc. Tramwaj.

Na ostatniej platformie, twarzą do kamery, w blaskim świetle śpiewa Kora. Twarze. Za szybami przesuwa się miasto. Twarz Kory za szybą. W szybie ludzie wędrujący ulicą. Kora zaczyna śpiewać „I Have e Lover".

Kora wchodzi w wąski, ciemny tunel. W tle jasny prostokąt z przechodzącymi w różnych kierunkach ludźmi. Twarz Kory jasna, przeeksponowana. Zaczyna się utwór: „Who Will Be". Światło gaśnie lecz twarz Kory z każdym jej krokiem staje się coraz jaśniejsza. Wychodzi z tunelu. Jest wśród ludzi.

Prześwietlony obraz. Biała ulica. Skręcający tramwaj. Cofamy się w czeluść bramy. Słychać muzykę. Pierwsze słowa piosenki. Czyjś ciemny kontur. Dopiero ktoś podnosi silny reflektor do góry.

Przed cofającą się kamerą idzie Kora. Śpiewa „Luciollę". Ten fragment filmu jest doskonale znany z naszych ekranów telewizyjnych. „Luciolla" jest już przebojem. Schody. Ludzie schodzą w dół. Kora idzie w przeciwnym kierunku.

Winda. Korytarz. Błyszczące, białe ściany. Kora otwiera drzwi. Wchodzi do studia. Dookoła czarne ściany. Utwór „Mental Cut". Kontrastowe światło. Twarze muzyków to giną w mroku, to znów pojawiają się w smugach reflektorów. Portret Kory.

Jej usta połyskują w kontrastowym świetle w takt śpiewanego tekstu piosenki.

Pomysł na film „Mental Cut" zrodził się z doświadczeń fotograficznych reżysera, które zebrał jeszcze przed studiami w szkole filmowej, wykorzystał tu np. dokumentację fotograficzną Łodzi oraz swoich przeżyć z ostatnich kilku lat. Jak mówi — najbardziej interesuje go we własnych filmach: emocja niedopowiedzenie, tajemnica.

W obu filmach na pierwszym planie jest Kora, jej silna specyficzna osobowość. Ma fotogeniczną, ciekawą twarz. Kora jest medium, które hipnotyzuje nastoletnią młodzież i przykuwa uwagę widza w każdym wieku. Doskonale czuje kamerę, potrafi się podporządkować wskazówkom reżysera, a także improwizować na planie

Film został nakręcony na taśmie 35 mm trzema sposobami, pierwszy: zdjęcia dokumentalne autora z różnych miejsc z dużą ilością ludzi w różnych stanach emocjonalnych drugi — Kora prowokacyjnie wpuszczona w różne sytuacje wśród ludzi, trzeci — sterylne sekwencje w studio z dominującą barwą: czerń i biel.

Twórca filmów obejrzał mnóstwo filmów video z różnymi programami muzycznymi a to po to, aby odciąć się od tego, co już zostało nakreślone. Lenczewski zrobił filmy wręcz w opozycji do tego, co się robi na Zachodzie. Kontakt z muzykami rockowymi i ich muzyką miał na tyle ułatwiony, że sam był gitarzystą.

Reżyser wykreował Korę na wielką gwiazdę rocka, która jest zresztą w Polsce. Obecnie „Maanam" próbuje wejść na zachodnie rynki muzyczne Nagrali dużą płytę w Danii. Wystąpili na największym w Europie Festiwalu Muzyki Rockowej w Roscilde (Dania), gdzie była kręcona jedna z sekwencji do „Nocnego patrolu". Niedawno koncertowali w RFN Nagrali kasetę w języku angielskim i... mają dwa znakomicie zrobione filmy, które stanowią najlepszą promocję nie tylko nowych płyt, ale muzyki tej oryginalnej grupy, która po kilkumiesięcznej przerwie znowu weszła do radia, TV i wciąż cieszy się największym zainteresowaniem polskiej młodzieży.

Koszt filmów licząc po czarnorynkowej cenie dolara jest 2,5 tysiąca razy tańszy niż podobne produkcje na Zachodzie czyli 600 razy tańszy licząc oficjalnym kursem dolara.

„Nocny patrol" i „Mental Cut" czekają na telewizyjne premiery. Reżyser pokazał swoje filmy autorowi w łódzkiej WFO na zamkniętym pokazie.

BOHDAN GADOMSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Polemiki • Listy • Opinie

NIKT NIE RODZI SIĘ DŻENTELMENEM

Pewien skromny lub wręcz „zakompleksiony" czytelnik pisze w liście do redakcji: „Ja otóż, żaden gentelman — jako iż syn kolejarza i wieśniaczki (...)". (Odgłosy nr 3/85). Trzeba tu wyjaśnić, że we współczesnym słownictwie, zarówno angielskim, jak polskim, termin „gentleman" (nie: gentelman) i spolszczony „dżentelmen" — nie ma już nic wspólnego z „dobrym urodzeniem".

Według popularnego, choć trójtomowego „Słownika języka polskiego" (PWN 1978 i nast.) „dżentelmen" to „mężczyzna dobrze wychowany, taktowny, rycerski, umiejący się zachować w każdej sytuacji; także mężczyzna wytworny, elegancko ubrany". Nie inaczej wyjaśnia sprawę „Słownik wyrazów obcych" (np. PWN 1980 s. 170): „dżentelmen — mężczyzna dobrze wychowany, taktowny, honorowy". W „Słowniku wyrazów obcych" wydanym przez PIW w 1959 roku czytamy wprost, że jest to (dżentelmen) „człowiek reprezentujący pewien ideał wychowania: szlachetny, dobrze ułożony, uprzejmy, usłużny, umiejący zachować swą godność".

Komu zdarzyło się podróżować po świecie, zwłaszcza po krajach II obszaru płatniczego, ten wie, że napis na drzwiach „GENTLEMEN" oznacza po prostu przybytek „Dla panów" i nikt tam sparty naturalną potrzebą, nie duma przed wejściem o swoich rodzicach. Podobnie na międzynarodowych kongresach nie zdarza się, aby ktoś wychodził, słysząc zagajenie przez przewodniczącego obrad per „Gentlemen".

Można się nieśmiało domyślać, że zamanifestowana przez Czytelnika pewna awersja do słowa „dżentelmen" ma swoje źródło w fakcie pokwitania w latach pięćdziesiątych, kiedy to wszystko, co miało rodowód zachodni, było przez oficjalną pedagogikę sygnowane piętnem co najmniej dwuznaczności moralnej (por. np. „bikiniarz").

Lata totalnego potępienia wszystkiego, co zachodnie szczęśliwie minęły i nie ma przeszkód, co sankcjonują nasze słowniki, aby nasz PT Czytelnik uważał się za dżentelmena, albo nawet był nim naprawdę, niezależnie od pochodzenia.

EUGENIUSZ H. PUDLICA
(Oświęcim)

POKOCHAĆ PSA

W łódzkim schronisku dla bezdomnych zwierząt przebywa kilkanaście (kilkadziesiąt) psów, które w bestialski sposób zostały wyrzucone lub wywiezione i pozostawione w innej części miasta lub lesie.

Gdyby nie trafiły do schroniska, czekałaby ich straszna śmierć głodowa. W schronisku przez dwa tygodnie będą miały zapewnione pożywienie i dach nad głową. Ale po upływie tego czasu, jeśli nikt wcześniej się nimi nie zaopiekuje, zostaną uśpione.

Myślę, że znajdą się ludzie dobrej woli, którym nie jest obojętny ich los, a chcieliby i mogli zaopiekować się takim psem. Mogą go kupić za prawie symboliczną, niską cenę. Co prawda nie jest to psia „arystokracja" a zwykłe kundelki, ale przecież nie mniej miłe i wierne.

Utrzymanie takiego psa na pewno nie nadweręży domowego budżetu. Zawsze znajdą się resztki z obiadu, którymi można nakarmić psa. W zamian właściciel zyska na całe życie oddanego, wiernego i kochającego przyjaciela.

Ludzie, którzy chcą pozbyć się psa nie powinni w tak brutalny sposób postępować z nim. Mogą przecież oddać psa do schroniska (bezpłatnie) mieszczącego się przy ul. Marmurowej. W ten sposób zaoszczędzi się zwierzęciu marznięcia i głodu.

ANNA MARCINIAK

GDZIE PODZIEWAJĄ SIĘ PODRĘCZNIKI AKADEMICKIE?

Podręczników akademickich brak. Stwierdza to student na początku każdego semestru, gdy chce kupić tytuły, zalecane przez wykładowców. Brak niektórych podręczników tłumaczy się wieloletnim brakiem wznowień. Jednak brak innych jest zupełnie niezrozumiały. To ostatnie dotyczy np. fizjologii roślin. Jest to przedmiot obowiązujący każdego studenta biologii uniwersyteckiej oraz niektórych studentów AR. Zainteresowanych studentów, stacjonarnych i zaocznych, jest ok. 5 tys. Dochodzą do tego niektórzy maturzyści, młodzi naukowcy, hobbiści. Łączne roczne zapotrzebowanie na powyższy podręcznik nie powinno być wyższe niż 5,5 tys. I to przy założeniu, że każdy zainteresowany podręcznik kupuje w księgarni.

W rzeczywistości nigdy każdy student nie kupuje podręczników do wszystkich przedmiotów, z których zdaje egzaminy. Z tych, którzy kupują, tylko część czyni to w księgarni; niektórzy odkupują od starszych kolegów, tj. korzystają „z drugiej ręki". Jeszcze inni wypożyczają z bibliotek. Często podręcznik służy kilku studentom, np. w domach studenckich zwykle kompletuje się podręczniki dla pokoju lub kilku zaprzyjaźnionych pokoi. Tym samym zapotrzebowanie na podręczniki z księgarni spada co najmniej o połowę w stosunku do liczby zainteresowanych. W przypadku zaś takiego przedmiotu jak fizjologia roślin, szczególnie silnie wyrażone być powinno zjawisko korzystania z pomocy „drugiej ręki", ponieważ jest to przedmiot „uzupełniający" dla większości biologów i wszystkich rolników — nie ma więc potrzeby przechowywania podręcznika do końca studiów. Tym samym realne zapotrzebowanie na nowe podręczniki z omawianej dziedziny wiedzy nie powinno przekraczać 3 tys. egz. rocznie. A jaka jest rzeczywistość?

W 1981 r. wydany został podręcznik Eike Libberta pt. „Fizjologia Roślin" w nakładzie 10 tys. (cena 180 zł). W połowie 1982 r. był on już wyczerpany. W 1983 r. wydany został podręcznik Stefana Gumińskiego pt. „Ogólna fizjologia roślin" w nakładzie 15 tys. egz. (cena 150 zł). Podręcznik ten został wyczerpany w 1984 r. Studenci, rozpoczynający zajęcia z tej dziedziny wiedzy w lutym 1985 r. — podręcznika są pozbawieni.

Podliczmy: 10 tys. z roku 1981 i 15 tys. z roku 1983 czyni łącznie 25 tys. egz. Powinno to wystarczyć co najmniej na lat osiem! Tymczasem wszystkie egzemplarze zostały wyprzedane „na pniu". Dlaczego? — Nie wiem! Nie wiem, ponieważ wiem, ilu jest ludzi, sięgających po te podręczniki gwoli prawdziwego studiowania. Kto więc i po co wykupuje podręczniki akademickie rujnując wszelkie przewidywania i racjonalne plany wydawnicze? Tu odpowiedź jest jasna, gdy się zważy, iż na wszelkiego rodzaju pchlich targowiskach kupić można każdą książkę, oczywiście po cenie znacznie wyższej od nominalnej. Nie omylę się zbytnio gdy stwierdzę, że w obecnej sytuacji tylko 1/3 podręczników służy edukacji, większość zaś nakładu służy nie tyle tezauryzacji (podręczniki szybko starzeją się!), ile spekulacji na edukacji.

Jedynie właściwym rozwiązaniem problemu byłoby drukowanie tylu egzemplarzy, ilu jest nabywców. Jest to jednak niemożliwe. Podręczniki akademickie są dotowane przez MNSzWiT. Proponuję, by dotowany był czytelnik, a nie książka. Przywykliśmy, że leki mają podwójną cenę: tę normalną i tę dla ubezpieczonych, legitymujących się receptą. Opowiadam się za podwójną ceną książki: tą ekonomiczną i tą dla rzeczywiście zainteresowanych treścią. Każdy podręcznik powinien mieć doklejoną dwuczęściową karteczkę z wypisaną ceną ekonomiczną oraz ceną dotowaną. Podręcznik byłby sprzedawany po cenie ekonomicznej (tj. po cenie kosztów produkcji z dodatkiem zysku i marży handlowej). Student i naukowiec, maturzysta, hobbista — otrzymywałby zwrot nadpłaty, na podstawie drugiej części karteczki cenowej, od uczelni, szkoły czy Rady Narodowej. Handlarz kupowałby po cenie ekonomicznej, co by znakomicie ostudziło zapędy spekulacyjne. Podręcznik bez drugiej części karteczki cenowej powinien być uważany za kupiony po cenie dotowanej: i ta cena powinna być brana pod uwagę przy odsprzedaży.

Jestem przeciwnikiem wszelkiej biurokracji i reglamentacji. Lepsza jest jednak tolerancyjna biurokracja niż rozpasana spekulacja. Nie stać nas na to by student, pragnący nabyć podręcznik, nie mógł go kupić po cenie godziwej. Podwójna cena miałaby jednocześnie znaczenie wychowawcze, unaoczniając dopłatę państwową do książki.

Swoją zaś drogą nie zaszkodziłoby, gdyby samorząd studencki organizował na początku każdego semestru giełdę podręczników używanych. Widziałem takie giełdy „na Zachodzie" — cieszyły się one dużym powodzeniem, chociaż akurat tam nie ma trudności z nabyciem podręczników nowych; na giełdzie jednak już za dolara można było nabyć podręcznik, za który w księgarni trzeba byłoby zapłacić dolarów dziesięć. Warto zacząć liczyć również złotówki.

J. STANISŁAW KNYPL

TRUCIZNA W KRANACH

W odpowiedzi na notatkę prasową pt. „Trucizna w kranach" opublikowaną w „Odgłosach" z dnia 2 lutego 1985 r., uprzejmie wyjaśniamy:

Inżynier Województwa zawiadomił przedsiębiorstwo w dniu 18 stycznia 1985 r. o wydostających się oparach trucizn w budynku przy ul. Piwnej. Po rozeznaniu sytuacji ustalono że w Łódzkich Zakładach Farmaceutycznych „Polfa" przy ul. Drewnowskiej 45/47 nastąpił wyciek toluenu, który został odprowadzony do kanalizacji ogólnospławnej w ul. Piwnej poprzez studzienki ściekowe znajdujące się na terenie „Polfy".

W związku z powyższym przystąpiono do przewietrzania i kilkakrotnego płukania wodą kanałów w ulicach Piwnej i Drewnowskiej. Państwowa Inspekcja Sanitarna Dzielnicy Łódź-Bałuty dokonała kontroli stężenia gazów w kanale i po uzyskaniu wyników nie zagrażających zdrowiu i życiu, włazy kanalizacyjne zostały zamknięte pokrywami o dużych otworach wentylacyjnych w celu stałego przewietrzania.

Przyczyną przedostania się oparów z kanału ulicznego do wnętrza budynku była niewłaściwa wewnętrzna instalacja kanalizacyjna, która aktualnie jest przebudowywana przez Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej Łódź-Bałuty.

Jak wynika z tych wyjaśnień trucizna nie znajdowała się w sieci wodociągowej, którą dostarczana jest woda dla odbiorców a w sieci kanalizacyjnej, która odprowadzane są ścieki, stanowi to zasadniczą różnicę.

Informacja opublikowana w przedmiotowej notatce zawierała zatem dane niezgodne z ustalonym stanem faktycznym.

Przedstawiając powyższe prosimy o sprostowanie przekazanych w prasie informacji dotyczących przedmiotowego zdarzenia.

Dyrektor
Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji
Okręgu Łódzkiego
mgr JANUARY MAGALSKI

Do wiadomości:

— Urząd Miasta Łodzi
Rzecznik Prasowy Prezydenta
ul. Piotrkowska 104 90-926 Łódź
— Urząd Miasta Łodzi
Wydział Gospodarki Komunalnej
i Infrastruktury Technicznej
ul. Piotrkowska 175 90-447 Łódź

O DELIRIUM – MIĘDLENIE

W felietonie „Wyszczekany jamnik" („Odgłosy" nr 7/85) Andrzej Karol stawia mnie za przykład osobnika, uprawiającego (cytuję): *„Gadulstwo! Międlenie słów w mowie i piśmie, „bicie piany", „trucie", „pieprzenie" i jak to się tam jeszcze nazywa"*. Ja bowiem na *„błahą"* (zdaniem A.K.) *„notatkę, liczącą siedem wierszy"*, odpowiedziałem *(odpierdoliłem* — w kontekście tekstu przedkładającego *„kurwę"* nad *„prostytutkę"?)* listem *„rozprawiającym się z tą notatką w stu czterdziestu wierszach — kto nie wierzy, niech policzy"*.

Serdecznie dziękuję za zainteresowanie się moim listem, posunięte aż do liczenia wierszy — nawet, gdy zainteresowaniu temu przyświecała (niecna?) intencja oszczekania wyszczekanego. 7:140 to rzeczywiście „i śmieszno, i straszno", jak mawiają bracia Rosjanie. Zwłaszcza w odniesieniu do publicystów i polemistów, którzy powinni hołdować zasadzie maksymalnej oszczędności słowa publicystycznego oraz ograniczania słowa polemicznego do maksimum połowy ubitego pola.

Byłoby śmiesznie, gdyby notatka była rzeczywiście błaha. Lecz ona błaha nie była, ponieważ dotyczyła alkoholizmu. Została tak sformułowana, że wbrew intencjom autora mogła być odczytana jako strojenie żartów z ludzi, starających się zmienić narodowy zwyczaj picia na umór — na picie umiarkowane; ludzie ci skrzyknęli się wokół TKK „Veto", tworząc nieformalny Komitet Kultury Picia. Ja rozumiem, że zadanie jest beznadziejne; wiem, że przegrali wszyscy poprzedzający, którzy usiłowali powstrzymać rozpełzywanie się alkoholizmu; wiem też doskonale, że każdy, kto usiłuje Polaka zrażać do picia bohaterskiego na rzecz picia umiarkowanego (bo o abstynencji nie ma w ogóle co marzyć!) — naraża się na śmieszność, i na publiczne obśmianie.

Właśnie się naraziłem. I publicznie obśmiany zostałem.

Lecz byłem na to przygotowany, właśnie jako realista, trzeźwy. Jedyną mają reakcją jest więc otrząśnięcie się, gwoli oczyszczenia sierści z pomyj. Chociaż, ciężko trochę na duchu, że tak szybko, bo z numeru 6 na numer 7, co w przypadku tygodnika oznacza z dnia na dzień, moje czarne przewidywania sprawdziły się. Żal, iż sprawdziły się na łamach tygodnika społeczno-kulturalnego.

Kultura to nie tylko opera i teatr; to również opilstwo. Opilstwo jest też sprawą społeczną, bodaj czy nie jedną z najważniejszych. Gdyby bowiem opilstwa nie było, i zamroczenia alkoholowego także, i gdyby nie było marnego samopoczucia „na katzu", to i inne „palące" sprawy społeczne stałyby się mniej palące i nabrzmiałe. Gdybyśmy mniej przepijali, to na pewno lepiej byśmy żyli (Polak co trzecią złotówkę „żywnościową" wydaje na alkohol!), więcej i lepiej byśmy produkowali, mniej byśmy marnotrawili. — Alkohol zalewa Kraj, jak on długi i szeroki, podmywa węgły chat i wieżowców — z roku na rok szerzej, wyżej, skuteczniej. Sięga po dzieci ze szkół podstawowych — które sięgają po „kielich". Dostarcza nam debili, płodzonych po pijanemu i oddawanych na nasze wychowanie. Dostarcza nam katastrof drogowych, budowlanych, produkcyjnych i eksploatacyjnych — w których giną trzeźwi: i jest źródłem siedmiu po siedemkroć plag, dotykających tak trzeźwych jak i pijanych.

Na temat opilstwa Polaków zadrukowano już tony ton papieru. I zadrukuje się następne tony ton. Cieszę się, że w tych tonach już zadrukowanych znalazło się moje 140 wierszy. Obiecuję, że znajdzie się wiele więcej „bicia piany" i „trucia" w moim wydaniu. Lepiej „bić pianę" i „truć" niż zbierać szumowiny i być zatruwanym. Wobec alkoholizowania się totalnego nie można pozostać obojętnym. I na pisanie, trzeźwe!, o tym problemie narodowym, chyba nie warto szczędzić papieru? Chociaż pisanie takie, przyznaję, ośmiesza, jest śmieszne, w związku z czym wielu śmieszy. Poczekamy to i zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni.

JAMNIK

PS.: No i znów notatka marginesowa a 7-wierszowa spotkała się — z czym? Z „gadulstwem i międleniem słów". *I pomyśleć, że wszystko można by załatwić jednym a zrozumiałym: „no to cyk!"*

(J.)

GRUPIE PLWACZY Z POLESIA

wyjaśniam co następuje:

1) po domu i po obiektach do tego przeznaczonych naturyści chodzą nago. Po Domu Kultury — nie. Nie ma takiej potrzeby.
2) Niewiele od nas dalej do równika, jak do bieguna.
3) Domy Kultury nie mają na celu wychowywania chuliganów. Chuliganów wychowuje ulica, a ich resocjalizacją zajmują się Zakłady Penitencjarne (duże budynki, można by przedszkole, a tu furt chuligani).
4) Nie mam nic przeciwko Klubowi Pederastów i jeśli grupa autorów listu założy taki klub, na pewno naturyści go im nie oplują.
5) Naturyści w ogóle plują rzadko, a jeśli już, to w miejscach do tego przeznaczonych. Jest to zapewne jeden z rozlicznych powodów, dla których naturystów wpuszcza się do Domu Kultury, a poleskich „plwaczy" — nie.

Łódź, 1985.03.12

ANDRZEJ KRAKOWSKI
naturysta
adres znany Redakcji.

„WRZÓD"

Z dużym zainteresowaniem, a jednocześnie z coraz większym smutkiem i niepokojem śledzę zmagania Redaktora Tomasza Sienkiewicza i Edwarda Bryla z kierownictwem łódzkiego pogotowia. I naprawdę nie mogę zrozumieć — jak to jest możliwe? Fakty przedstawione przez dziennikarzy i czytelników są tak oczywiste, że sprawę powinno się radykalnie załatwić w ciągu jednego tygodnia. Tymczasem dowiadujemy się, że bardzo wartościowa, zaangażowana lekarka przegrała proces (!) ponieważ reagowała na pijaństwo i bałagan w pogotowiu, doskonale znała swój zawód i chciała służyć ludziom. W podtekście możemy się domyślać, że przyklejono Jej sporą etykietkę „rozrabiacza", „osoby konfliktowej" albo „człowieka o niepewnym kręgosłupie politycznym". Z tych zarzutów nie oczyści się tak łatwo! Ale nie czas tutaj na ironię.

Argumenty przedstawione przez dyrektora Okińczyca w „odpowiedzi — proteście" są tak kruche i wykrętne, że momentami aż żenujące. Wręcz zaskakuje sformułowanie typu, „jak to możliwe, aby (... taka publikacja...) ukazała się w socjalistycznej prasie "... A w jakiej ma się ukazywać? W feudalnej? Może w imperialistycznej?

Jeszcze społeczeństwu pozostaje jedyne pocieszenie, że znaleźli się odważni, bezkompromisowi dziennikarze, którzy otwarcie podjęli walkę ze złem. Zło to ukazywane i piętnowane jest nie w fabryce frędzelków czy przy grabieniu trawników, lecz w POGOTOWIU RATUNKOWYM, gdzie często granica życia i śmierci jest bardzo wąska. Ewidentne objawy pijaństwa, niesubordynacji i „karygodnych zachowań" zostały przez kierownictwo łódzkiego pogotowia przedstawione z taką niefrasobliwością, jak gdyby chodziło tu o lekki katar. Zdumiewa fakt, iż pod pismem ogłaszającym „utratę zaufania do dziennikarza" obok dyrektora Jerzego Okińczyca podpisana jest przewodnicząca Związku Zawodowego (K. Bednarek) i pierwszy sekretarz POP (B. Łokaj). Można sobie wyobrazić, w jaki sposób zebrano te 288 podpisów w „Liście otwartym"... Zorganizowany protest słusznie krytykowanych osób wydaje się być najlepszym środkiem na uzdrowienie sytuacji w łódzkiej WSPR. Niejeden góral powiedziałby filozoficznie — „tyz piknie"...

Pewną nadzieję budzi komunikat Obywatela Jana Nosko, wiceprezydenta miasta Łodzi, dotyczący komisyjnego zbadania zarzutów pod adresem pogotowia. Znając jednak styl pracy niektórych takich komisji nie można być pewnym, czy w jej składzie nie znajdzie się sam Jerzy Okińczyc lub zaproponowane przez Niego osoby. Wtedy „rozmydlanie" zasadniczej treści może przyjąć piramidalne formy. Można przypuszczać, że kilkanaście osób zajmie się ważnymi lub przeterminowanymi lekami, brakiem części zamiennych, urlopami wychowawczymi personelu pogotowia itp. Oby tak się nie stało!

Tutaj chodzi przecież o świetnego, solidnego lekarza, doktor Targaszewską. Nie taki finał powinna mieć ta ponura sprawa! Do tej pory obserwujemy typowe wyjście z sytuacji: doktor Targaszewska — do biblioteki, dyrektor. Okińczyc — „kopniaka w górę", niepokorni świadkowie — „na odstrzał". Oczywiście, nie od razu, lecz programowo, z argumentacją, z parafkami czynników... A „Głos Robotniczy" będzie mógł napisać o istotnych zmianach personalnych, niemal całkowitym uzdrowieniu sytuacji, może nawet użyje słowa „odnowa".

Zaś pacjenci? Cóż tam pacjenci! Liczy się dobre imię pogotowia i „zdrowa atmosfera w miejscu pracy". Bez rozrabiaczy, którzy w trzeźwym stanie gotowi są natychmiast jechać do wypadku, ciężkiej choroby, porodu, zatrucia itp.

Coraz częściej słyszy się o kontrowersyjnych rozstrzygnięciach Terenowych Komisji Odwoławczych do Spraw Pracy oraz Sądów Pracy. Już w pierwszej instancji (TKO) pracownik występuje na przegranej pozycji. Pozostawiony jest sam sobie (na tym etapie nie może występować obrońca), a obecne rady zakładowe, niestety, w większości „powoływane są" przez dyrekcję przedsiębiorstw. Procesy o przywrócenie do pracy ciągną się miesiącami i latami. Składy orzekające wyznają zasadę, że władza nie może się mylić, władza musi mieć rację i autorytet. Trzeba mieć cierpliwość Redaktorów T. Sienkiewicza czy E. Bryla oraz samozaparcie inżyniera A. Barona, aby dojść w końcu do rzeczy prostych, oczywistych: zwolnienie człowieka było aktem prymitywnej szykany. Im wartościowszy pracownik, tym zawziętość pracodawców proporcjonalnie większa. A już najgorszy los spotyka abstynentów. Takiemu nikt nie wybaczy...

Swoje myśli przedstawiłem może w sposób chaotyczny, ale nie umiem opanować emocji przy takich sprawach. Bardzo dziękuję Redakcjom „Odgłosów" i „Przeglądu Tygodniowego" za zdecydowaną postawę w walce o ludzką godność i o elementarne zasady sprawiedliwości. Jaka szkoda, że dziennikarze zastępują prokuratorów, kontrolerów i inspektorów. (...)

MIECZYSŁAW RYKAŁA
BŁONIE

RFN: rewolucja komputerowa w szkołach

Szkolnictwo zachodnioniemieckie stoi w obliczu rewolucji komputerowej: ministrowie oświaty (w RFN kompetencje w dziedzinie szkolnictwa należą do poszczególnych krajów federacyjnych) planują jak najszybszą realizację ambitnego programu — komputery we wszystkich szkołach, wszyscy uczniowie przy komputerach. O tym „alarmie dla szkół" pisze DER SPIEGEL.

Na rok przed maturą 19-letni Frank Kardel z Altenholz koło Kilonii opracował na domowym komputerze program tajnego kodu. Program ten niedawno został opublikowany (w LOG IN, czasopiśmie poświęconym informatyce w szkole i instytucjach oświatowych), ale mimo to np. Waszyngton i Moskwa mogłyby bez żadnego ryzyka używać go do ochrony swych tajemnic państwowych przed drugim państwem. Nawet bowiem największy komputer, istniejący obecnie na świecie, musiałby liczyć osiem do dziesięciu lat, żeby rozszyfrować tekst, zapisany przy użyciu metody Kardela.

Półtora roku przed rozpoczęciem nauki w szkole czteroletni Jens Niegemann z Saarbruecken opracował swój pierwszy program, również na komputerze domowym. Wystukał, jak na maszynie do pisania, tuzin rozkazów i osiągnął to, co chciał: aparat narysował na ekranie prostokąt i długą kreskę i „chorągiewka" była gotowa.

Maturzystę i przedszkolaka łączy jedno: obaj wynaleźli „algorytm", serię następujących po sobie precyzyjnych wskazówek, prowadzących do rozwiązania problemu — jak brzmi jedna z licznych definicji najważniejszego ze wszystkich pojęć komputerowych. Przeważają jednak różnice.

Twórca kodu posługiwał się w swojej pracy trudnym, twórca „chorągiewki" prostym językiem komputerowym. Frank Kardel w ciągu dwóch miesięcy, których potrzebował na swój program, prawie wszystkie dni i niejedną noc spędził przy komputerze albo przy biurku, opracowując algorytmy. Jens Niegemann rzadko wytrzymuje przy ekranie dłużej niż pół godziny. Jego program „chorągiewka" bez trudu zmieściłby się na kartce pocztowej — gdyby Jens umiał już pisać. Natomiast na komputerowy wydruk kodu Kardela potrzeba 17 m papieru. (...)

Obaj programiści — ten czteroletni i ten dziewiętnastoletni, to przypadki skrajne, które mogą innym służyć do wyrabiania sobie poglądów — w dyskusji oświatowej na skalę całej RFN, toczącej się obecnie w mieszkaniach i w pokojach nauczycielskich, w gabinetach szefów krajowych ministerstw oświaty, w firmach produkujących komputery. W ciągu kilku miesięcy cały kraj zaczął się interesować tym, czy jest pożądane — a jeśli tak, to jak to osiągnąć — żeby nie tylko mniejszość, ale cała młodzież niemiecka nauczyła się obchodzić z komputerami — i to nie w domu, lecz w szkole, a przy tym zupełnie inaczej niż to wygląda w wypadku gier komputerowych. (...)

Trzy krótkie zdania, opracowane przez zespół roboczy Towarzystwa Informatycznego i ogłoszone na październikowym kongresie 600 nauczycieli na temat: „Informatyka — wyzwanie dla szkoły i oświaty", zawiera w sobie ogromny program: „Proponujemy, aby nauka informatyki była obowiązkowa dla wszystkich uczniów I stopnia szkoły średniej (klasy V—X). W centrum nauczania powinno znaleźć się rozumienie procesów prowadzących do rozwiązań, ich realizacja w programach i sposób działania komputera. Ten obowiązkowy przedmiot powinien być nauczany... w formie praktycznej, na szkolnych komputerach".

Gdyby zastosowano się do amerykańskiego profesora informatyki Seymoura Paperta, twórcy języka komputerowego „Logo" i autora najlepszej książki o komputerach i dzieciach („Burze mózgu — dzieci, komputery i nowa nauka"), to sprawy poszłyby jeszcze dalej i Jens Niegemann z Saarbruecken nie byłby wyjątkiem: komputery pojawiłyby się w przedszkolach, a już najpóźniej w szkołach podstawowych.

Jedna z podstawowych tez Paperta brzmi: programowanie komputera oznacza przede wszystkim nauczenie się języka, by można się było z nim porozumiewać. Każde normalne dziecko uczy się mówić, dlaczego więc nie miałoby się nauczyć „rozmawiać z komputerem?"

Do tej pory informatyka, choć już w 1972 r. wprowadzona jako przedmiot szkolny, znajduje się w programie nauki tylko mniej więcej w co drugim gimnazjum, i to tylko jako przedmiot do wyboru w dwóch najstarszych klasach gimnazjalnych. Inaczej sprawa wygląda w klasach V—X: uczniowie tych klas w gimnazjach stykają się z komputerami tylko w kółkach zainteresowań z okazji eksperymentów. W szkołach realnych i głównych takie kontakty są jeszcze rzadsze.

Teraz to wszystko ma się zmienić.

Mówi się o nowym „kryzysie oświaty", zmuszającym do szybkiego działania i o „analfabetach technicznych", którzy przeważają wśród niemieckich maturzystów. Obchodzeniu się z komputerem nadaje się nawet taką samą rangę, jak czytaniu, pisaniu i liczeniu: do tych trzech tradycyjnych „technik kulturalnych" ma dojść teraz nowa, czwarta. Mówią tak nie tylko reformatorzy, oderwani od szkoły i rzeczywistości. Są to pojęcia, którymi posługuje się np. minister oświaty Dolnej Saksonii Georg-Berndt Oschatz (CDU). Zgadza się on także z postulatem, aby każdy uczeń uzyskał podstawową wiedzę o komputerach i zdobył „technologiczne prawo jazdy". Minister ten postawił sobie za cel, aby w ciągu kilku lat wszystkie szkoły Dolnej Saksonii wyposażyć w komputery, a przynajmniej umożliwić im dostęp do komputera, znajdującego się w pobliżu. Dalszy cel polega na tym, aby w tym kraju federalnym nie tylko uczeń wyższych klas gimnazjalnych, lecz także każdy uczeń szkoły głównej i realnej miał w toku nauki okazję pracować przy komputerze.

Również inni ministrowie oświaty i senatorowie ds. szkolnictwa przyjęli ten nowy kurs i na żaden inny temat nie wypowiadają się tak często. Tak np. minister oświaty Nadrenii Północnej-Westfalii, Hans Schwier (SPD), nazywa „stawienie czoła technice" „najważniejszym wyzwaniem, jakie stoi dziś przed szkołą". „Umysłowe i emocjonalne" opanowanie techniki jest według Schwiera, „istotnym celem pracy szkolnej. Odnosi się to do wszystkich uczniów, a nie tylko do małego, wybranego kręgu".

Są jednak różnice. Schwier i inni ministrowie SPD-owcy częściej niż ich koledzy z CDU przestrzegają przed zbytnim przyspieszaniem tego procesu i stawianiem zbyt wygórowanych celów. Np. hamburski senator ds. szkolnictwa, Joist Grolle, wprawdzie „wyraźnie zachęca nauczycieli do tej przygody, jaką jest nowa technika kulturalna", ale jeszcze ważniejszy jest dlań „odpowiedni dystans intelektualny wobec totalitarnych roszczeń nowych maszyn myślących".

W jednym wszyscy ministrowie są zgodni: uczyć o komputerach trzeba nie tylko w ramach odrębnego przedmiotu nauczania (do wyboru), lecz elementy tej nauki powinny się znaleźć także w większości przedmiotów obowiązkowych i to nie tylko w dwóch ostatnich klasach gimnazjalnych, ale i w klasach niższych, i nie tylko w gimnazjach, ale i w szkołach głównych i realnych.

Komputery we wszystkich szkołach, wszyscy uczniowie przy komputerach, uwzględnianie tej tematyki w różnych przedmiotach nauczania — to ogromny program. Jeśli obecnie zapowiadane i przygotowywane plany zostaną urzeczywistnione choćby tylko w przybliżeniu, to zmieni to niemiecką szkołę bardziej, niż większość reform, dokonanych po wojnie. Stoimy zatem w obliczu rewolucji w nauczaniu. (...)

Szkoły i nauczyciele znajdują się wobec przymusu działania, który wywołał już reakcje ministrów oświaty i który niweluje różnice polityczne między krajami rządzonymi przez CDU i przez SPD. Jak twierdzi heski ekspert Rudolf Peschke z Instytutu Planowania w Wisbaden, „nacisk bazy jest wszędzie jednakowo silny".

Nacisk ten został wywołany przez falę komputerów, która zalała wszystkie domy towarowe i wiele mieszkań. W ciągu kilku miesięcy w miastach niemieckich powstało więcej sklepów z komputerami, niż w latach sześćdziesiątych — „Sex shopów", ukazuje się też już przeszło dwadzieścia popularnych czasopism, poświęconych technice komputerowej, kupowanych przeważnie przez młodzież.

Nigdy przedtem w swojej historii niemiecka szkoła nie była polem tak silnej konkurencji prywatnej i komercjalnej. Wielu z tych rzeczy, których szkoła chce w przyszłości uczyć, młodzież może się już dziś nauczyć gdzie indziej, chociaż często tylko „po łebkach": w domu, na uniwersytetach ludowych, w „szkołach komputerowych" i „ośrodkach oświatowych", które wyrastają jak grzyby po deszczu.

Nigdy przedtem — takiego zdania jest przede wszystkim wielu rodziców — szanse zawodowe uczniów nie zależały tak bardzo od specjalnej wiedzy i umiejętności. Umacnia ich w tej opinii argument, pojawiający się w wielu przemówieniach ministrów: w przyszłości zawody 70 proc. obywateli RFN będą związane z nowymi technikami.

To dzięki uczniom przedmiot „informatyka" w najwyższych klasach gimnazjalnych nabiera większego znaczenia, niż mu początkowo chcieli przyznać ministrowie oświaty. Zgodnie z literą ministerialnych zarządzeń, przedmiot ten nie ma tej samej rangi, co nauki przyrodnicze, nie mówiąc już o matematyce czy niemieckim. Podobnie jak muzyki czy sportu nie można go wybierać jako pierwszego lub drugiego przedmiotu maturalnego, lecz tylko jako trzeci lub czwarty. Jednak gimnazjaliści i uczniowie szkół zintegrowanych wykorzystują istniejącą w wielu szkołach swobodę wyboru i częściej decydują się na informatykę niż na fizykę, chemię czy trzeci język obcy. „Kiedy chodzi o komputery", zapewnia Helmut Mueck, kierownik szkoły zintegrowanej w Ehringshausen w Hesji, „uczniów nie trzeba namawiać".

Ta tendencja jeszcze się nawet nasila. W gimnazjum im. Helmholtza w Bonn i w gimnazjum w Soltau (Lueneburger Heide) dwie trzecie uczniów jednego rocznika zgłosiło się na kursy informatyki, a wiele innych szkół podaje podobne liczby. Nawet w gimnazjum im. Helmholtza nigdy przedtem nie było takiego naporu na te kursy, chociaż pierwszy komputer pojawił się tam już przed dwunastu laty, obecnie pracuje się tam na aparatach trzeciej generacji, a dyrektor Leo Klingen należy do renomowanych fachowców w tej dziedzinie.

Napływ chętnych trzeba ograniczać nie tylko dlatego, że brakuje komputerów, lecz także wykwalifikowanych nauczycieli. Z tego powodu przeciętnie w krajach federalnych na kursy informatyki przyjmuje się 10—15 proc. uczniów dwóch najstarszych klas gimnazjum. Najwyższy udział wśród wszystkich krajów zameldowała Badenia-Wirtembergia: 28 proc. Często przy tym pomagają rodzice, gdy szkołom brakuje pieniędzy, a nauczycielom zapału. W wielu szkołach rodzice zakładają „koła pomocy" albo pomagają spontanicznie.

W roku szkolnym 1984/1985 większość ministrów oświaty naciska pedał gazu. Np. w Hesji w 36 szkołach eksperymentalnych już w klasach V—X wprowadzono informatykę, jako przedmiot do wyboru. W Badenii-Wirtembergii zaś nowe programy nauczania zobowiązują nauczycieli wielu przedmiotów do korzystania na lekcjach z komputera, począwszy od klasy IX. Również w tym kraju rozpoczęto bezprecedensową akcję podnoszenia kwalifikacji: obecnie uczyć o komputerach może tam 4000 nauczycieli, za parę lat ma być ich 16 000.

Późną jesienią do szkół w całej Republice Federalnej zostanie rozesłana broszura, w której zespół autorów z kilońskiego instytutu IPN informuje nauczycieli i rodziców, ile kosztują komputery szkolne i jaki mają zakres działania. Informacja taka jest potrzebna, bo większość nie orientuje się na rynku, który szybko się rozrósł i toczy się na nim zacięta walka konkurencyjna. Zdominowany jest on przez firmy Commodore i Apple. Dostarczają one komputery do szkół ze znacznym rabatem. Pierwsze miejsce zajmuje firma Apple, która przyznaje rabat w wysokości 30 proc. Np. komputer „Apple II", który w sklepie kosztuje około 3 000 DM, szkoły otrzymują za około 2 000 DM. Ale i za najpopularniejszy komputer domowy, „C 64" firmy Commodore, szkoły nie muszą płacić tyle, co klienci w sklepach, gdzie komputer ten, wprowadzony na rynek na początku 1983 r. w cenie 1 400 DM, obecnie kosztuje już 700 DM.

W sumie trzeba jednak wydać mniej więcej trzy razy tyle, bo sam komputer nie wystarcza. Niezbędny jest co najmniej monitor oraz mechanizm do podawania dyskietek, na których są zmagazynowane programy — „software".

Prędzej czy później szkoły będą dysponować także innymi rodzajami „hardware". Pierwszą jaskółką jest importowany z USA robot „hero 1", który do celów nauczania symuluje pracę. Porusza się na zasadzie zdalnego kierowania albo po odpowiednim zaprogramowaniu, chwyta ramieniem przedmioty, dzięki sensorom potrafi również „widzieć" i „słyszeć", śpiewa piosenkę ludową „Old MacDonald had a farm" i przedstawia się w 50 zdaniach. Kosztuje brutto 10 000 DM i również z rabatem byłby za drogi dla niemieckich szkół; przypuszczalnie dopiero za kilka lat po komputerach wejdą do szkół również roboty.

Jeśli w handlu „hardware" wielkie firmy właściwie nie mają konkurencji, to na rynku „software" panuje o wiele bardziej skomplikowana sytuacja. Konkurencja sięga tu od IBM do poszczególnych uczniów wyższych klas gimnazjalnych. Sami producenci komputerów, zwłaszcza Commodore i Apple, częściowo samodzielnie, częściowo we współpracy z innymi firmami wypuścili dziesiątki programów. Wydawnictwa podręczników szkolnych, jak Westermann i Klett, widzą tu szansę poprawienia obrotów, które znacznie zmalały w związku ze spadkiem liczby uczniów.

Próbują szczęścia także nowe firmy. Np. Szwajcar Felix Iringer założył przed półtora rokiem firmę Intus, inwestując 300 000 franków, i obecnie oferuje 150 programów, które w większości sprowadził z USA, a jego współpracownicy przystosowali je do warunków niemieckich. Za kurs „Podstawy matematyki dla wszystkich" z 16 dyskietkami żąda 1856 DM. Trick reklamowy Iringera: jeśli jakaś szkoła kupi u niego programy za sumę większą niż 8888 DM, daje jej w prezencie komputer „Apple II".

Intus chce dostarczać programy przede wszystkim do użytku domowego uczniów, potrzebujących pomocy w nauce, „już choćby dlatego, że rodzice mają więcej pieniędzy niż szkoły", jak mówi właściciel firmy. Również wydawnictwo Westermanna produkuje raczej „dla uczniów szkół podstawowych, niż dla tych szkół" (szef działu „software", Rejner Steen). W ostatnich tygodniach wydawnictwo rzuciło na rynek po 10 000 modułów do czterech działań podstawowych i do ortografii, w cenie 69 DM. Klett natomiast produkuje „software" z myślą o nauce w szkole. Jedne z pierwszych jego programów to „Przemiana energii i materii" do nauczania biologii i „kinetyka reakcji" do nauczania chemii.

Bez względu na rodzaj odbiorców, powinien istnieć element zabawy. U Westermanna, kiedy się zrobi błąd, na ekranie monitora ryczy lew; jeśli odpowiedzi są dobre, lew gra na puzonie albo fika koziołki. W programach innych wydawnictw skaczą kangury, mrucza niedźwiedzie albo roboty robią oko.

Niektórzy nauczyciele sprzedają własne programy, przygotowywane do pracy, jedni firmom, inni na własną rękę, biorą od 10 do 800 DM za program. Do producentów „software" należy też gimnazjum im. Herdera w Minden, które sprzedaje programy po cenach od 20 do 300 DM. Wielu uczniów — detalicznych sprzedawców „software", załatwia swoją korespondencję handlową za pomocą szkolnego długopisu, a wpływy poleca przekazywać na konto ojca. Inni pozakładali własne firmy. Kiedy autor telewizyjny z Hamburga, Reinhard Kahl, umówił się z dwoma szefami firmy handlującej „software", nie miał pojęcia, że się spotka z dwoma trzynastoletnimi uczniami.

Handel programami utrudniany jest przez fakt, że każdy komputer potrzebuje własnego „software" i programy na ogół nie są „przystające". Ponadto istnieją różne języki komputerowe, a w najwcześniej używanych językach są nawet różne „dialekty".

Nie powiodły się próby wynalezienia jednego najdogodniejszego języka do użytku szkolnego. Najbardziej rozpowszechniony jest łatwy do nauczenia się „Basic", wielu nauczycieli woli bardziej skomplikowany „Pascal". Na trzecim miejscu, jeśli chodzi o rozpowszechnianie w szkołach, znajduje się „Logo" — wprawdzie daleko za „Basic" i „Pascalem", ale także daleko przed wszystkimi innymi językami komputerowymi.

Niektóre firmy starają się za pomocą grubych pakietów „software" i książek wykorzystać obecne tendencje w dziedzinie komputerów i pozyskać przede wszystkim rodziców uczniów szkół podstawowych dla „Logo". Język ten został wynaleziony przez informatyka Seymoura Paperta i innych uczonych z Massachusetts Institute of Technology. Swoją popularność na całym świecie zawdzięcza żółwiowi, który porusza się stosownie do rozkazów podawanych w „Logo", albo jako metalowy zwierzak na kółkach i pod plastykowym kloszem, albo w postaci trójkąta na ekranie komputera. Inaczej niż w USA, metalowy żółw jest w RFN prawie nieznany, tu zaczyna się naukę „Logo" od razu na ekranie. Trójkąt, który amerykańskie dzieci wyobrażają sobie jako żółwia, dzieci niemieckie nazywają „jeżem".

Na rozkaz „naprzód 2" fantastyczny zwierzak robi mały krok, na rozkaz „naprzód 100" — duży. Jeśli wystukać „na prawo 90", obraca się o 90° w prawo. Po rozkazie „powtórz 4 (naprzód 50) na prawo 90" porusza się po kwadracie. „Opuść pisak" oznacza, że na ekran opuszcza się wyimaginowany ołówek i od następnego ruchu zwierzę zostawia za sobą ślad; w ten sposób powstają kwadraty, koła, domy i postacie.

Dzieci mogą wymyślać nowe rozkazy i w ten sposób uczą się programowania, wcale o tym nie wiedząc. Jak mówi Papert: „Programowanie oznacza dla dzieci nauczanie żółwia nowego słowa". Wynalazca „Logo" opowiada się za tym, by „osobisty", mniej wyobcowany stosunek do wiedzy, jaką jeszcze mają dzieci, możliwie jak najwcześniej wykorzystać do przyswojenia im umiejętności obchodzenia się z komputerem. Swoim odczytom i swojej książce dodawał smaku, przytaczając zadanie, które może wywołać podobne rodzinne dyskusje, jak słynne pytanie Kurta Tucholsky'ego skąd się biorą dziury w serze. Zadanie brzmi:

Na dwóch końcach liny przechodzącej przez wielokrążek uwiązane są kamienie i małpa. Małpa i kamień mają jednakową wagę i wzajemnie utrzymują się w równowadze. Małpa zaczyna się wspinać po linie. Co się stanie z kamieniem?

Według Paperta, większość studentów w Massachusetts, którym dał to zadanie do rozwiązania, udzielała błędnych odpowiedzi, ponieważ szukali w pamięci prawa, które by tu dało się zastosować, zamiast podejść do problemu od strony logicznej. Tymczasem większość dzieci spontanicznie znalazła poprawną odpowiedź.

„Logo" uważa się często mylnie za język komputerowy dobry tylko dla dzieci. Tymczasem jest się go tylko łatwiej nauczyć niż „Basic"; poza tym jest to język wysoko rozwinięty, używany na amerykańskich wyższych uczelniach nawet przy rozwiązywaniu trudnych zadań.

W szkołach Republiki Federalnej „Logo" ma jednak chyba niewielkie szanse na zajęcie miejsca obok „Basic" i „Pascala" i to i tak tylko w szkołach średnich. Albowiem w szkołach podstawowych, zgodnie z jednomyślną opinią wszystkich ministrów oświatowych, o komputerach ma się mówić, ale dzieci nie mają się przy nich uczyć. Jedni ministrowie są temu przeciwni z zasady, inni mają zastrzeżenia o charakterze strategicznym: obawiają się oporu rodziców, nawet wówczas, gdy nauka o komputerach była wprowadzana małymi krokami i pod nadzorem naukowym zespołu profesorskiego.

Faktycznie, jak to wykazały pierwsze doświadczenia, stosunek rodziców do komputerów w bardzo dużej mierze zależy od wieku ich dzieci. Jeśli są w wieku szkoły podstawowej, to rodzice odnoszą się do nauki przy komputerach z dużym sceptycyzmem, jeśli chodzi jeszcze do przedszkola, to prawie zawsze dominuje niechęć.

Co prawda, zdaniem pedagogów, z naukowego punktu widzenia „nie ma powodu, żeby wprowadzać jakąś dolną granicę wieku" (profesor dydaktyki z Oldenburga, Peter Gorny). Eksperyment z „Logo" w szkole im. Kaestnera w Ostfildern-Nellingen, którym kieruje profesor dydaktyki Herbert Loethe z Esslingen, przyniósł, jak dotąd, pozytywne wyniki. Jak mówi prof. Loethe, „już dziewięcio- i dziesięciolatki bardzo szybko dochodzą do takiego stopnia abstrakcji, który wykracza ponad zwykły poziom nauki matematyki w tej grupie wieku". Mimo to także Loethe nie jest zwolennikiem lekcji przy komputerze w szkołach podstawowych, m.in. dlatego, że brakuje wykwalifikowanych nauczycieli, dopracowanych koncepcji nauczania oraz doświadczeń. Ponadto, jak stwierdza np. min. Oschatz, nierzadko zdarza się, że nauczyciele boją się komputera. Niepokoją się, że maszyna może zastąpić człowieka; ta obawa jest nieuzasadniona, ale oprócz tego istnieje, zdaniem m.in. profesora informatyki Volkera Clausa z Dortmundu, całkiem prosty (i trywialny) powód: wielu nauczycieli jest bardziej bezradnych wobec komputera niż uczniowie. Wydaje się więc, że w pewnej, stanowiącej mniejszość, grupie nauczycieli, rośnie z rozmaitych względów opór przed wprowadzeniem komputerów do wszystkich szkół i do różnych przedmiotów.

Spory o komputer w szkole zaostrzą się zwłaszcza wówczas, gdy zostaną zrealizowane plany ministrów oświaty i nauki o komputerach i za ich pomocą komputer przestanie być sprawą grupy entuzjastów, a stanie się dla wielu nauczycieli obowiązkiem.

(14)

„W imieniu Boga" – tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Istniała też frakcja sympatyzująca z kardynałem Giovannim Benellim, ale nie brakowało też ludzi, którzy życzyli mu piekła. Papież Paweł VI mianował Benellego swoim podsekretarzem stanu, a więc drugim człowiekiem po kardynale Villocie. Pełniąc tę funkcję szybko stał się on silnym ramieniem papieża, zapewniającym realizację deklarowanej polityki. Paweł przeniósł potem Benellego do Florencji. Była to nominacja stanowiąca jednocześnie przedsięwzięcie ochronne. Protektor i obrońca Benellego był teraz martwy, ale jego przeciwnicy nie podejmowali jeszcze działań. Lucianiego wybrano przecież papieżem przy skutecznej pomocy Benellego i jego przyjaciół.

Były w Kurii frakcje, które skupiły się wokół zwolenników i przeciwników kardynałów Baggio, Feliciego i Bertoliego, były ugrupowania, z których jedne opowiadały się za większą, a inne za mniejszą władzą centralną i kontrolną.

Przez całe swoje życie Albino Luciani wykręcał się od wizyt w Watykanie. Swoje kontakty z Kurią Rzymską ograniczył do minimum. Niezamierzonym skutkiem takiego postępowania było to, że przed swoim wyborem na papieża miał prawdopodobnie mniej wrogów w Kurii, niż każdy inny kardynał. Zmieniło się to szybko i zasadniczo. Luciani był papieżem, który widział w Kurii „tylko wykonawczy" organ Kościoła, był przekonany o konieczności większego współdecydowania biskupów z całego świata w rozstrzygnięciach kościelnych i chciał rozluźnić oraz zdecentralizować istniejące struktury hierarchiczne. Odmawiając uroczystej koronacji obraził tradycjonalistów. Inną decyzją, która nie mogła przynieść Janowi Pawłowi I spontanicznej sympatii Kurii, było rozporządzenie w sprawie zredukowania o połowę dodatkowej pensji miesięcznej, płatnej normalnie automatycznie przy wyborze nowego papieża.

Z pewnością wśród 3.000 członków Kurii było wielu takich, którzy lubili nowego papieża i lojalnie służyliby mu; na tym świecie często dzieje się jednak tak, że zwyciężają siły negatywne.

Ledwie tylko opublikowano wyniki wyborów papieża, Kuria — względnie określone, działające w niej grupy — przystąpiła do akcji. W ciągu kilku godzin w kioskach znalazło się specjalne wydanie „Osservatore Romano", zawierające wyczerpującą biografię nowego papieża. Również Radio Watykan bardzo szybko opublikowało portret Albino Lucianiego.

Kto szuka poglądowego przykładu na to jak można wpłynąć na przedstawiony światowej opinii publicznej wizerunek nieznanej do tej pory głowy państwa, nie znajduje nic lepszego, jak portret Albino Lucianiego zaprezentowany przez „Osservatore Romano". (...) Pod naciskiem czasu wielu dziennikarzy odpisało z tego źródła „oficjalne dane" o nowym papieżu. Był to portret nie istniejącego realnie człowieka. Tak więc, na przykład, w piśmie „Economist", by wymienić tylko jeden z setek możliwych przykładów, na temat Jana Pawła I można było przeczytać: „Nie czułby się on zbyt dobrze w towarzystwie dra Hansa Kuenga". Gdyby dociekano tego samodzielnie, wówczas odkryto by, że Luciani i Hans Kueng wymieniali bardzo przyjazne listy i przesyłali sobie nawzajem książki. Można byłoby także stwierdzić, że w swoich kazaniach Luciani więcej niż jeden raz cytował Kuenga, chwaląc go lub wyrażając dla niego aprobatę. Praktycznie wszystkie dzienniki i czasopisma na świecie, które zajmowały się nowym papieżem, używały podobnych całkowicie wprowadzających w błąd stwierdzeń.

Przy lekturze specjalnego wydania „Osservatore Romano" rodzi się wrażenie, że chodzi tu o nowego papieża, który był jeszcze bardziej konserwatywny, niż Paweł VI. Fałszerstwa i zniekształcenia dotyczyły poglądów Lucianiego na wiele spraw, w tym także na jedną, która w kontekście życia i śmierci Albino Lucianiego odgrywa szczególnie ważną rolę: sprawę regulacji urodzeń. (...)

Kiedy Kuria raz zacznie działać, wówczas okazuje się niepokojąco dobrze działającym aparatem. W obliczu tempa i efektywności jej działania inni biurokraci zbledliby z zazdrości. Wysłannicy Kurii pojawili się w Uniwersytecie Gregoriańskim i zebrali wszystkie pisemne świadectwa o studiach Lucianiego. Inni wysłannicy Kurii zjawili się w Wenecji, Vittorio Veneto i Belluno. Kuria przystąpiła do akcji wszędzie tam, gdzie działał Luciani. Skonfiskowano i przekazano do tajnego archiwum watykańskiego wszystkie egzemplarze pisma, w którym wyraził on swoje stanowisko wobec regulacji urodzeń, to samo spotkało jego pracę doktorską o Rosminim oraz sporą liczbę innych prac. Można powiedzieć, że stylizowanie Albino Lucianiego na papieża odpowiadającego smakowi Kurii rozpoczęło się już w dniu jego wyboru. Można to wyrazić jeszcze inaczej: w tym dniu rozpoczął się proces zniekształcania wizerunku Albino Lucianiego.

Tym co wywołało największe przerażenie określonych grup wewnątrz Kurii była świadomość, że kardynałowie nawarzyli im piwa wybierając papieża, który nie pozostałby przy „Humanae Vitae" jako ostatnim słowie Kościoła w sprawie regulacji urodzeń. Przestudiowanie tego, co Luciani rzeczywiście powiedział na ten temat nie tylko w swoich kazaniach publicznych, lecz także w rozmowach z przyjaciółmi i kolegami, bardzo szybko wyjaśniło, że nowy papież był zwolennikiem sztucznej regulacji urodzeń. Fałszywy wizerunek, jaki naszkicował „Osservatore Romano", był posunięciem otwierającym kontratak, mający na celu zmuszenie Albino Lucianiego do włożenia gorsetu lojalności wobec decyzji podjętej przez jego poprzednika. Kolejny cios nastąpił wkrótce.

Agencja UPI doszukała się, że Luciani opowiadał się za tolerowaniem określonych możliwości sztucznego zapobiegania ciąży. W prasie włoskiej pojawiły się informacje mówiące o stanowisku zajętym przez Lucianiego, które kardynał Urbani z Wenecji przekazał papieżowi Pawłowi VI i w którym zalecano zaaprobowanie przez Kościół pigułki antykoncepcyjnej. Kuria pospieszyła się i zaprezentowała jako świadka ojca Henriego de Riedmattena, który był sekretarzem papieskiej komisji ds. kontroli urodzeń. Określił on jako „fantazje" informacje, zgodnie z którymi Luciani wypowiedział się przeciwko kategorycznemu potępieniu sztucznej kontroli urodzeń. Stwierdził dalej, że Luciani nigdy nie był członkiem komisji — w czym bez wątpienia miał rację. Wreszcie zaprzeczył, by Luciani napisał kiedykolwiek list lub raport na ten temat, który wysłano by potem do papieża Pawła VI.

Sposób sformułowania dementi jest dobrym przykładem nieuczciwości, która w Kurii jest powszechna. Stanowisko sformułowane przez Lucianiego zostało przekazane do Rzymu przez kardynała Urbaniego i nosiło jego podpis. W czysto technicznym sensie słuszne było więc twierdzenie, że nie istnieje żaden dokument tego rodzaju, noszący podpis Lucianiego. Faktem było jednak, że Luciani sporządził taki dokument z polecenia i w imieniu swoich kolegów biskupów z regionu Wenecji i że Urbani dostarczył go papieżowi. Zaprzeczanie temu było umyślnym kłamstwem.

Już w ciągu pierwszych trzech tygodni swego pontyfikatu Albino Luciani podjął pierwsze istotne kroki w kierunku doprowadzenia do nowej orientacji Kościoła rzymskokatolickiego w sprawie sztucznej regulacji urodzeń. Podczas gdy realizowano te kroki, w świadomości światowej opinii publicznej utrwalał się całkowicie fałszywy obraz poglądów Albino Lucianiego, wspierany w niemałym stopniu także przez „Osservatore Romano", Radio Watykan i określonych członków Kurii w poufnych rozmowach kuluarowych z dziennikarzami.

W ciągu swojego krótkiego pontyfikatu Luciani powoływał się na sporą liczbę oświadczeń swojego poprzednika i cytował je. Charakterystyczne jest jednak to, że ani słowem nie wspomniał encykliki „Humanae Vitae". Po raz pierwszy — ku swemu przerażeniu — zwolennicy tej encykliki zrozumieli, że nowy papież może w tej sprawie przekreślić ich rachuby, kiedy dowiedzieli się, że Luciani wykreślił z przygotowanego przez sekretariat stanu projektu pierwszego wystąpienia wszystkie co do jednego fragmenty, w których wspomniano „Humanae Vitae" oczywiście w tonie najwyższych pochwał. Potem przeciwnicy zapobiegania ciąży z Watykanu odkryli, że w maju 1978 r. Albino Luciani odrzucił zaproszenie do wygłoszenia przemówienia na kongresie międzynarodowym, zaplanowanym miesiąc później w Mediolanie. Okazją do tego kongresu i jego głównym zadaniem było uczczenie 10 rocznicy ogłoszenia encykliki „Humanae Vitae". Luciani zrezygnował nie tylko z wystąpienia jako mówca na tym kongresie, lecz także z udziału w nim.

Podczas gdy prasa światowa w dobrej wierze powtarzała kłamstwa „Osservatore Romano", Albino Luciani dyskutował w apartamentach papieskich ze swoim sekretarzem stanu, kardynałem Villotem. „Cieszę się z tego", powiedział, że „będę mógł rozmawiać na ten temat z delegacją amerykańską. Według mnie nie możemy pozostawić tego w obecnym stanie".

„Tematem" była eksplozja demograficzna na ziemi. „Stanem" było oficjalne stanowisko Kościoła, wyrażone w encyklice „Humanae Vitae". W czasie rozmów Villot dowiedział się od Jana Pawła I o poglądach, które wielu innych, wśród nich jego sekretarz osobisty, ojciec Diego Lorenzi, słyszało z jego ust wiele razy. Ojciec Lorenzi jest tylko jednym z wielu, którzy w autentycznym brzmieniu mogli powtórzyć wypowiedzi Lucianiego na ten temat:

„Wiem o procesie zapłodnienia u kobiety, wiem, że ta faza płodności trwa od 24 do 36 godzin. Jeżeli nawet przyjąć, że okres życia plemników męskich wynosi 48 godzin, to okres, w którym możliwe jest zapłodnienie, wynosi mniej niż cztery dni. Przy regularnym miesiączkowaniu oznacza to: cztery dni płodności i 24 dni bezpłodności. Jak koniec końców może być grzechem czynienie 28 dni z 24 dni ?".

Okazji do tej naprawdę historycznej rozmowy dostarczyło sondujące pytanie ambasady amerykańskiej w Rzymie pod adresem Watykanu. Ambasada działała ze swej strony na polecenie ministerstwa spraw zagranicznych w Waszyngtonie i deputowanego do Kongresu amerykańskiego, Jamesa Scheuera. Scheuer był w tym czasie przewodniczącym mieszanej komisji Kongresu d.s. ludnościowych i zastępcą przewodniczącego funduszu ONZ przeznaczonego na badania demograficzne. Informacja o stanowisku wobec regulacji urodzeń, jaką Luciani przekazał papieżowi Pawłowi VI, skłoniła Scheuera i jego kolegów z komisji do zajęcia się tą sprawą — być może zarysowała się możliwość, że Kościół zrewiduje swój pogląd na tę sprawę? Scheuer nie uważał wprawdzie za prawdopodobne, by on i jego koledzy tak szybko po rozpoczęciu pontyfikatu przez nowego papieża uzyskali u niego audiencję, ale uważał mimo to za sensowne, by Departament Stanu i ambasada USA w Rzymie na próbę zwróciły się w tej sprawie do Watykanu. Odpowiedź miała być dla Scheuera pocieszająca.

Podobnie jak wielu innych ludzi z najbliższego otoczenia Stolicy Apostolskiej, również Villot miał poważne trudności z dostosowaniem się do nowego papieża. Mianowany swego czasu przez Pawła VI wytworzył z biegiem czasu pełen zaufania stosunek do poprzednika Lucianiego i nauczył się podziwiać jego styl rządzenia. Teraz jednak miejsce zrezygnowanego, 81-letniego kunktatora zajął pełen optymizmu człowiek czynu, który mając 65 lat był jak na stosunki watykańskie jeszcze prawie młodzieńcem.

Od samego początku stosunek między Lucianim a jego sekretarzem stanu był niewyraźny. Villot wydawał się nowemu papieżowi zimnym, zachowującym dystans człowiekiem. W każdej chwili był gotów pouczać, jak Paweł VI uporał się z tym lub innym problemem i co powiedział na ten lub inny temat. Paweł VI nie żył, ale widać było wyraźnie, że Villot i pokaźna grupa wewnątrz Kurii nie chcieli dopuścić tej myśli.

Przemówienie wygłoszone przez nowego papieża w 24 godziny po konklawe zawierało w dużym stopniu tylko stwierdzenia ogólne. Jego konkretne plany zaczęły zarysowywać się dokładniej dopiero w pierwszych dniach września. Okres ten był przesycony pełnym zapału duchem pierwszych 100 dni Jana XXIII.

Jana wybrano papieżem 28 października 1958 r. W czasie pierwszych 100 dni swego pontyfikatu podjął wiele radykalnych decyzji personalno-politycznych, mianując na przykład kardynała Domenico Tardiniego sekretarzem stanu (było to stanowisko nie obsadzone od 1944 r.). Ważniejsza jednak od wszystkich innych była decyzja zwołania Drugiego Soboru Watykańskiego. Decyzję tę podano do wiadomości publicznej 25 stycznia 1959 r., 89 dni po jego wyborze.

Albino Luciani, który siedział teraz na tronie rybaka z Jeziora Genezaret, postanowił pójść za stworzonym przez Jana XXIII przykładem rewolucyjnego, 100-dniowego początku pontyfikatu. Na samym początku jego listy pilnych reform i zmian znajdowały się konieczność radykalnego zrewidowania stosunku Watykanu do kapitalizmu i życzenie złagodzenia bardzo realnych, masowych cierpień, które poznał osobiście i które zupełnie bezpośrednio zakorzenione były w encyklice „Humanae Vitae".

Według informacji kardynałów Benellego, Feliciego i innych świadków watykańskich, wyniosły kardynał Villot z niechęcią przysłuchiwał się wyjaśnieniom nowego papieża na temat problemów spowodowanych przez „Humanae Vitae". Aluzje, jakie w rozmowach ze mną poczynił Felici, nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że w tych sprawach był on całkowicie zgodny z Villotem.

Przed kilku zaledwie miesiącami, z okazji dziesięciolecia ogłoszenia encykliki, Villot wychwalał ją pod niebiosa. W liście do arcybiskupa San Francisco, Johna Quinna, Villot podkreślił sprzeciw papieża Pawła VI wobec sztucznego zapobiegania ciąży; podkreślił jak aspekt ten ważny jest według Pawła VI dla nauki katolickiej i jak zdecydowanie wierzył on w jego „zgodność z prawami boskimi".

Do tego doszło jeszcze wiele innych, podobnych argumentów. Teraz, niecałe dwa miesiące później, usłyszał, że następca Pawła VI zamierza odejść od „Humanae Vitae". Kawa wystygła już w filiżankach, kiedy Luciani podniósł się od swego biurka, w charakterystyczny dla siebie, spokojny sposób mówił o skutkach, jakie encyklika wywołała w ciągu minionego dziesięciolecia.

Ogłoszona w zamiarze umocnienia autorytetu papieża, ale jednocześnie kategorycznie odrzucająca możliwość odwrotu od tradycyjnego stanowiska katolickiego w sprawach zapobiegania ciąży, encyklika „Humanae Vitae" wywołała wręcz odwrotny skutek. Są na to dowody nie do obalenia. W Belgii, Holandii, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i wielu innych krajach nie tylko ostro krytykowano encyklikę, lecz wystąpiło tam także mające znaczne rozmiary praktyczne nieposłuszeństwo. Wśród wiernych szybko ukształtował się zwyczaj poszukiwania po prostu bardziej wielkodusznego kapłana, jeżeli jakiś duchowny okazywał się podczas spowiedzi niewyrozumiały. Luciani przytoczył kilka znanych mu osobiście z regionu Wenecji przykładów tej rozdwojonej praktyki (..).

Kiedy Villot zwrócił uwagę, że papież Paweł VI podkreślił zalety naturalnych metod zapobiegania ciąży, Luciani zatrzymał się w swojej wędrówce po pokoju i uśmiechnął się do sekretarza stanu. Nie był to jednak ten promienny uśmiech, znany opinii publicznej, lecz raczej uśmiech melancholijny.

„Eminencjo, cóż, my starzy, żyjący w celibacie, wiemy o seksualnych żądzach żonatych?"

Rozmowa ta, pierwsza z wielu, jakie papież przeprowadził ze swoim sekretarzem stanu na ten temat, odbyła się 19 września 1978 r. w papieskim gabinecie do pracy w Pałacu Apostolskim. Trwała niespełna trzy kwadranse. Kiedy się skończyła i Villot szykował się do wyjścia, Luciani odprowadził go do drzwi i powiedział:

„Eminencjo — dyskutowaliśmy trzy kwadranse o zapobieganiu ciąży. Jeżeli dane, które mi dostarczono i różne statystyki są prawdziwe, to w czasie naszej rozmowy na skutek niedożywienia zmarło ponad 1000 dzieci w wieku poniżej 5 lat. W ciągu następnych trzech kwadransów, kiedy my będziemy cieszyli się z naszego następnego posiłku, znowu 1000 dzieci umrze z niedożywienia. Jutro o tej porze 30000 dzieci, które w tym momencie jeszcze żyją, będzie martwych — umrą z niedożywienia. Nie zawsze Pan troszczy się o to, by niczego nam nie brakowało".

Watykańskiemu sekretarzowi stanu najwyraźniej nie przyszła na myśl żadna celna odpowiedź.

Zarówno ze strony Watykanu, jak i Departamentu Stanu starannie trzymano w tajemnicy rozmowy na temat możliwej audiencji dla amerykańskiej delegacji parlamentarnej w celu przedyskutowania problemu przeludnienia. Gdyby opinia publiczna dowiedziała się o takim spotkaniu, odbytym w dodatku tak szybko po wyborze Lucianiego, zinterpretowano by je słusznie jako bardzo doniosły sygnał.

W oczach światowej opinii publicznej spotkanie to miałoby jeszcze większe znaczenie, gdyby dowiedziano się, z jakich przyczyn papież Jan Paweł I nie zamierzał wziąć udziału w konferencji w Puebli w Meksyku. Była to impreza stanowiąca kontynuację bardzo istotnej konferencji, jaka w 1968 r. odbyła się w kolumbijskim mieście Medellin.

W Medellin kardynałowie i biskupi z Ameryki Łacińskiej podjęli uchwały, które natchnęły nowym życiem Kościół rzymskokatolicki na kontynencie południowoamerykańskim. W uchwalonym przez nich „Manifeście z Medellin" czytamy na przykład, że głównym zadaniem Kościoła w przyszłości powinno być poświęcenie się ubogim, opuszczonym i głodującym. Był to rewolucyjny przełom dla Kościoła, który do tej pory identyfikował się z bogatymi i potężnymi. „Teologia wyzwolenia", która wzięła swój początek na konferencji w Medellin, dała różnym juntom i reżimom dyktatorskim Ameryki Łacińskiej wyraźnie do zrozumienia, że Kościół postanowił walczyć przeciw wyzyskowi gospodarczemu i niesprawiedliwości społecznej. Była to rzeczywiście zapowiedź walki przeciw istniejącym stosunkom. Na opór przeciw tej postępowej filozofii nie trzeba było oczywiście długo czekać. Zaznaczył się on nie tylko ze strony różnych represyjnych reżimów, lecz także elementów reakcyjnych wewnątrz Kościoła. W dziesięć lat po Medellin konferencja w Puebli najprawdopodobniej przyniosłaby jeszcze bardziej istotne decyzje. Czy Kościół poszedłby dalej wyznaczoną drogą, czy też nastąpiłby odwrót do starych, moralnie niemożliwych do wytrzymania pozycji? Odrzucenie przez papieża zaprosin do udziału w tej konferencji podkreśla duże znaczenie, jakie przywiązywał do spotkania z delegacją Kongresu. Z pewnością był on jednak całkowicie świadomy możliwej doniosłości tego, co mogłaby przynieść konferencja w Puebli.

Kardynałowie Baggio i Lorscheider, centralne postacie na planowanej konferencji w Meksyku, poruszyli ten temat z papieżem jeszcze podczas konklawe, bezpośrednio po jego wyborze. Konferencja ta nie doszła już raz do skutku z powodu zgonu papieża Pawła VI. Obaj kardynałowie chcieli teraz dowiedzieć się od nowego papieża, czy jest gotów ustalić nowy termin konferencji w Puebli.

W niecałą godzinę po swoim wyborze na papieża Albino Luciani prowadził intensywną dyskusję na temat problemu, który miał być przedmiotem debat w Puebli. W końcu wypowiedział się za tym, by konferencja odbyła się i uzgodnił z kardynałami jej termin, 12—28 października. W czasie dyskusji zadziwił Baggio i Lorscheidera dokładną znajomością problemów, o których rozwiązanie miano walczyć w Puebli. Jeżeli chodzi o jego własny udział w tej konferencji, to uważał, że lepiej będzie nie eksponować się publicznie już na samym początku pontyfikatu. Kiedy Villot zwrócił mu uwagę, że Scheuer i jego koledzy z komisji poprosili o audiencję 24 października, oświadczył Baggio i Lorscheiderowi, że nie uda się do Puebli. Villotowi polecił potwierdzić Amerykanom termin audiencji. Albino Luciani ostatecznie doszedł do przekonania, że jego miejsce jest przede wszystkim w Watykanie. Istniały bardzo istotne powody do podjęcia przez niego decyzji pozostania w Rzymie W ciągu pierwszych dwóch tygodni swego pontyfikatu Jan Paweł I zrozumiał, że jego najpilniejszym zadaniem było zaprowadzenie porządku we własnym domu. Zajmowały go szczególnie problem Banku Watykańskiego i „filozofia działania" tej instytucji.

Nowy papież działał z szybkością, którą boleśnie odczuwałby jego poprzednik, przynajmniej w ostatnich latach swego pontyfikatu. Nie uważał jednak przy tym wcale, że przed upływem pierwszych 100 dni swego pontyfikatu musi zmienić wszystko w całym Watykanie, ale powziął jednoznaczny zamiar przestawienia w tym czasie w nowym kierunku przynajmniej kilku zwrotnic, zwłaszcza jeśli chodziło o Watykan Sp z o.o.

Już w pierwszym tygodniu po swoim wyborze tym, którzy potrafili zrozumieć znaczenie sygnałów, Jan Paweł I dał przedsmak tego, czego należało się spodziewać. Zaakceptował życzenie kardynała Villota i zwolnił go z jednej z jego licznych funkcji, przewodniczącego Cor Unum. Stanowisko to objął kardynał Bernard Gantin. Cor Unum jest jedną z najważniejszych żył, którą pieniądze zbierane na całym świecie przepływają do najbiedniejszych krajów.

Cor Unum zajmowało ważne miejsce w koncepcji Albino Lucianiego, zgodnie z którą Kościół w swojej działalności finansowej, jak i pod każdym innym względem, powinien kierować się nakazami Ewangelii. W sposób łagodny, co jednak nie zmienia absolutnie znaczenia samego faktu. Villot został zastąpiony Gantinem, człowiekiem o wielkiej głębi duchowej i ujmującej szczerości.

W watykańskiej wspólnocie zaściankowej wrzało od spekulacji. Niektórzy profilaktycznie głosili, że nigdy nie mieli nic wspólnego z Sindoną lub Calvim, czy też jakimikolwiek innymi członkami mafii mediolańskiej, którzy w czasie pontyfikatu papieża Pawła VI przeniknęli do Watykanu. Inni zaczęli realizować indywidualną strategię, mającą im zapewnić przeżycie i zaczęli dostarczać poufnych informacji otoczeniu nowego papieża.

Kilka dni po nominacji Gantina Jan Paweł I znalazł na swoim biurku egzemplarz pisma okólnego włoskiego urzędu nadzoru nad operacjami dewizowymi, UIC. Chodziło w nim bez wątpienia o bezpośrednią reakcję na krytyczne pytania, jakie swego czasu magazyn IL MONDO skierował pod adresem papieża Pawła VI i zawarty w nich pośredni zarzut jaskrawej sprzeczności między oficjalnym przyznawaniem się Kościoła do ubóstwa, a jego rzeczywistym postępowaniem w sprawach finansowych.

Podpisane przez włoskiego ministra handlu zagranicznego, Rinaldo Ossoli, pismo okólne skierowano do wszystkich banków włoskich. Przypominało ono, że IOR, a więc Bank Watykański, „pod każdym względem nie jest krajową instytucją bankową". Tak więc w kontaktach z nim włoskie instytuty kredytowe obowiązywały dokładnie takie same reguły, jak w stosunkach ze wszystkimi innymi bankami zagranicznymi.

C.D.N.

■

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

W kręgu fantastyki

Ostatnie dni września były wyjątkowo chłodne i deszczowe. Plaże i pola namiotowe, cieszące się o tej porze roku jeszcze sporym powodzeniem, zupełnie już opustoszały. Pozamykano prawie wszystkie letnie kafejki, drewniane budki z napojami i pamiątkami, a nawet — niektóre hotele i pensjonaty. Wielu wczasowiczów skróciło swe i tak krótkie urlopy, zaś ci, którzy pozostali, snuli się niewielkimi grupkami po opustoszałych uliczkach i parkowych alejach, z desperacją szukając jakiejś rozrywki, ale i oni — zziębnięci, przemoczeni i znudzeni — z wolna szykowali się do wyjazdu. Nikt nie miał złudzeń, że tegoroczny sezon urlopowy wcześniej niż zwykle, lecz nieodwołalnie dobiegał właśnie końca, a słynny, malowniczo położony kurort, wciśnięty między morze a wyrastające niemalże prosto z niego góry, zaczął przygotowywać się do długiego zimowego snu. Najpóźniej za kilka dni, pomyślał Robert, pozostaną tu już tylko sklepikarze i kelnerzy, mogąc wreszcie ze spokojem zabrać się do liczenia forsy wyciągniętej podstępnie z kieszeni krajowych i zagranicznych turystów. I tak musieli się tego lata nieźle obłowić — próbował wyobrazić sobie ich zadowolone, lisie twarze. Do końca maja mogą już teraz leżeć do góry brzuchem i nic nie robić, podczas gdy inni będą ciężko pracować. Zdziercy, złodzieje, oszuści...

Z powodu nieoczekiwanego pogorszenia się pogody coraz mniejszy ruch panował też na jedynej, łączącej nadmorskie kąpielisko z centrum kraju, drodze. Znana z niezliczonej ilości zakrętów oraz wspaniałych widoków, nie przypominała teraz w niczym tego, co pisano na jej temat w przewodnikach turystycznych i foldegach wielkich biur podróży. Asfaltowa nawierzchnia była śliska, widoczność na ogół nie przekraczała kilkuset metrów, a piękne lasy, przez które droga pięła się od samego poziomu morza coraz wyżej i wyżej ku wysokogórskim przełęczom, stwarzały ponure wrażenie, biczowane strugami lodowatego deszczu i krótkimi, gwałtownymi porywami wiatru.

Wiedząc doskonale, iż jazda w takich warunkach nie należy do przyjemności, Robert nie zdecydowałby się chyba na nocną podróż, gdyby nie przykry fakt, że dopiero po południu odebrać miał swój samochód z warsztatu naprawczego. Jak na złość właśnie tutaj, tak daleko od stolicy, gdzie zawsze mógł liczyć na znajomości, coś dziwnego zaczęło dziać się z hamulcami jego nowego wozu; nie to, że zupełnie przestały działać, ale wydawało mu się, iż może to nastąpić w każdej chwili, więc gdyby miały odmówić posłuszeństwa w powrotnej drodze przez górskie pustkowia... Krótko mówiąc, został zmuszony niezwłocznie oddać samochód w ręce pierwszego lepszego mechanika, co sprawiło, że wbrew wcześniejszym planom i ustaleniom przedłużył o cały dzień swój pobyt w nadmorskim miasteczku i spośród wszystkich uczestników konferencji na temat praktyk religijnych we współczesnym świecie, na którą wysłała go macierzysta redakcja stołecznego dziennika, pozostał w hotelu sam jeden.

Oczywiście nie był tą sytuacją zachwycony. Być może gdyby świeciło słońce, niebo było błękitne, a woda w morzu nadawała się do kąpieli, Robert nie miałby nic przeciwko przymusowemu przedłużeniu tej delegacji. Ba, widząc plaże zaścielone opalonymi ciałami półnagich dziewcząt, prawdopodobnie sam wymyśliłby jakiś mniej lub bardziej wiarygodny powód, dla którego nie mógł powrócić w wyznaczonym czasie. Jednakże wobec ostatnich kaprysów aury myślał przede wszystkim, aby jak najszybciej znów znaleźć się w swoim ciepłym mieszkaniu, a nawet i w redakcji, gdzie choć wcale nie było przytulnie i spokojnie, zawsze można było z kimś porozmawiać, czy nawet umówić się na wieczór — i jeśli była to na przykład młoda maszynistka, czy nowa praktykantka, marząca by zostać drugą Orianą Fallaci — nierzadko z nadzieją na dalszy ciąg.

Tymczasem zupełnie nie wiedział co ze sobą zrobić w całkiem pustym hotelu. Zły, że czas płynie tak wolno, całe przedpołudnie przesiedział w restauracji, dokąd zjechał na późne śniadanie, mimo że zwykle wolał zamawiać je do pokoju. Po śniadaniu poprosił o szklankę piwa, przy którym bezmyślnie wypalił jednego po drugim kilka papierosów, aż rozbolała go głowa; potem usiłował przeglądać poranne gazety — bez większego skutku, gdyż uznał, że nie ma w nich nic ciekawego; wreszcie zatopił wzrok w oknie, śledząc spływające po szybach krople deszczu, jakby zetknął się z tym widokiem po raz pierwszy w życiu.

Za oknem nie działo się nic godnego uwagi. Na hotelowym parkingu było pusto — stało tam zaledwie kilka samochodów, nikt nie odjeżdżał, nikt nie przyjeżdżał. Przechodniów też można było policzyć na palcach. A jednak po pewnym czasie Robert zwrócił uwagę na dziewczynę w czerwonej kurtce z kapturem, która przechadzała się tam i z powrotem, sprawiając wrażenie, że na kogoś czeka. Mimowolnie zaczął ją obserwować, zakładając się sam ze sobą, czy po zniknięciu dziewczyna znów pojawi się w polu jego widzenia. Właściwie było mu to zupełnie obojętne — nie znał jej przecież, nie wiedział, kim jest, dlaczego i na kogo czeka. Przez zapadaną szybę nie widział dokładnie jej twarzy, więc nawet nie mógł ocenić, czy jest ładna, czy nie. Ale to, że — z krótszymi i dłuższymi przerwami — dziewczyna wciąż tam była, sprawiało mu pewną satysfakcję. Zniknęła dopiero tuż przed obiadem.

Samochód miał być gotowy na godzinę trzecią. Z warsztatu Robert wyjechał nim jednak dopiero po czwartej. Dla sprawdzenia skuteczności dokonanej naprawy, za którą mechanik — ten zdzierca! — zażądał takiej sumy, że nikt nie mógłby przyjąć tego ze spokojem, pokrążył jeszcze trochę po miasteczku, zatankował paliwo, kupił kanapki na drogę w małym barze niedaleko rynku i właśnie kiedy wychodził z nimi na ulicę, znów dostrzegł dziewczynę w czerwonej kurtce — tym razem tuż obok swego wozu. Stała oparta o barierkę oddzielającą chodnik od jezdni, w rękach trzymała dużą, podróżną torbę i chociaż odwrócona była do Roberta plecami, nie miał najmniejszej wątpliwości, że to ta sama, którą rano widział na parkingu przed hotelem. Przypadek, czy też?... Jego wyobraźnia natychmiast zaczęła pracować ze zdwojoną energią. Zagadka domagała się wyjaśnienia.

Początkowo dziewczyna nie była zbyt rozmowna. Na zadawane przez Roberta pytania odpowiadała krótko, sama o nic nie pytając, jeśli nie liczyć tego, od czego zaczęła zanim jeszcze zdążył otworzyć usta: czy mógłby podwieźć ją do stolicy?

— A skąd pani wiedziała, że tam jadę? — zainteresował się, gdy samochód ruszył z miejsca.

— Ma pan stołeczną rejestrację.

— Pani mnie śledziła?

— Nie, skądże znowu — speszyła się. — Widziałam tylko, że wchodzi pan do baru. Postanowiłam zaczekać i zapytać. Ruch na drodze jest dziś bardzo mały.

I cisza.

— A nie boi się pani tak sama podróżować z obcym mężczyzną? — zażartował po chwili dla podtrzymania rozmowy.

— Nie wyglądasz..., nie wygląda pan groźnie — poprawiła się od razu.

TOMASZ PAWŁOWSKI

(1)

Smok

— Właściwie masz rację: dlaczego nie mielibyśmy mówić sobie po imieniu? Robert.

— Krystyna.

I znowu cisza, w której słychać było delikatny, basowy śpiew silnika. Wycieraczki rytmicznie zbierały nadmiar wody, gromadzącej się drobnymi kropelkami na przedniej szybie. Po obu stronach drogi wierzchołki drzew gięły się pod naporem nagłych uderzeń wiatru, szumiąc przeciągle. Poza tym nic więcej nie mąciło tej ciszy. Od dłuższego już czasu nie minął ich żaden pojazd jadący z przeciwka. Nikogo też nie wyprzedzali. Ostatnie zabudowania nadmorskiego kurortu dawno pozostały w tyle. Do najbliższego miasteczka było kilkanaście, najwyżej dwadzieścia parę kilometrów. Dalej czekały ich już jedynie góry z rzadko rozrzuconymi małymi osadami i nielicznymi motelami, z których prawie wszystkie czynne były tylko w sezonie letnim. Zresztą Robert nie przewidywał dłuższych postojów. Czuł się wypoczęty i chciał wczesnym rankiem dotrzeć do domu, aby przespać się choć parę godzin przed pójściem do redakcji, gdzie czekało go pisanie sprawozdania z konferencji, której tematyka uczuciowo była mu zupełnie obca. Nie bardzo rozumiał nawet, dlaczego ją zorganizowano. Omawiane na niej problemy wydawały mu się tak mało ważne i marginesowe, a przy tym kontrowersyjne, że już na samą myśl o zmierzeniu się z nimi... Nie, nie, na razie wolał o tym nie myśleć. Tyle jest na świecie przyjemniejszych i bliższych sercu spraw...

Korzystając z okazji, że znaleźli się na w miarę prostym odcinku drogi, mógł wreszcie lepiej przyjrzeć się zabranej pasażerce. Wbrew podświadomym oczekiwaniom, zrodzonym na ulicy przed barem w ciągu tych paru sekund zanim jeszcze stanęli twarzą w twarz, jej uroda nie zrobiła na Robercie większego wrażenia. Gdy wsiadając, dziewczyna zrzuciła z głowy kaptur, zauważył, że ma krótko przycięte, jasne włosy, zaokrąglone policzki i lekko zadarty, mały nosek. Teraz, mając ją obok siebie nieruchomą, zapatrzoną gdzieś w dal, w szarozieloną ścianę lasu, dostrzegł także, iż oczy dziewczyny okolone są ciemniejszą obwódką, co nawet w bladym świetle późnego popołudnia widoczne było tym bardziej, że — nie ukryte pod warstwą maskującego makijażu.

— Studiujesz? — odezwał się, gdy wyczuła, że jego wzrok dojrzałego mężczyzny zbyt długo lustruje jej dziewczęcą buzię.

— Tak. Biologię — odparła beznamiętnie.

— Na którym roku?

— Jeśli zdam zaległe egzaminy, to na trzecim.

— A zdasz?

— Powinnam... Właściwie muszę.

— Bo miny nie masz najszczęśliwszej.

— Wydaje ci się. Jestem po prostu trochę zmęczona.

— Zmęczona? Po wakacjach? — zdziwił się z dwuznacznym uśmiechem. — Czyżby nie były udane?

— I były i nie były.

— No, opalenizny na tobie prawie wcale nie widać, ale za to... — umiejętnie zawiesił głos, puszczając jednocześnie oko.

— Rzeczywiście, pogodę mieliśmy nie najlepszą.

— Już wiem: on musiał wcześniej wyjechać i dlatego ta mina, tak?

Krystyna spuściła wzrok.

— O to właśnie chodzi, że wcale nie musiał — powiedziała półgłosem po dłuższej chwili bardziej do siebie, niż do Roberta, jakby znali się Bóg wie ile lat i nic więcej nie trzeba było mówić. Zacisnęła nerwowo dłonie. Nie miała ochoty na dalsze zwierzenia, wyjaśnienia. Najchętniej zapomniałaby teraz o wszystkim, co ją spotkało, wykreśliła w ogóle z pamięci tak, jak kasuje się stare nagrania na taśmie magnetofonowej. Zresztą dlaczego miałaby otwierać się przed obcym zupełnie, przypadkowo poznanym facetem? Czy potrafiłby ją zrozumieć? Nie, mężczyźni nie są do tego zdolni! Oni myślą tylko o jednym. Z drugiej jednak strony Krystyna czuła, że obecność Roberta, czyjakolwiek obecność była jej w tej chwili bardzo potrzebna. Więc pewno gdyby zapytał... W gruncie rzeczy było jej wszystko jedno. Co miała do stracenia? Poznali się przed godziną, za kilka następnych — rozstaną i być może nie spotkają już nigdy więcej. Historia bez znaczenia.

Ale Robert nie kwapił się do zgłębiania rozpoczętego tematu. W lot pojął, że niechcący odsłonił miejsce, które boli, bardzo boli i nie miał wcale zamiaru czynić tego po raz wtóry. Na powiernika sercowych kłopotów młodych panienek zupełnie się nie nadawał. Zbyt wiele przeżył już z kobietami, aby nie wiedzieć, czym to się zwykle kończy, czy też raczej — czym wtedy mogłoby się to nie skończyć. Wygadać, wyżalić się na zły los można przed jakąś serdeczną przyjaciółką, koleżanką. Dla siebie przewidywał całkiem inną rolę, jeżeli już miałby bawić się w pocieszyciela. Znał jeden stary, przyjemny dosyć sposób i zapewne nie zastanawiałby się długo, gdyby nie brak czasu, sprzyjających warunków... Mimo to, spróbować nie zaszkodzi. Wszystko zależy od rozwoju sytuacji, pomyślał. A na razie...

Przez moment miał zamiar opowiedzieć Krystynie, jak rano obserwował ją przed hotelem, jak przeczucie mówiło mu, że się jeszcze spotkają i że na pewno musiało do tego dojść, bo los przeznaczył ich dla siebie, więc coś się musi za tym kryć. Szybko jednak zrezygnował obawiając się niepotrzebnych skojarzeń dziewczyny. Tę kwestię postanowił zostawić na później. Najpierw należało jakoś ją odprężyć, rozweselić, oswoić, wzbudzić sympatię i zaufanie. Metodę miał przecież opracowaną: sypnąć garść dowcipów z najnowszego repertuaru, albo opowiedzieć parę zabawnych historyjek z życia dziennikarskiego światka stolicy. Wiedział, że to robi na kobietach wrażenie, że tak najbezpieczniej. Poza tym Robert lubił opowiadać dowcipy. Znał też kilka całkiem nowych. Nie dalej jak przedwczoraj zaśmiewał się z nich do łez. Ucieszył się więc nawet na myśl, że może je teraz powtórzyć. Zaczął od tego o garbatej striptizerce...

Krystyna uśmiechała się, ale nieznacznie — bardziej przez grzeczność, niż dlatego, że naprawdę bawiły ją słowa Roberta. Zawsze uważała, iż opowiadanie dowcipów jest czymś wyjątkowo głupim i płaskim. Dziwiła się, że niektórzy jej koledzy z uniwersytetu, skądinąd dość inteligentni, robili to na każdym spotkaniu towarzyskim, jakby nie mieli sobie nic ciekawszego i ważniejszego do powiedzenia. Początkowo kładła to na karb ich niedojrzałości, przyjmowała jako przewrotną pozę, krótkotrwałą modę przeniesioną jeszcze ze szkoły, jako przejaw wstępnego etapu zawiązywania się znajomości, kiedy wszyscy grają trochę przed sobą. Gdy jednak przez dwa lata nic się nie zmieniało, moda nie mijała, koledzy nie zamierzali wcale spoważnieć, wydorośleć, a co gorsza, powtarzali się coraz częściej, Krystyna prawie całkowicie straciła chęć widywania się z nimi, uznając, iż są po prostu nudni i banalni. Oczekiwała wszak czegoś zupełnie innego. I teraz ten tak samo... To dobre dla młodych pielęgniarek, pomyślała z niesmakiem. Dla bardzo młodych, które już na sam widok twarzy uśmiechającego się do nich mężczyzny, sikają w majtki z zachwytu i podniecenia, ale przecież nie dla niej. Może gdyby była w innym nastroju...

Zaproponowała więc, żeby lepiej włączył radio. I dodała w formie usprawiedliwienia:

— Na taką pogodę przydałaby się jakaś nastrojowa muzyka, nie sądzisz?

— Oczywiście — skwapliwie przyznał jej rację, zauważywszy, że dotychczasowa terapia rozweselająca nie przynosi oczekiwanego skutku. Może rzeczywiście trochę dobrej muzyki wprowadzi tę małą w lepszy nastrój? Bo jeżeli całą drogę, całą noc miałaby być taka nadąsana...

Niestety, żadna ze stacji radiowych, których odbiór wydawał się zadowalający, nie prezentowała akurat niczego, co, zdaniem Roberta, mogło uchodzić za muzykę nastrojową. Z głośnika dobiegał albo ostry, agresywny rock, którego nigdy nie lubił, gdyż kojarzył mu się nieodłącznie z rozkrzyczanymi tłumami nastolatków szalejących na koncertach, jakich fragmenty nieraz widział w telewizji; albo też — jakieś awangardowe brzdąkanie na fortepianie, czego w ogóle za muzykę nie uważał, nie starając się zresztą poznać bliżej, a już tym bardziej — zrozumieć i choćby tolerować. To brzmi, twierdził zawsze, jakby małpę posadzili przy rozstrojonym pianinie i pozwolili jej walić w klawisze bez żadnego ładu i składu. Trzeba być skończonym idiotą lub snobem do kwadratu, żeby zachwycać się taką kakofonią. Gdyby to od niego zależało, wprowadziłby zakaz nagrywania i odtwarzania tej pseudomuzyki. Dlaczego społeczeństwo płacić ma za coś, czego przecież wcale nie akceptuje? Komu to jest potrzebne? Tej nielicznej grupce pomyleńców, którzy z premedytacją wykorzystują społeczne środki przeznaczone na rozwój prawdziwej sztuki? Chyba tylko im właśnie. Co innego klasyczna muzyka poważna...

Po dłuższych poszukiwaniach Robert znalazł wreszcie jakiegoś Bacha czy Beetchovena (ciągle miał kłopoty z rozróżnieniem obu tych kompozytorów) którego od biedy dawało się słuchać. Przez kilka minut słuchali więc w skupieniu poważnej muzyki klasycznej. Potem spiker odczytał najnowsze wiadomości z kraju i ze świata, po czym zapowiedział audycję publicystyczną z udziałem uczestników konferencji poświęconej praktykom religijnym we współczesnym świecie.

Robert odruchowo zwiększył głośność. Nie miał pojęcia, że radio przygotowuje taki program. Gdyby nie Krystyna, z pewnością przegapiłby go. Był jej więc wdzięczny mimo wszystko, iż zaproponowała włączenie radia. Usłyszawszy zapowiedź, natychmiast bowiem pomyślał, że pisząc po powrocie, będzie już miał się na czym oprzeć. Jakieś ogólne wnioski zostaną przecież niewątpliwie przedstawione. I co ważniejsze, będą to właściwe wnioski! Powtórzy je, ubierając po swojemu w słowa, doda trochę osobistych wrażeń, delikatnie, acz stanowczo zaznaczy własny stosunek do całej sprawy — połowa roboty z głowy. Wystarczy tylko przejrzeć notatki i materiały konferencyjne, jakie rozdano pierwszego dnia wszystkim uczestnikom, zacytować trochę danych statystycznych, kilka celniejszych sformułowań z referatów... Najlepiej, jeśli poda je w lekko ironicznym tonie, podkreślając swój dystans, głęboki nawet dystans, oraz postawi na koniec kilka retorycznych pytań. Już widział oczyma wyobraźni zadowoloną minę naczelnego, który siedzi w głębokim, skórzanym fotelu ze swą nieodłączną fajką w zębach, przegląda maszynopis i...

— Przycisz trochę! — dobiegł go nagle głos Krystyny, starającej się przekrzyczeć radio, nastawione istotnie chyba trochę zbyt głośno.

— O, tak. Tak, jak teraz — dodała, gdy bez słowa spełnił jej prośbę. A w chwilę później:

— Będziesz tego słuchał? Interesuje cię ta gadanina?

— Interesuje.

— Nie wyglądasz na religioznawcę.

— Ale właśnie wracam z tej konferencji, więc sama rozumiesz...

— Nie wiedziałam, że odbywa się tu jakaś konferencja naukowa.

— Ciii.

— Przepraszam.

— Rzeczywiście ciekawe — przyznała, gdy audycja dobiegła wreszcie końca. — A co ty tam robiłeś?

— Mniej więcej to samo, co przed chwilą: słuchałem.

— Przez całe trzy dni?

— Tak. Za to mi płacą. Jestem dziennikarzem! — powiedział Robert, wyraźnie akcentując ostatnie słowo, choć starał się, aby zabrzmiało to zupełnie naturalnie.

— Pan redaktor...

— A co, na dziennikarza też nie wyglądam?

— Bo ja wiem... — zawahała się.

— I bardzo dobrze — miał już przygotowaną ripostę. — Przynajmniej jak wychodzę z redakcji, mogę swobodnie poruszać się po mieście, nie zwracając niepotrzebnie niczyjej uwagi, a tak... Wiesz, ta popularność jest bardzo przyjemna, ale — puścił do Krystyny oko — ale niestety, trochę męcząca na co dzień.

Uśmiechnęli się do siebie, odczuwając pewną ulgę: Robert — że wybrnął jakoś z niezręcznej sytuacji, a przy tym rozweselił jednak, rozluźnił dziewczynę, której chyba nie doceniał, a która teraz, śmiejąc się, wydała mu się znacznie ładniejsza i — co tu dużo mówić — warta grzechu; Krystyna — gdy zdała sobie sprawę, że ten redaktorek potrafi być mimo wszystko sympatyczny i zabawny. Może nie należało zbyt szybko przekreślać z nim znajomości. Jest dużo starszy, to prawda, ale taki facet może się przecież przydać. W końcu dziennikarz to nie byle kto. Coś przecież musi sobą reprezentować. Oczywiście teraz gra przed nią, pozuje — to widać. Ale jaki jest naprawdę? Może potrafi stać się znów sobą? Zresztą...

— Jesteś pierwszym dziennikarzem, jakiego poznałam — zauważyła, sama nie wiedząc dlaczego to mówi.

— Widocznie los tak chciał.

— Wierzysz w przeznaczenie?

— My sami jesteśmy naszym przeznaczeniem.

— Nie rozumiem, co chciałeś przez to powiedzieć.

— Tylko to, że wszystko zależy od tego, co zrobimy. Nasze życie jest w naszych rękach, a los... Los jest wypadkową wszystkich naszych działań, których skutki nie zawsze potrafimy przewidzieć. Nic nie dzieje się bez przyczyny, nawet to, że jedziemy teraz razem.

— Czy to znaczy, że...

— Nie byłem pewien, ale czułem, że się spotkamy.

— Jak mogłeś czuć, skoro nie wiedziałeś, że istnieję?

— Wiedziałem.

— Zaskakujesz mnie. A może to ja byłam przez ciebie śledzona, co?

— Może. Może wcale nie przyjechałem na żadną konferencję, ale po to, żeby cię poznać, zobaczyć, jak naprawdę wyglądasz.

— Więc nie jesteś dziennikarzem?

Twarz Roberta przybrała jeszcze bardziej tajemniczy wyraz.

— Czy popełniłam jakieś przestępstwo? Jestem o coś podejrzana?

— Można to i tak nazwać.

— Słucham — głos Krystyny zaczął lekko drżeć, jakby rzeczywiście miała coś na sumieniu.

— Otóż podejrzewam... — odezwał się po krótkim namyśle, pragnąc wywołać tym większy efekt. — Podejrzewam, że to ty śnisz mi się po nocach od wielu lat, że o tobie zawsze...

— Wariat! — przerwała mu. — Słowo daję, wariat.

— Ja nie żartuję. Jak tylko zobaczyłem cię dziś rano...

— Rano? Co ty znowu opowiadasz? Dobrze się czujesz?

— Nigdy nie czułem się lepiej niż teraz.

— Ale może powinieneś odpocząć, przewietrzyć się trochę?

— Tutaj? Masz ochotę na spacer po tym ciemnym lesie? Proszę bardzo, możemy się zatrzymać.

— Daj spokój. Ani mi w głowie spacery. Pada coraz bardziej. Myślałam o jakimś barze restauracji... Chętnie napiłabym się czegoś gorącego.

— Obawiam się, że to nie będzie takie proste. Ale dobrze: jeżeli tylko uda nam się znaleźć jakiś otwarty jeszcze lokal, wstąpimy na kawę. A na razie mogę zaproponować ci kanapki. Są w torbie na tylnym siedzeniu.

C.D.N.

1

Spojrzenie znad szachownicy

Zrobiono nas w shoguna

Nie da się niestety ukryć, że zrobiono nas w shoguna i polscy telewidzowie nigdy tego Amerykanom nie wybaczą. Nie po to przez dziewięć niedziel oglądaliśmy jak dr Kildare przeobraża się w samuraja, a jego protektor szykuje do walnej rozprawy z tłustym i paskudnym panem Ishido, aby w odcinku ostatnim wszystko się pokiełbasiło, a burza przeszła bokiem.

Oczywiście twórcy mogą się tłumaczyć, że autor powieści, James Clavell, w ogóle nie doprowadził akcji do historycznej bitwy pod Sekigahara, w dwa lata po której pan Toranaga otrzymał tytuł shoguna, czyli wojskowego wielkorządcy. Mogło też być tak, że producent — nie wiedząc jeszcze, jak wielka serial zrobi karierę — w połowie kręcenia dziesiątego odcinka wkroczył do atelier i zrobił reżyserowi karczemną awanturę.

— To nie Polska — krzyczał — żeby urządzać jakąś tam bitwę pod Grunwaldem z szykanami i statystami, którzy do tego nie pomieszczą się na małym ekranie. Marika nie żyje, okręt spłonął, kończ więc pan tę zabawę, byle szybko, bo nie myślę pakować w tego „Shoguna" resztek moich prawdziwych amerykańskich pieniędzy!

I reżyser, któremu zabrakło bezkompromisowości Andrzeja Wajdy, przystał potulnie na tę oburzającą propozycję, wywalczywszy tyle tylko, że Toshiro Mifune — *siedząc na koniu, z którego miał dowodzić bitwą* — streścił pokrótce dalsze wydarzenia, z czego zresztą publiczność wyrozumiała nader mało.

Zą docent dr hab. Jolanta Tubielewicz, dyrektorem Instytutu Orientalistyki Uniwersytetu Warszawskiego, powiedzmy więc, jak było naprawdę, bo przecież znając obyczaje naszej telewizji wiemy dobrze, że „Shoguna" obejrzymy jeszcze przynajmniej dwukrotnie. Raz w cyklu powtórzeń w programie II, drugi raz — w wakacyjnych porankach dla młodzieży (tu z pomnięciem niektórych rozbieranych scen miłosnych).

2.

Z pięciu holenderskich statków, które w 1598 roku opuściły Rotterdam, tylko pilotowany przez Anglika Adamsa „Liefde" ze zdziesiątkowaną przez szkorbut załogą dotarł do brzegów Japonii.

Kraj ten stał wtedy w obliczu kolejnej wojny domowej. Zmarły dyktator Hideyoshi sformował pięcioosobową radę regencyjną, która miała zapewnić sukcesję jego synowi, ta jednak była kontrolowana przez wcześniej stworzony organ administracyjny na czele z Ishidą Mitsunari. Adams (w filmie Jonathan Blackthorne) trafił pod opiekę przywódcy rady Tokugawy Ieyasu, czyli Toranagi, trafił zaś dobrze, ten dalekowzroczny polityk nie tylko myślał bowiem o budowie floty, ale w dodatku wygrał rozstrzygającą bitwę pod Sekigahara. Można podać wiele historycznych przykładów poświadczających, że lepiej być w obozie zwycięzcy, niż zwyciężonego, nie będziemy jednak nużyć nimi czytelników, zwłaszcza że obserwowali tę interesującą prawidłowość na przykładzie Adamsa — Blackthorne'a — Kildare — Chamberlaina.

3.

W filmie i w książce Clavella wszystko odbywa się ciut inaczej, tak czy siak Toranaga zwycięża, nie o Toranagę nam wszelako chodzi, a o Andżin-sana (piszę jak słyszałem, nie władam bowiem w wystarczającym stopniu japońskim).

I tu nasuwa się kilka kłopotliwych pytań do autora, scenarzysty i reżysera, słowem do całej tej podejrzanej spółki.

Dlaczegóż to dr Kildare nie robi należytej kariery, nie wygrywa jakiejś przyzwoitej bitwy albo czegokolwiek? Nieźle włada co prawda japońskim pałaszem, ale spodziewaliśmy się po nim znacznie więcej.

Po wtóre: jak można było zostawić Blackthorne'a samego? W amerykańskich filmach wiarołomna żona — choćby nie wiedzieć jak szlachetna i posiadająca dowolnie okropnego męża — ginie wprawdzie zawsze w imię wyższych racji moralnych, pani Marika nie wchodziła tedy w rachubę, pod reką znajdowała się jednak sympatyczna gospodyni Andżin-sana i należało pomyśleć o tej potulnej sierotce. Ostatecznie pan Wołodyjowski też dopiero za którymś razem trafił na swoją Basię, było więc z czego brać przykład i od kogo się uczyć.

No i tak dalej, i tak dalej — spodziewaliśmy się diabli wiedzieć czego, a skończyło się niczym.

4.

Zarazem tak mi się zdaje, że tajemnica frekwencyjnego sukcesu „Shoguna" jest raczej prosta. Egzotyka, piękne krajobrazy, szokujące obyczaje, wartka fabuła — wszystko to prawda. Oglądając film brat-Polak zerkał wszelako spod oka na ukochaną małżonkę i myślał: Ach, jakie to byłoby piękne, gdyby każdą familijną kłótnię dało się rach-ciach przeciąć jednym machnięciem miecza...

A znów małżonka zastanawiała się z cicha, czy byłoby jej ładnie w żałobie, gdyby tak przypadkiem pan mąż musiał popełnić harakiri czyli seppuku. I tak oboje marzyli o drugiej Japonii, co Freud, Jung i Adler jakoś tam tłumaczą, tyle że nie pamiętam dobrze, jak właściwie...

JERZY P.

2

Mebelki

Moi drodzy! Idzie nowe. Powiedziałabym nawet, że nie tylko idzie, ale nawet się meblуje, całkiem, jakby chciało (to „nowe" znaczy) zadomowić się u nas na trwałe.

Jak wiadomo, kobieta rozpoczynająca nowy etap swej biografii, po doznanym zawodzie miłosnym, lub zgoła rozwodzie, kupuje futro, odwiedza fryzjera, kosmetyczkę i krawcową po czym — jak nowa — maszeruje na spotkanie miłości swego życia. Zupełnie tak samo jest ze zreformowaną, zreorganizowaną bądź zmodernizowaną instytucją. Pierwszą oznaką nowości, nowoczesności i zrozumienia dla postępu, jest zmiana garnituru meblowego, najlepiej w reprezentacyjnych biurach danej instytucji. Bo kto w końcu będzie zaglądał do hali produkcyjnej, magazynu czy na zaplecze? Chyba jakiś obrzydliwy kontroler, albo nawet nieodpowiedzialny pismak szkalujący dobre imię instytucji, poprzez wywlekanie kłopotliwych szczegółów zza błyszczącej fasady.

Zdarzyło mi się otóż odwiedzić ostatnimi czasy kilka państwowych instytucji, w których wiatr nowych czasów sam z siebie zrzucał czapki z głów interesantów. Taka — dajmy na to — siedziba dyrekcji jednego z wielkich ZOZ-ów na Górnym Śląsku, w pięć lat po ostatniej „modernizacji umożliwiającej podniesienie poziomu i warunków pracy personelu", zafundowała sobie komplet porządnych mebli z litego drewna, takież boazerie pokrywające wnętrza wszystkich pomieszczeń, łącznie z korytarzami oraz — w trosce o dobre samopoczucie dam pionu administracyjnego — położono wykładziny podłogowe, a u dyrektora nowy dywan. Jak powszechnie wiadomo w strukturze ZOZ najważniejszy jest interes i dobry humor administracji. W gestii tegoż ZOZ znajdują się m.in. dwa szpitale, gdzie na 60 chorych na jednym oddziale przypada 1 (jeden!) sedes technicznie sprawny. Ciepła woda pojawia się około północy, a w porywach jeszcze o czwartej nad ranem. Notorycznie brakuje bielizny pościelowej, ręczników, pidżam i szlafroków dla chorych. Uzbrojenie techniczne budynków szpitalnych sypie się od lat, brakuje pieniędzy na remont kapitalny, nie ma pięciu milionów detali, bez których nowożytny (już nawet nie nowoczesny) szpital nie może funkcjonować. Ale boazerie w dyrekcji są. Żeby było śmieszniej, stare wyposażenie wnętrz nie pójdzie bynajmniej pod młotek publicznej licytacji, na której, być może, jacyś obywatele mogliby uzupełnić swe gołe, świeżo otrzymane mieszkania, albo może jakaś uboższa instytucja tanim kosztem kupiłaby potrzebne meble. Nic z tego! Biurka stoły, krzesła, fotele, szafy i regały w dobrym jeszcze stanie, bądź wymagające niewielkich napraw, pójdą na — jak mówią na Śląsku — hasiok, czyli śmietnik.

Ten sam obrazek — luksusowego moszczenia się w reprezentacyjnych wnętrzach dyrekcji, zarządu, i innych komórek zarządzająco-organizujących, obejrzałam jeszcze w dyrekcji jednego ze szpitali (chorzy na salach płacili po stowie za dostarczenie basenu, wygląd sanitariatów przyprawiał o mdłości, personel pielęgniarski nigdy w życiu nie słyszał o słowie „uprzejmość") oraz w kilku zakładach kosmetyczno-fryzjerskich. Stosy porządnych jeszcze mebli zalegają podwórka na tyłach reprezentacyjnych gmachów, piwnice i magazyny. Niszczeją na wolnym powietrzu, nikomu nie mogą być użyteczne, bo paru cymbałów nie pozwoli na to, zasłaniając się jakimiś idiotycznymi przepisami. Lepiej niech szlag trafi, niż żeby ludzie z nowych bloków mogli sobie zmajstrować trochę półek czy szafek.

Co tu mówić, nawet moje własne biuro nabrało szmytu europejskiego wśród ślicznych, nowych mebelków. Jest ujutno i gemmütlich. A to, że te wszystkie śliczności w niczym ale to absolutnie w niczym nie podniosły na wyższy poziom warunków pracy, to już jest doprawdy detal. Nigdzie nie jest powiedziane, że nowe musi zaraz oznaczać nowoczesne. Toteż nieustające braki „na odcinku" technicznego uzbrojenia stanowisk pracy, usprawnienia organizacji i postawienia na nogach systemu wynagradzania za pracę, są niczym w porównaniu z przyjemnością plaszczenia sobie dupy w wykwintnym fotelu.

I tak trzymać! O to właśnie chodzi! Meblujmy się na potęgę!

W powodzi wygodnych foteli, wśród porecznych biurek i stołów między ścianami obleczonymi w drobnomieszczańskie boazerie, uśnie nasze poczucie że coś jest nie w porządku, rozpłynie się pamięć o odrażających szaletach publicznych, nędznych szpitalach, brudnych pociągach. Zza lśniącej fasady nie widać przecież, że cały ten kram można wziąć i o kant roztrzaść.

BIUROWA

3

Lewym okiem

Najpierw w Basuto?

Kilka lat temu poczta wprowadziła oprócz adresów, stosowanych od wielu stuleci, jeszcze oznaczenia kodowe. Zrobiono to ze względu na stopniową mechanizację i komputeryzację rozdzielnictwa przesyłek i chociaż od tego czasu praca poczty nie polepszyła się ani o milimetr, a nawet wręcz przeciwnie — to jednak oznaczenia kodowe wdrożono, ludzie się do tego dostosowali, sprawa się uleżała.

Można by cofnąć się o wiele stuleci do czasu, kiedy ludzie nie mieli nazwisk i mając same tylko imiona, też jakoś żyli. Polecam uwadze ten zwrot: „też jakoś żyli". Dlatego polecam, że oto znów się z nim spotykamy i pewnie spotkamy się jeszcze wiele razy. „Dwa tysiące lat pisano daty jak pisano i jakoś ten świat się kręcił". — pisze Franciszek Kaszak w „Przeglądzie Tygodniowym". Franciszek Kaszak nie posiada się z oburzenia, że ktoś ośmielił się wprowadzić w Polsce komputerowy system datowania. „Dlaczego u nas, a nie w Basuto?" — zapytuje i nie jest w swym oburzeniu odosobniony.

W wielu pismach — zresztą w naszych „Odgłosach" także, spotkałem już głosy niechęci i sprzeciwu co do systemu datowania. Identyczne głosy pamiętam z roku 1938, kiedy wprowadzano nową ortografię. Wielu publicystów i pisarzy oświadczyło wówczas, że nowej ortografii stosować nie będą, tak jak dziś oświadczają, że będą nadal pisać najpierw dzień, potem miesiąc potem rok. Jednocześnię wychodziły wtedy pisma stosujące starą ortografię i nową, a także takie, które część innowacji uznały, części — nie. Myślę, że tak daleko posunięty „pluralizm" nie byłby możliwy w społeczeństwach zdyscyplinowanych, na przykład w Niemczech gdzie urzędowe wprowadzenie alfabetu łacińskiego w latach trzydziestych objęło od razu wszystkie wydawnictwa i druki i dziś nieszczesna „szwabachę", czyli alfabet gotycki, którym dręczono nas na lekcjach niemieckiego przed półwieczem, spotyka się już tylko w starodrukach i w drukach stylizowanych archaicznie.

Jestem tak samo jak wszyscy przyzwyczajony pisząc daty zaczynać od szczegółu — to znaczy od dnia — i przechodzić do danych coraz ogólniejszych, a więc po dniu — miesiąc, po miesiącu — rok. Ale przecież w matematyce dowartościowuje się w lewo, nie w prawo. Czym cyfra stoi dalej w prawo tym jej wartość jest mniejsza. Komputery oparte są na niewzruszonych prawach matematycznych i jeżeli mamy kiedykolwiek zająć się poważnie komputeryzacją naszego życia, to nie przeskoczymy tej przeszkody: daty muszą być pisane „od ogółu do szczegółu". Tak samo zresztą porę dnia określamy zawsze podając najpierw godzinę, potem minuty, potem sekundy — a nie odwrotnie. To jest dla mnie oczywiste i nie myślę, że należało przy tym uruchomić „szeroką konsultację społeczną".

Nie rozumiem natomiast dlaczego wprowadzając oznaczenia kodowe na poczcie, polecono nam adresować akurat odwrotnie niż wynika to z kodu i odwrotnie niż to robiliśmy przez dziesiątki lat, a właściwie to w ogóle bez żadnej konsekwencji. Mamy mianowicie pisać adresy tak:

najpierw nazwa ulicy,

potem szczegółowiej — numer domu,

potem jeszcze szczegółowiej — numer mieszkania,

potem nagle bardzo ogólnie — nazwa miasta,

potem — ewentualnie — jeszcze ogólniej — nazwa kraju.

Nie rozumiem tego. Przecież w cyfrach kodu zaszyfrowane są informacje w porządku komputerowym: od ogółu do szczegółu. Dlaczego w części słownej zasadę tę pokręcono? Po co i dlaczego?

Sprawa datowania ma swoją analogię w zamianie dawnych miar i wag angielskich na miary i wagi metryczne. Tę samą operację zresztą przeszliśmy i u nas, tylko redaktor Kaszak nie może już tego pamiętać: kiedy rosyjskie i staropolskie pudy arszyny, łokcie, morgi i funty (z którymi też „świat się jakoś kręcił") zamienialiśmy na gramy, metry i hektary. Zapewniam was, że jeszcze w trzydzieści lat po wprowadzeniu miar metrycznych chłopi sprzedawali ziemniaki na korce, wiśnie na pudy, ziemię na łany i morgi, a dziś jeszcze — bez żadnego istotnego powodu — kupujemy guziki na tuziny i jajka na mendle. Ale nic się nie zawaliło i oto mamy system, wspólny dla całego cywilizowanego świata. Takim systemem będzie wcześniej czy później komputerowy system datowania nawet w Basuto czy koniecznie chcemy, żeby tam był wcześniej niż u nas?

Redaktor Kaszak pisze, rozdzierając szaty: „Przez te pseudonowoczesne nowinki techniczne gospodarka rozkraczy nam się kompletnie". Gruba przesada. Tak gruba, że prawie histeryczna. Gospodarka może się rozkraczyć z tysiąca powodów, ale nie dlatego, że zamiast 30.03. 1985" napiszemy „1985.03.30". Nie dajmy się zwariować.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Rachunek Józefiny

Porządek musi być. Jeden taki, co tak uważał, a nawet próbował praktykować, skończył marnie, ale naśladowców jakoś to nie odstrasza i wciąż znajdują się nowi. W naszej uroczej, by nie rzec, bukolicznej egzystencji nadwiślańskiej co i raz przytrafia się zdarzonko, świadczące o nieustających zmaganiach z wszechogarniającym bezhołowiem, nadmiernie wybujałym indywidualizmem, zwłaszcza zaś z naganną u świadomych obywateli, chęcią ukrycia dowodów na to, że rośniemy w siłę i żyje się nam coraz dostatniej. Już to do ceny doliczą podatek od luksusu, już to postawią ci ptaszka przy nazwisku, gdy nabywasz ciepłe gacie, lubo spiszą twe personalia, gdy zechce ci się dóbr trwalszych niż gacie, choć co do trwałości, zdania się podzielone. A wszystko po to, obywatelu drogi, byś bez sensu nie kłapał dziobem i nie rozwłóczył po ludziach tragicznych powiastek o twej nędzy, ubóstwie i zgryzocie. W razie jakby co, można ci przedstawić czarno na białym, co, kiedy, za ile nabyłeś drogą kupna, wystawiając się pod pręgierz krzywoprzysięstwa i fałszywego składania zeznań. Ja przecież rozumiem, że podatki trzeba z narodu ściągać, że wobec tego musi istnieć jakaś wymierna podstawa ich obliczania, że czasem nawet — dla dobra społeczeństwa — trzeba wmaszerować w buciorach w czyjeś prywatne pokoje i zapytać, skąd były pieniążki na te rozmaite dobra użytkowe. Całkiem jednak pojąć nie umiem, po co zawracamy sobie głowę przekonywaniem się nawzajem, że dopóki nie ma przestępstwa, jesteśmy niewinni i nasze prywatne sprawy są prawem chronione.

Wszystkie te głupie myśli i bluźniercze pomówienia zaświtały mi w głowie, gdy pewnego dnia zechciało mi się nabyć drogą kupna, artykuł trwałej użyteczności, stanowiący wyposażenie gospodarstwa domowego. Artykuł obejrzałam dokładnie, porady fachowca zasięgnęłam, po czym wyraziłam chęć kupna. Uprzejmy, a co dziwniejsze, kompetentny pan sprzedawca, zasiadł do wypisywania rachunku i... wprawił mnie w zdumienie, prosząc o okazanie dowodu osobistego. Na pytanie — za co? — grzecznie odpowiedział, że sam, pomysł ten uważa za czyste kretyństwo i dodatkowe zatrudnienie personelu sklepów, przy bezsensownej pisaninie i sprawozdawczości, ale — takie jest zarządzenie władzy wyższej. Zacukana, obawiałam się zapytać, jaka to mianowicie władza życzy sobie poznać moją strukturę wydatków i na co jej to? Do Urzędu Skrabowego — przy moich zarobkach — interesu żadnego nie mam, podatek od luksusu płacę — jak wszyscy — w cenie rozmaitych artykułów. A o legtymowanie się, może mnie prosić grzecznie jedynie umundurowana milicja, może też być w cywilnym wdzianku, byle z referencjami na piśmie. Co zaś się tyczy moich wydatków, to życzę sobie zachować je dla siebie, ewentualnie jedynie nadmieniając przełożonym niewspółmierność pensji do wartości pracy, nie mówiąc już o wartości dodatkowej. Ale o tym uczyli w szkole, a wiadomo, że co w szkole, to koniecznie zaraz w życiu.

Sytuacja zrobiła się głupia. Dobro materialne nadal pragnęłam nabyć, sprzedawcy nie wolno było wystawić bezimiennego rachunku, a żądać ode mnie dowodu bez popełniania wykroczenia nie miał prawa. Z drugiej zaś strony, on też, biedak, miał tych jakichś swoich przełożonych. Co robić? Rada w radę, postanowiliśmy wspólnie ocalić owcę i wilka nakarmić. Wystawiony został zatem rachunek wyszczególniający rodzaj nabytego dobra, cenę oraz nazwisko nabywcy, a wszystko opatrzone stosownymi pieczęciami.

Na pieczęciach stało: „Przedsiębiorstwo Handlu Artykułami Wyposażenia Mieszkań „DOMAR", 90-368 Łódź, ul. Piotrkowska 190, Formularz ewidencjonowany, Seria C. Tylko dla odbiorców indywidualnych". Obok widniała pieczęć potwierdzająca zakup artykułu solidnej jakości: „Sprzęt pełnosprawny z gwarancją, instrukcja obsługi i kompletnym wyposażeniem, wydano kupującemu". Natomiast jako nabywca, tak starannie zewidencjonowany i oznaczony gdzieś tam na tajnych listach miłośników zbytku, wpisana została Józefina Bonaparte, zamieszkała w Tuilleres w Paryżu.

No i bardzo dobrze. Dobry pomysł jest drogi, na całym świecie najdroższe są właśnie dobre pomysły. Tak tedy uważam, za konieczne natychmiastowe podwyższenie poborów temu jakiemuś, co pracowicie wymyślił tę całą lipę. Po jaką cholerę, ja się pytam, wydano pieniądze na produkcję stosownych pieczęci w ilości takiej, jak liczba sklepów? Po co kosztowny zakup deficytowego papieru — porządnej jakości, dodajmy, klasy III, kredowany — na druk rachunków formatu A-5? Po co marnuje się czas, nerwy personelu sklepowego na to pisanie, ewidencjonowanie i... używanie różnych wyrazów, jeśli to wszystko jest wielka lipa? Nie wiesz czytelniku, po co? Ano po to, żebyśmy zdrowi byli, a jakiś bałwan mógł się wykazać nadgorliwością w praktykowaniu zasad reformy, egalitaryzmu, zwalczania wybujałych wymagań oraz wszystkich przykazań niejakiego Parkinsona.

JÓZEFINA

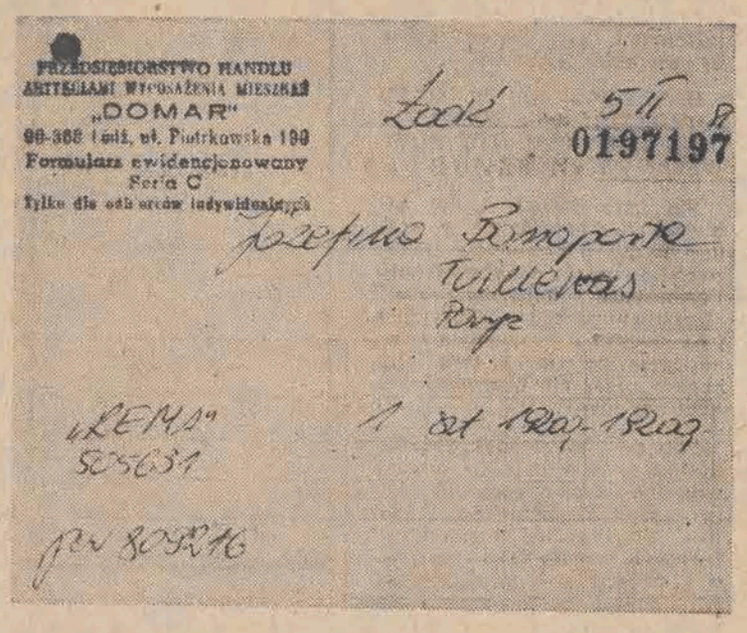

RAPIER NAPOLEONA (20)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Zatem: w poniedziałek rano, po hucznej libacji u znajomych, mąż wali się w ubraniu na tapczan i zapada w kamienny sen, tymczasem jego ukochana połowica otwiera w rękawiczkach gaz i nie ścierając z pokrętła odcisków palców, które zostawiła przedtem (byłoby to wysoce podejrzane), opuszcza mieszkanie wsłuchując się w złowieszczy syk palnika.

Kiedy o piątej po południu, napracowawszy się już do syta w biurze czy też innym urzędzie, staje przed drzwiami swojego domu, jest już po wszystkim — na klatce schodowej roi się dosłownie od sąsiadów, pokrzykujących ze zgrozą: — Gaz, gaz! W pani mieszkaniu ulatnia się gaz! Uwaga z ogniem! Nie zapalać papierosów! — A jeśli nawet nie ma pod drzwiami sąsiadów, jeśli nawet nikt nie zwrócił na gaz uwagi, czcigodna kobieta sama podnosi nieopisany rwetes mdlejąc w progu jak przystało na szczęśliwą wdowę i w trzy dni później, wolna od wszelkich podejrzeń, przyjmuje na cmentarzu zasłużone gratulacje.

Zbrodnia doskonała zewnętrzna też jest łatwa w realizacji pod warunkiem jednak, że przeznaczony do wysłania na tamten świat osobnik abonuje mleko. Jeśli to robi, jeśli pije z rana to białe paskudztwo, które wedle Amerykanów samo w sobie jest trucizną — i słusznie! — zakradamy się pod jego drzwi ze strzykawką, wbijamy igłę w kapsel lub w ściankę tekturowego pojemnika i dodajemy osobnikowi do smaku kilka milimetrów sześciennych strychniny. O tym, żeby zauważył dziurkę po cienkiej igle, nie ma nawet mowy — ryzyko jest tylko jedno: otóż osobnik może mieć gości, może przypadkiem nocować u niego szwagier bądź owdowiała kuzynka z prowincji i wówczas liczba ofiar wzrasta bez potrzeby, tym wszelako Patrick nie przejmował się zupełnie.

Jakich gości może mieć u siebie wczesnym rankiem Napoleon? Ot, jakiegoś rozwiązłego kurwiszona, którego tak czy owak pochłonie piekło. Im wcześniej, tym lepiej. Nie warto nawet o tym myśleć. Jeśli perkusista żywił w ogóle jakieś wątpliwości, krążyły one wokół innych spraw, chciał bowiem, oczywiście! posłużyć się strzykawką, nie bardzo jednak pasowała mu strychnina. Wykombinował sobie inną, groźniejszą, stuprocentową truciznę i w tym właśnie celu przyjechał ósmego września do Rouen.

Po zmierzchu dopił trzeci koniak i wyszedł z kafejki naprzeciw starego kościoła. Był tak pogrążony w swoich rozważaniach, że nie powiedział nawet do widzenia barmance. Ruszył jak pijany w stronę rzeki, a potem, kiedy znalazł się przy pierwszym moście, skręcił w lewo i szedł nadbrzeżnym bulwarem aż do drugiego mostu, aby znowu skręcić w lewo i zagłębić się na powrót w gęstwinę wąskich uliczek. Był trochę zmęczony, trochę głodny i trochę zdenerwowany. Spojrzał raz i drugi za siebie. Namacał wskazującym palcem puls na szyi i chociaż przeraził go szybki rytm tętnicy, zapalił drżącymi rękami kolejnego papierosa.

Długo i z bezpiecznego dystansu obserwował bramę domu, który był stacją przeznaczenia. Wedle zebranych przez siebie informacji, nad bramą można by zawiesić tabliczkę:

HASZYSZ — OPIUM — LSD — MORFINA oraz WSZELKIE INNE MEDYKAMENTY PIERWSZEJ POTRZEBY.

Nie było jednak takiej tabliczki. Nie było także w okolicy tłumu narkomanów nękanych objawami abstynencji. Farmaceuta uprawiał swój straszliwy proceder dyskretnie i bez rozgłosu. Prawdziwa sztuka życia polega na tym, aby przejść przez nie bezszelestnym krokiem hieny.

Patrick zaczerpnął głęboko powietrza i wszedł do niskiej wilgotnej sieni o zastałym odorze kropli Inoziemcowa i kotów. Zapukał do pierwszych jedynych zresztą drzwi po prawej stronie, a one odskoczyły natychmiast jakby właśnie na niego czekano. Nikt wszelako nie powiedział: — Proszę! — Człowiek po drugiej stronie progu, zażywny, niewysoki, z gorejącymi oczami południowca i z dwoma ostrymi zagonami łysiny na spoconym lekko czole, przyglądał się natrętowi bez mrugnięcia powieką.

Patrick wyjawił mu szeptem cel wizyty.

— Nie pomylił mnie pan z kimś przypadkiem? — zapytał ostrożnie gospodarz.

— Wszak mam przyjemność z panem... — perkusista wymienił nazwisko.

— Owszem, ale...

— Przychodzę z polecenia pana... — padło następne nazwisko.

Farmaceuta skinął głową i cofnął się o krok w głąb zagraconego pokoju. Patrick postąpił za nim przymknąwszy zatrzaskowe drzwi. Niebawem został posadzony w starym fotelu z drewnianymi poręczami. Nie był to żaden antyk żaden Ludwik XVI, zachodziła jednak obawa, iż gość zwali się razem z nim na podłogę.

Gospodarz, jakby chciał podsycić te obawę, nie spoczął na drugim, podobnym fotelu — złapał się jedynie rękami wysokiego oparcia.

— Więc?...

— Mam psa — tłumaczył Patrick zduszonym głosem. — Rozumie pan, bernardyn, osiem dziesiąt kilo żywej wagi, cierpi straszliwie, felczer stwierdził nowotwór...

— To mnie nie obchodzi, monsieur — uciął chłodno farmaceuta. — Koncentrat czy roztwór?

— Roztwór.

Brew farmaceuty podskoczyła i opadła.

— Myśli pan o zastrzyku?

— Wolałbym raczej zmieszać to z jedzeniem. Sądzę, że tak jest bardziej humanitarnie.

— Bez wątpienia. Mleczko?

Patrick drgnął. Wścibski typ. Bezczelny i zdecydowanie nieprzyjemny.

— Mleczko? — odbił pytanie.

— Aha! Mleczko! — przytaknął gniewnie jegomość. — Powinien pan wiedzieć, czego pan właściwie chce.

— Mówiłem już panu; bernardyn, osiemdziesiąt kilo żywej wa...

— Nie interesują mnie szczegóły, monsieur. Jak zastrzyk, to zastrzyk, jeśli natomiast zamierza pan wlać preparat do mleka...

— Skąd pan wziął w ogóle mleko? — zdenerwował się nie na żarty perkusista.

— Stąd, że gdyby naprawdę chodziło o psa, mógłby równie dobrze uśpić go weterynarz.

— Otóż nie!' Nie ma pan racji! — mówił gorączkowo i szybko przybysz. — Życzę sobie, aby mój pies rozstał się ze światem w domu, w kątach które zna i kocha, a nie w jakiejś okropnej, miejskiej lecznicy.

— Rozumiem — powiedział szyderczo farmaceuta. I dodał: — Weterynarz nie chciał przyjechać do domu, w związku z czym pan musiał trudzić się z Paryża do Rouen.

— Z Paryża?

— Czyżbym się mylił?

— Oczywiście! Nie mieszkam w Paryżu.

— A, to zmienia sedno sprawy. — Czarne, zapłynięte krwią oko drgnęło filuternie. — Wracając do tematu: preparat wchodzi z mlekiem w pewne osobliwe związki chemiczne i aby podać go w tej postaci, należałoby go odpowiednio zneutralizować tak, aby nie miał barwy, zapachu i smaku.

— Nie zmniejsza to jego skuteczności?

— Skutek jest natychmiastowy — zapewnił farmaceuta z ponurym uśmiechem. — Pacjent zaś... to znaczy: pies... nie wyczuje niczego, roztwór bowiem do złudzenia przypomina wodę.

— O to właśnie mi chodzi! — wykrzyknął skwapliwie perkusista. I korygując swoją niewczesną radość, dorzucił boleściwie: — Biedny Apollo nie będzie nawet wiedział, że ginie z ręki pana. Podam mu...

— Nie chcę znać żadnych detali — zaprotestował po raz trzeci farmaceuta, który skądinąd poznał już wszelkie detale i miał klienta na widelcu — Akceptuje pan roztwór o barwie, zapachu i smaku wody?

— Oui.

— Proszę zatem przygotować tysiąc franków.

Wycofał się z pokoju i wszedł do jakiejś nory w głębi ciemnego korytarza. Patrick czuł dreszcze na plecach. Byłby przysiągł, że w zagraconym, zatęchniętym, nigdy chyba nie wietrzonym mieszkaniu unosi się woń gorzkich migdałów, kulczyby i maku. Wzdrygnął się. Przygotował roztrzęsionymi rękami pieniądze, zapalił papierosa i czekał przesuwając wzrok z mebla na mebel, z kredensu o bogatej, mieszczańskiej, wykruszonej już przez czas ornamentyce na sekretarzyk, którego szuflady pokryte były wzorzystą intarsją. Podobną intarsję miał duży ścienny zegar i komoda o krągłych narożach i wypukłym wieku — wszystko w czarnobrązowej tonacji flamandzkich mistrzów. Znowu się wzdrygnął. Znad etażerki zastawionej zakurzonymi księgami patrzył mu prosto w oczy alchemik o twarzy kuglarza, ściskający w prawej pięści jakąś tajemniczą probówkę, a w lewej uciętą szeroko rozdziawioną paszczę żmii, z której wystawał długi, ostry jak sztylet, ociekający jadem języczek.

Zegar uderzył pół do dziewiątej. Patrick odniósł wrażenie, że za oknami pada deszcz i zapragnął nagle znaleźć się w nim. Guzdrze się, szaławiła — myślał. Sięgnął po papierosy, ale odstawił je przekonany, że zmierza prostą drogą na cmentarz. Dotknął palcem tętnicy szyjnej i przydusił ją usiłując zredukować trochę szalony rytm serca.

Zegar odmierzył dziewiąta, a w chwilę później, sprowokowane niejako, rozdzwoniły się zegary na kościołach.

— Nie, ja tego dłużej nie wytrzymam — szepnął do siebie po irlandzku Patrick i wzdrygnął się po raz trzeci.

Farmaceuta szedł ku niemu powoli i ostrożnie, trzymając na wysokości oczu, pomiędzy kciukiem a dużym palcem lewej ręki, przeźroczystą, nie większą od nasadki pióra fiolkę. Jego oblicze było teraz surowe, posępne zdeformowane jakąś dziką namiętnością.

Nie od razu podał Patrickowi fiolkę. Wpierw długo i starannie wycierał ją skrajem białej chusteczki, świdrując przy tym muzyka swymi gorejącymi, zapłyniętymi krwią źrenicami.

— Od tej pory nie znamy się, monsieur — powiedział.

— Zrozumiałe — przytaknął perkusista.

— Żaden z nas nie widział nigdy drugiego.

— Tak, tak! — pospieszył muzyk łowiąc w głosie gospodarza pogróżkę.

— Byłbym również wdzięczny, gdyby zechciał pan nie polecać w przyszłości moich usług znajomym.

— A to czemu? — oburzył się przybysz. Fiolka spoczywała już w jego kieszeni; wyczuwał pod palcem małą gumową zatyczkę. — Pan wszelako został mi polecony.

— Jeśli nawet tak było, człowiek, który mnie polecił, cieszył się zdrowiem i silnymi nerwami panu zaś brakuje tych przymiotów, monsieur.

Patrick zerknął na ścianę, którą zdobił portret kuglarza-alchemika i bezwiednie, z całej siły, zacisnął w pięści fiolkę.

— Dobranoc — baknął.

Farmaceuta skinął lekko głową, ale nie odpowiedział. Nie podał również perkusiście ręki. Przyglądał się drzwiom i to wszystko.

Szubieniczny stwór! Patrick wyszedł z zatęchłej sieni na ulicę i nagle jego nastrój wahnął się w przeciwnym kierunku. Nie padał deszcz. Niebo było czyste, usiane gwiazdami, a jezdnia błyszcząca i sucha. Od nadbrzeża niósł się łagodny szum Sekwany, nieraz zawyła żałośnie w oddali syrena statku, który wchodził akurat do portu w Rouen, bądź opuszczał port i płakał. Dęła także od rzeki rwąca, lecz przyjemna bryza chłodząc rozgorączkowaną twarz i uspokajając wzburzone myśli muzyka.

Maszerował teraz szybkim, równomiernym krokiem wprost na dworzec. Chciał jak najszybciej być w domu. We własnym domu! Nie umówił się na tę noc z kochanką. Kiedy jednak w trzy godziny później, kilka minut przed pierwszą, wszedł na palcach do małżeńskiej sypialni, stwierdził ze ściśniętym sercem, że łóżko Korsyki jest puste.

Może śpi u rodziców?

Otworzył w kuchni butelkę wina, wypił ją duszkiem, po czym zgryzł jeszcze dwa silne proszki nasenne i padł w ubraniu na kanapę w bawialni.

Obudził się nazajutrz w południe. Korsyki nie było. Podszedł do telefonu i zadzwonił do Lucille Legrand.

Paryż

W tym samym czasie, 9 września 1979 roku, Napoleon ślęczał w wytwórni nad stołem montażowym i trwało to aż do szóstej wieczorem. Był raczej z siebie zadowolony. Niektóre kadry wypadły lepiej niż dobrze. Atmosfera filmu zagęszczała się powoli, aktorzy grali pewnie i autentycznie, w dialogach nie było fałszu. Groza wyzierała spoza słów i uśmiechów przydając dramatyzmu każdej kolejnej sekwencji.

— Jakie to dziwne — zauważył nieśmiało montażysta. — Pokazuje pan dziewczynę i jej dwóch kochanków, a ściślej: starszego od niej o dwadzieścia kilka lat lubieżnika, który uwiódł ją podstępnie oraz młodego chłopaka, któremu bez wahania oddaje swoje serce, a następnie bierze z nim ślub. Przy tym wszystkim lubieżnik nie ma w sobie nic odrażającego, jest bardzo przystojny grzeczny, majętny, cieszy się szacunkiem sąsiadów... mogę mówić dalej?

— Niech pan mówi — rzekł Napoleon przyglądając się z uśmiechem zaciekawienia łysawemu, niemłodemu już montażyście.

— No a chłopak, przyszły mąż, też niby bogaty i spokojny, ale... dość chimeryczny, trochę jakby uwalany gnojem ze względu na swoją farmerską robotę, wygląda przy lubieżniku jak ciura. Ta jego śmieszna, wątła, rudawa bródka, ten głupawy, obły uśmieszek, to idiotyczne poczucie honoru nakazujące mu porzucić piękną, zakochaną kilkunastoletnią żonę tylko dlatego, że miała przed nim krótki poślizg.

— Widzi pan w tym jakiś błąd psychologiczny lub artystyczny? — dopytywał Napoleon, przypominając sobie ostatnią noc i myśląc o nocy, która go czeka.

— Nie — zaprzeczył gorąco montażysta. — Artystycznie i psychologicznie wszystko się zgadza, jednakże...

— Wal pan śmiało!

— ...obsadził pan role tych dwóch facetów tak dziwnie, że z każdej dziesiątki dziewcząt dziewięć wybrałoby bez wahania gdyby miały oczywiście podobną możliwość tego przystojnego lubieżnika właśnie, a nie tego kundla. Tym niemniej aby zyskać sobie miłość kundla, dziewczyna podrzyna lubieżnikowi gardło. Coś mi tu nie gra. Zbyt piękny ten lubieżnik zbyt dobry i... prawdę mówiąc... wcale nie lubieżny. Czy jest to świadoma pańska intencja?

— Oui — wyznał szczerze Napoleon. — Jest to moja świadoma intencja. A wie pan dlaczego?

— Nie.

— Bo tak właśnie zdarza się w życiu.

Uścisnął montażyście szczupłą, suchą dłoń, zarzucił na ramiona marynarkę i wyparadował tanecznym krokiem z wytwórni.

Był szczęśliwy. Otrzymał dużo propozycji na ten wieczór: zabawy w mieszanym towarzystwie, przyjęcia, cocktaile, randki — zrezygnował z nich jednak dla dziewczyny, która czekała na niego w domu, której powierzył bez wahania klucze do tego domu i w której, co to dużo gadać, był jak gdyby trochę zakochany, nie na tyle wszelako, aby odmówić sobie samotnego spaceru nad rzeką.

Minęło już dziewiętnaście miesięcy od momentu, kiedy opuścił Stany Zjednoczone — wystarczający obszar czasu aby znowu poczuć się Europejczykiem. Jako chłopiec, zawsze marzył, aby zamieszkać w Paryżu, mieście, w którym urodził się jak by nie było które podziwiał i kochał, i za którym tęsknił często aż do bólu w pięknej, słonecznej Kalifornii.

Nie miało znaczenia, iż dawno temu przed dwudziestu kilku laty, kiedy wyemigrował na dobre z Polski, przeżył w tym mieście, w ukochanym Paryżu, bardzo ciężkie chwile — głodne, samotne, zimne, pełne zawahań i rozterek, których jad toczy serca najodporniejszych nawet emigrantów. Bywało że sypiał katem u przyjaciół, bywało, że koczował w przeszytych wiatrem garsonierach i mansardach, nie mając przy duszy nawet paru franków na śniadanie, bywało, że łyknął łze zamiast kawy i widział swoją przyszłość w czarnych barwach.

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glanc